

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/555

1993



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

B. HAERING: **BRAK ZAUFANIA, KTÓRY RANI**

K. WOLICKI: **PIERWSZE ROZSTAWIENIE FIGUR**

B. OSADCZUK: **UKRAINA SAM NA SAM**

St. KOSSOWSKA:

ROZMOWA Z A. CIECHANOWIECKIM

INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW

ROCZNIKA „KULTURY” ZA ROK 1993

SPIS RZECZY

Jakub Karpiński:	<i>Idee połączone i rozłączone</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	8
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	19
Dora Kacnelson:	<i>Polscy naukowcy w Wilnie i Lwowie</i>	30
WIERSZE		
Tomasz Jastrun:	<i>Gracz. – Międzynarodowa. – Muszla</i>	48
Józef Baran:	<i>Majowe zakłęcie</i>	50
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Dominik Morawski:	<i>Sołżenicyn u Jana Pawła II</i>	51
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Pierwsze rozstawienie figur</i>	53
Antoni Leopold:	<i>Dziś i jutro polskiego rolnictwa</i>	59
Stanisław Polaczek:	<i>Stosunki ze Wschodem i Zachodem po wyborach w Polsce</i>	67
WYWIADY „KULTURY”		
Stefania Kossowska:	<i>Rozmowa z dr. Andrzejem Ciechanowieckim</i>	77
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Bernhard Haering:	<i>Brak zaufania, który rani</i>	91
Antoni Pospieszalski:	<i>Veritatis splendor</i>	96
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina sam na sam</i>	102
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	109
KRONIKA KULTURALNA		
Maria Delaperrière:	<i>Pisarz emigracyjny?</i>	115
Zdzisław Kudelski:	<i>Czapki z Matejką w tle</i>	120
Piotr Daszkiewicz:	<i>Ogród kolonialny Jana Dybowskiego</i>	126
KSIĄŻKI		
Leszek Szaruga:	<i>O Polsce w Niemczech</i>	130
Andrzej Dobosz:	<i>Trudności czytania po polsku</i>	132
Henryk Siewierski:	<i>„Na początku nie było słowa”</i>	135
Florian Śmieja:	<i>Trwanie</i>	137
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	138

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień-Décembre 1993

INSTYTUT



LITERACKI

**REDAKCJA «KULTURY» SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) po raz 76-ty dol. 100,00	F. 580,00
Danuta J. Cisek, Yorktown Hights, NY (USA) — dol. 50,00	F. 290,00
Dla uczczenia pamięci dr. Andrzeja Semkowa, niezwykłego człowieka i serdecznego przyjaciela, w dziesiątą rocznicę Jego śmierci — Maria i Wojciech Topperman	F. 207,00
Jerzy Giedroyc — nagrodę im. Stefana Kisielewskiego	F. 3.000,00
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego — w Dzień Zadużny — Żona	F. 100,00
Maria Podhorska, Londyn — zamiast kwiatów na grób prof. Andrzeja Zahorskiego, wybitnego historyka i nieodżałowanego Przyjaciela — w pierwszą rocznicę Jego śmierci	F. 500,00
François Prause, Chiangmai (Thailandia), po raz 37-my	F. 300,00
Teresa Romer, St. Eustache (Kanada), po raz 21-y — dol. can. 20,00	F. 85,00
W bolesną rocznicę śmierci inż. Fryderyka Topolskiego — żona, córka, zięć i wnuki	F. 207,94
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania)	
— na Fundusz „Kultury” £stg 10,00	F. 85,00
— na pomoc Polakom w Rosji £stg 10,00	F. 85,00

DZIĘKUJEMY

Idee połączone i rozłączone

Jest to tekst przeznaczony dla tych, których interesują idee, którzy uważają że idee mają sens, nie są tylko szumem i brzęczeniem, a nazwy idei nie są tylko epitetami używanymi dla pogńębienia przeciwnika.

Ci czytelnicy nie będą zapewne mieli nic przeciw zastanawianiu się nad tym, co idee mówią, jak mają się jedne do drugich i jakie są ich konsekwencje.

Nie wszystko można równie łatwo pogodzić. Jako przykład przytaczano od dawna przynależność do PZPR, uczciwość i inteligencję. Dowolne dwa z tych trzech elementów można sobie wyobrazić w połączeniu, ale czytelnik zechce może tę sprawę rozpatrzyć i zastanowić się, czy przy połączeniu dwu składników nie była konieczna nieobecność trzeciego.

Z PZPR uciekali uczciwsi i niekiedy inteligentniejsi. Poziom czyjejsz inteligencji zmienia się rzadziej i wolniej niż uczciwość, więc można założyć, że to raczej uczciwość odgrywała rolę w opuszczaniu szeregów PZPR, być może z tej racji, że sprzyjały jej warunki, zmieniała się sytuacja. „Człek służy chętniej dobru niżli złu, / ale warunki nie sprzyjają mu”, pisał Brecht.

Wzrost uczciwości (w sprawach umysłowych) może spowodować, że zwiększy się czyjaś wiedza. „Otworzyły mu się oczy”, przedtem nie widział, umiał niewygodne fakty pominać lub wytłumaczyć, odsuwając na margines. Nabywanie wiedzy może nawet nieco podnieść inteligencję i wzmóc zdolności kojarzenia. Te zaś, gdy sąsiadowały z uczciwością, mogły utrudnić przystosowanie.

PZPR była, jak wiadomo, organizacją ubezpieczeniową i na ogół ułatwiała życie tym, co się do niej zapisali. Utrud-

niała natomiast życie skrupulantom, tym, których sumienie było zbyt aktywne.

Była to namiastka związku zawodowego, który działał na zasadzie: chcesz ochronić się przed komunizmem? Przystąp do komunistów.

Ale były przełomy, zakręty, na których komuniści też dostawali w skórę. Uważano, że to niesprawiedliwe: jak to, nie tylko ludzie ludziom zgotowali ten los, ale komuniści komunistom?

Oczywiście, niektórzy przychodzili do PZPR pod hasłem: ja ich oszukam. Nazywało się to wallenrodyzmem: „Łudzilem despotę” (i siebie). Despocie złudzenia nie przeskadzały.

Czy można porównywać PZPR do NSDAP? Oczywiście, że można i to pod rozmaitymi względami: co do liczebności, czasu trwania, składu społecznego, organizacji wewnętrznej, funkcji w państwie i społeczeństwie, zależności od czynników obcych, brzmienia nazwy.

Jeśli uważa się, że ktoś, na przykład biskup, nie powinien jakichś obiektów porównywać (czegokolwiek do czegokolwiek), to nie tyle wyraża się brak szacunku dla biskupa, co dla rozsądku. Najróżniejsze rzeczy (i nierzeczy) można porównywać, bo porównanie nie jest utożsamieniem. Właśnie porównując wydobywamy różnice. Na przykład: NSDAP przestała istnieć bez ostatniego zjazdu i nie zdołała przekazać swego mienia żadnej partii politycznej.

O PRL toczy się spór i niektórzy publicyści rzucają materię źle pachnącą na wentylator po to, by rozsiała się mniej więcej równo. Piszą: wszyscy musieliśmy, kto chciał żyć, ten musiał. Nieprawda. Zaangażowanie w najgorzej pachnących obszarach komunizmu było najzupełniej nierówne i tego nie zmienią zaklęcia. Różnic istniejących w przeszłości nie zlikwidują publicystyczne interwencje w przeszłość czyż nie dziś.

Spory o to, czy na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych zniewolony był umysł czy charakter, dotyczą właśnie współwystępowania idei i zdolności umysłowych. Intelktualistami nazywamy zwykle tych, których profesja polega na sprawności i uczciwości umysłowej. Mają oni co najmniej starać się o jakość swych umysłowych produktów. Jeśli pod rządami Stalina mieliśmy do czynienia z intelektualistami, a więc jeśli można założyć, że umysł był w porządku, to nie w porządku był charakter. Jeśli w porządku był charakter i „pracownicy frontu ideologicznego” byli uczciwi, to nie w

porządku był umysł, czyli to nie byli intelektualści. Byli to artyści i dziennikarze, ale nie pracownicy umysłowi. By to ustalić, wystarczy przeczytać, co pisali.

Te rozważania o ideach dotyczą przeszłości osób nazywanych autorytetami. Uznaje się kogoś za autorytet na podstawie dotychczasowych osiągnięć, a więc takie uznanie jest zachętą, by przyglądać się tym osiągnięciom. Autorytety niekiedy źle na tym wychodzą i sprawiedliwości tu nie ma. Do Heideggera ma się pretensję o flirt z NSDAP, w innych przypadkach nie mówi się o znacznie poważniejszych zaangażowaniach po stronie organizacji wspierających terror. Kogo by tu porównać do Heideggera? To nie był wzór jasności, ale to był filozof. Przy stalinizmie nie było filozofa. Byli tylko pracownicy frontu ideologicznego.

Niekiedy, zwłaszcza na Zachodzie, komuniści stawali się antykomunistami bez długiego pobytu w czyszczeniu rewizjonizmu. Po wstrząsie zmieniali perspektywę poznawczą i uczuciową i wielu umiało dobrze opisać komunizm. Gdzie panuje kłamstwo, tam opis może być walką. Zwykły opis komunizmu był antykomunizmem.

Zdarzał się narodowy komunizm i narodowy socjalizm (zrzeszony w partii robotniczej i zarazem ogólnonarodowej). Takie idee jak nacjonalizm z jednej, a komunizm i socjalizm z drugiej strony okazały się zdolne do zgodnego współistnienia i komunizm chętnie brał do pomocy nacjonalizm, gdy był w kłopotach.

Nacjonalizm to pewien narodowy ton w propagandzie, solidarność narodowa i przekonanie o prawach własnego narodu. Przekonania o zaletach własnego narodu nasilają się w krajach pozbawionych niepodległości — dla pocieszenia i pokrzepienia serc. Imperium wielonarodowemu szkodzą nacjonalizmy i bardziej może nacjonalizm narodu dominującego niż narodów mniejszych (co zauważyli Anglicy i Lenin). Gdy imperialiści troszczyli się o imperium, próbowali nie być nacjonalistami. Starali się raczej dbać o państwo niż o naród.

Gdzie komuniści byli pasem transmisyjnym niesuwerenności (jak w Polsce), trudno było z komunizmem pogodzić niepodległość, ale można było próbować godzić z komunizmem nacjonalizm, chociaż nacjonalizm bez niepodległości państwa był ułomny i gdy był oficjalny, musiał znać swoje uprawnienia: komuniści-nacjoniści wiedzieli wtedy, gdzie się zatrzymać. Nacjonalizm, jak alkohol i jak inne idee, czasem ekscytował, czasem usypiał. W tym drugim celu używano go w propagandzie — zamiast niepodległości. Oczywiście Zwią-

zek Sowiecki był niepodległy i komunista sowiecki nie miał nic przeciwko niepodległości Związku Sowieckiego, ale komuniści w Polsce trudniej było być zwolennikiem niepodległości Polski. Komunista-nacjonalista mówił tu raczej o zaletach narodu niż o niepodległości państwa. Propagandy narodowej nie szczędzono: od Krajowej Rady Narodowej i Związku Patriotów Polskich do Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

Nacjonalizm, jeśli szukać sensu w brzmieniu nazwy, jest to nastawienie pozytywne wobec własnego narodu. Nazwa ta nie przesądza nastawień negatywnych wobec innych narodów. Ale przeciwnicy nacjonalizmu zwykle ustawiali sobie zwalczany pogląd, by łatwiej go zwalczać i używali nazwy „nacjonalizm”, mając na myśli nie tyle solidarność z własnym narodem, co brak solidarności z jakimiś innymi narodami lub wręcz wrogość. To są jednak różne sprawy. Z tego, że ktoś jest nacjonalistą nie wynika, że jest antysemitą. Jeśli ktoś chce być antysemitą, musi być antysemitą oprócz tego i niezależnie od tego, że jest nacjonalistą. Lepiej nacjonalistów oskarżać o nacjonalizm, a antysemitów o antysemityzm i nie przeszkakiwać zbyt łatwo z poglądu do poglądu. Dla nacjonalistów z różnych krajów stworzenie państwa Izrael było budującym przykładem. Nacjonalizm może być filosemicki i nacjonalista może tak samo z dumą powoływać się na Żydów zasymilowanych, jak autorzy *Encyclopaedia Judaica* z dumą rozszyfrowują żydowskie pochodzenie osób tam umieszczonych, najwyraźniej nie widząc w takim rozszyfrowaniu niczego niedozwolonego.

Gdy jednemu wygodnie jest zwalczać komunistów, którzy byli Żydami, innemu wygodnie jest zwalczać antykomunistów za to, że są antysemitami. Ale co się różni, to się różni. W przedwojennej Polsce wśród nielicznych komunistów było proporcjonalnie więcej Żydów niż wśród licznych endeków. Pisząc o endekach, można nazwiska żydowskie dawkować umiarkowanie. Trudniej to robić, pisząc o przedwojennych komunistach. Są tu tendencje i współwystępowania, jak zwykle w sprawach społecznych, przy kryteriach niejasnych, z którymi państwo Izrael sobie radzi, ale które niekiedy dotyczą ludzi do żywego, stąd protesty. Z perspektywy antysemity Żydzi są bardzo ważni. Ale z perspektywy kogokolwiek ważny na świecie przez parę dziesiątków lat był komunizm, który zabarwił krwią wiek XX, pozostawił wiele innych śladów i może jeszcze całkiem nie znikł.

Pisząc historię bezosobową, można pomijać środowiska,

ich kultury i style życia i badać raczej, co się zdarzyło niż kto to zrobił. Pytania: *co zrobiono w komunizmie? i kim byli komuniści?* są niezależne. Można się czymś nie interesować, ale trudno zaakceptować skreślanie pytań z tej racji, że odpowiedzi są nieprzyjemne.

Antykomunizm nie jest antysemityzmem, choć wmawiać nie komuś antysemityzmu jest zawsze wygodnym sposobem polemiki. Filosemita też może zwalczać komunizm, między innymi po to, by Żydów chronić przed złem. Porównywać warto prawie wszystko ze wszystkim, ale utożsamiać wszystko ze wszystkim nie warto.

Jakub KARPINSKI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 6 października 1993

„Druga Rewolucja Październikowa”: karykaturalna, szydercza powtórka historii. Jelcynowski Pałac Zimowy Reform szturmowały bojówki stalinowskie, kryptohitlerowskie, nacjonalistyczne (z podszewką „etniczną” i antysemicką), monarchistyczne, „czysto prawosławne” i Bóg wie jakie jeszcze, w każdym razie post-komunistyczne formacje zakwitłe bujnie na gruzach Pierwszej Rewolucji Październikowej. Pałacu Zimowego bronili demokraci i reformatorzy pod wodzą człowieka, który nie wyfrunie co prawda przez otwarte okno (popenił od razu dwa karygodne błędy: prawie ogołocił z wojska gmach TV i beztrąsko wyjechał w niedzielę na świeże powietrze), ale chyba jedyny budzi pewne zaufanie po autentycznym zerwaniu z komunizmem; zwłaszcza w porównaniu z „leniniścią o ludzkiej twarzy”, politycznym komiwojażerem czy cyrkowcem wędrownym na użytek i ku delectacji zachodniej publiczki, autorem niezliczonych artykułów w prasie zachodniej, nadętych i mentorskich, zaścianających jego prawdziwą zasługę proklamowania *glasnosti* (natomiast ani o jeden milimetr nie ruszył z miejsca *pieriestrojki*); jako fundator *glasnosti*, to pewnie, będzie miał poczesne miejsce w gabinecie figur woskowych Pani Tussaud (z pomnikami i mumiami teraz ostrożnie).

W Białym (wkrótce Czarnym) Domu wypinali dzielnie piersi obwieszone orderami przedstawiciele sowieckich *gospod*, nomenklaturowa śmietanka wybrana na mocy lekko podretuszowanej konstytucji Breżniewa. Jej dwaj przywódcy zapowiedzieli: walka do ostatniej kropli krwi, raczej samobójstwo niż kapitulacja. Szczególnie wymowny i nieugięty był bohater wojny w Afganistanie. Na krótko przed kapitulacją, w twier-

dzy zastanej trupami, obaj towarzysze wystosowali płaczący apel do Zachodu: ratujcie nasze życie, nie pozwólcie by nas rozstrzelano! Bohater wojny w Afganistanie dwukrotnie złożył ten apel na ręce dziennikarzy włoskich, którzy znaleźli się w Białym (już Czarnym) Domu. Spełnili natychmiast prośbę, Zachód więc, złąkniony zawsze hasel humanitarnych po najniższej możliwie cenie, bębnił bez przerwy w ostatnim dniu „Drugiej Rewolucji Październikowej”: oto test dla Jelcyna, tu go sprawdzimy, każe rozstrzelać czy nie swoich pokonanych przeciwników?

Nie, Jelcyn nie miał innego wyjścia poza reakcją *manu militari*, wbrew dobrym i obfitym radom „pokojowym” Gorbaczowa. Ale sytuacja w Rosji jest dalej równie dramatyczna, jak była przedtem. Może jedynym owocem „Drugiej Rewolucji Październikowej” było nagłe uprzytomnienie sobie przez Zachód, że post-komunistyczna część świata jest bardziej podobna do czynnego wciąż, mimo pozorów chwilowego uspienia, wulkanu niż do bezpiecznej i nieodwołalnej już transformacji demokratycznej.

Od czasu do czasu obiektyw w telewizyjnym świadectwie chwycił fragment ulicy poza bezpośrednim zasięgiem walk. Widziało się wówczas przechodniów o tak obojętnych twarzach, jakby „Druga Rewolucja Październikowa” toczyła się na innej planecie. Ważna była jedynie trzymana kurczowo w rękach siatka, pusta lub ze skromną zdobyczą w środku. Co powiedzieć o tej niewiarygodnej obojętności? Uchodzi za bliźniaczą siostrę „bezgranicznej rosyjskiej cierpliwości”. Jestem przekonany, że istnieją jednak jej granice, takie twarze widziałem na początku 1942 roku, gdy wojska sowieckie cofały się pod naporem ofensywy niemieckiej. I wtedy właśnie widziałem, jak pęka granica „bezgranicznej rosyjskiej cierpliwości”.

Uderzyła mnie również w telewizyjnych zdjęciach furia, dzika furia, z jaką bandy podjudzane przez buntowników atakowały milicję. Ileż nagromadziło się nienawiści, wszystko jedno jakiej, byle nienawiści. Rzekoma obojętność i nienawiść bez żadnych hamulców. Zapalny materiał do „Trzeciej Rewolucji Październikowej” (bądź też nazwanej stosownie od innego miesiąca).

10 października

Można teksty Karola Modzelewskiego zebrane w tomie *Dokąd od komunizmu?* sprowadzić do twierdzenia (i ostrzeże-

nia), które w tej czy innej postaci, z tej czy innej okazji, przewija się w nich ustawicznie: pełna zgoda na gospodarkę rynkową, ale przejście do niej wymaga tak gruntownych przekształceń, że myśl o szybkim skoku z dawnego ustroju do nowego jest złudzeniem i to bardzo kosztownym; mowa o kosztach społecznych, trudnych do zniesienia w społeczeństwie podzielonym na bogacących się bogatych i biedniejących biednych; jeżeli się tego procesu nie rozłoży na raty, zachowując w jakimś stopniu główne elementy państwa opiekuńczego i główne zręby państwowego przemysłu (jako rzeczywistości, z którą po 45 latach nie wolno się nie liczyć), nastąpi reakcja zaskakująca dla władzy post-komunistycznej. Książka Modzelewskiego ukazała się przed wrześniowymi wyborami, większość tekstów pochodzi z lat 1989-1992. Tą zaskakującą reakcją były wyniki wrześniowych wyborów. Nie ma sensu pocieszać się (jak Dahrendorf i Brzeziński), że po dokładnym obliczeniu, z uwzględnieniem absencji wyborczej i rozproszenia głosów prawicy, na *ex*-komunistów głosowało zaledwie około dziesięciu procent wyborców. Istotne jest pierwsze miejsce SLD na liście, w cztery lata po obaleniu komunizmu. *Psychologiczne i moralne* znaczenie tej wygranej w wyborach położy się długim cieniem na całym życiu polskim, nawet w wypadku *politycznego* niewypału obu zwycięskich partii.

Modzelewski, według mnie, rozumuje uczciwie, trzeźwo, daleko w tyle pozostawiając większość polskich publicystów, mędrków z „politycznych elit” i „technokratów” nieczułych na „drobne i nieuchronne produkty uboczne” Wielkiego i Wszechmogącego Planu. Na takim rozumowaniu opiera się Unia Pracy, takiemu rozumowaniu zawdzięcza dobrą lokatę wyborczą. Ma szanse stworzenia solidnej partii socjaldemokratycznej (przeciwstawionej łże-socjaldemokracji SLD z błyskotkami łże-PPS), zaczątków obozu niezależnej lewicy, obozu który jest i będzie nam potrzebny w budowaniu Trzeciej Rzeczypospolitej.

Sposób myślenia Modzelewskiego przyswajają sobie, po „Drugiej Rewolucji Październikowej” w Rosji, co inteligentniejsi politycy na Zachodzie. Senator amerykański Robert Dole: „Nie powinniśmy, teraz gdy zwyciężył Jelcyń, zmuszać za wszelką cenę Rosjan do bardziej radykalnych reform. Powinniśmy raczej zadawać sobie pytanie, czy my sami nie ponosimy częściowej odpowiedzialności za rosyjski chaos. Nie popychaliśmy może Rosjan do marszu zbyt szybkim dla nich krokiem reformatorskim?”.

13 października

Któregoś dnia zimowego, chyba na początku roku 1957, wybrałem się do Rzymu i jak zwykle odwiedziłem Silonego. Zastałem go w „czarnym humorze”, trudno było odgadnąć dlaczego, z natury małomówny nie lubił się zwierzać; więcej, odnosił się do zwierzeń z mieszaniną pogardy i odrazy. W końcu wymruczał, wpatrując się w ścianę ponad moją głową, że poprzedniego dnia wczesnym wieczorem postanowił urządzić sobie obchód siedzib różnych partii w różnych dzielnicach miasta. Był przerażony ich wyglądem, wszędzie takim samym niezależnie od politycznych tendencji. „Lokale rozrywkowe, dość luksusowe, ze stołami bilardowymi, grajszafami, barami, stolikami do konsumpcji i gry w karty, parkietami do tańca. Zebrani nie rozmawiali w ogóle o polityce, jej formalną obecność wyrażały tylko portrety przywódców na ścianach”. Przerwał i dorzucił z nieukrywanym rozdrażnieniem: „To wszystko źle się kiedyś skończy”.

Co mianowicie, jakie „wszystko”? Wspominam dzisiaj tę wizytę u Silonego, bo jego dalszy wywód miał w sobie coś proroczego, zapowiadającego głęboki (według niektórych: śmiertelny) kryzys demokratycznych partii politycznych. „Za mojej młodości — ciągnął Silone — partie żyły ze składek członkowskich, prowadziły skrupulatną rachunkowość, w lokalach partyjnych omawiało się najpilniejsze sprawy, czasem tylko zapijając dyskusje szklanką wina. We współczesnych społeczeństwach masowych partie stały się gigantami, często zatrudniają setki jeśli nie tysiące płatnych funkcjonariuszy, mają rosnące wciąż potrzeby finansowe, których nie mogą zaspokoić dotacje państwowe, sumy śmieszne w porównaniu z wydatkami na kupowanie (bo jak to inaczej nazwać?) członków, szczególnie elektoratu w okresach kampanii przedwyborczych. W przyszłości nie pozostanie nic innego jak kraść, przeważnie brać okup od przedsiębiorstw gospodarczych i koncernów przemysłowych w zamian za polityczne fawory i ułatwienia w tzw. interesach. Zawsze istniała korupcja, ale przyszła będzie zjawiskiem masowym, jak społeczeństwa w których rozwinie swoją działalność. Tak, to wszystko źle się kiedyś skończy”.

Skończyło się właśnie źle w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat, budząc we Włoszech na przykład (ale nie tylko) więcej niż niechęć do demokratycznego systemu wielopartyjnego. A co ma go zastąpić? Rozmaite ligi, bloki, konwencje, stowa-

rzyszenia, czyli dokładnie to samo pod inną nazwą. Jedno widzę lekarstwo na ciężką chorobę: walkę z partyjnymi „aparatami”, której oznaki można już dostrzec we Włoszech.

16 października

Istnieje w Neapolu zdekonsekrowany kościół (biwakowali w nim niegdyś żołnierze Garibaldiego) *Santa Maria Donna Regina*, pomijany na ogół albo ledwie zauważany w przewodnikach. Flamandzki gotyk, odrestaurowany i wzmocniony w latach faszystów, kryje w pustej nawie bez ławek i ołtarza kilka skarbów godnych większej uwagi. Malowidło Cavalliniego, fragmenty fresku ze szkoły Giotto, grobowiec Marii Węgierskiej dłuta sienneńskiego mistrza Tino di Camaino. Wpatrując się przed laty w postać królowej na marmurowym łożu, w jej piękną owalną twarz, szepnąłem do mojej towarzyski: „Mogłaby to być głowa wyrzeźbiona lub namalowana przez Modiglianiego”. Stojący obok nas odźwierny kościoła usłyszał moje słowa i wykrzyknął z radością: „Zauważył pan, zauważył pan! Modigliani oglądał wielokrotnie grobowiec jako młody chłopiec”. Odźwierny, zakochany w kościele, miał zwyczaj zawiadamiać zaraz na wstępie rzadkich turystów: „Jestem faszystą, gdyż faszyci odnowili ten kościół”. Bywają więc i takie motywy politycznych opcji.

Ale jego informacji nie wzięłem na serio, węszyłem w niej częstą u muzealnych dozorców, zapożyczoną gdzieś „przyprawę”, która ma zwiedzających skłonić do pieniężnego wyrazu uznania. Byłem w błędzie. Z obfitych w tym roku publikacji o Modiglianinie wynika bezspornie, że młodzieniec z Livorno zakochał się w twarzy Marii Węgierskiej, przesiadywał godzinami przed grobowcem, uważał swoje „odkrycie” za klucz wycieczki do Neapolu. Jeden z monografistów powiada: „Nazywał to swoją rewelacją. Wśród młodzieńczych rzeźb paryskich, które widywałem w jego pracowni, wzorem był Tino di Camaino, a nie anonimowy rzeźbiarz murzyński z Afryki”.

Przeniósł swoje „odkrycie” z rzeźby do malarstwa. Niezliczone twarze kobiece i męskie, dziewczęce figury rodem z Egiptu, były bardziej *znakami*, niż podobiznami. Modigliani chwycił twarze, zanim długa obserwacja powoduje, że obrastają w bogatą ekspresję. Znakami też były jego wspaniałe akty. Cała jego sztuka tkwiła w *przed*: przed zamknięciem przedmiotu, twarzą, figurą w niewoli formy.

Nie malował w ogóle martwych natur, i wcale się temu nie dziwił. Martwa natura wymaga, jak u Morandiego na przykład, kontemplacji — im dłuższej, tym bliższej innego, niewidzialnego wymiaru, przeważnie metafizycznego. Modigliani widział natomiast całość, jakby możliwe było zobaczenie i utrwalenie ulotnej chwili, w której zakwita kwiat. Namalował w całym swoim życiu tylko trzy pejzaże. Jeden, toskański w godzinie zimowego zmierzchu, widziałem. Sądząc po nim, także w pejzażach wyczuwał ich język błyskawicznej i enigmatycznej iluminacji.

18 października

W piętnastą rocznicę pontyfikatu radiostacja rzymska *Telepace* („bardzo bliska Watykanowi”, informują gazety) poprosiła kilku sławnych Włochów, żeby w ciągu kwadransa opowiedzieli o swoich zetknięciach z Janem Pawłem II. Najczęściej spotykał się z papieżem adwokat Gianni Agnelli, magnat automobilowy, prezydent Fiata, który po powrocie z każdej podróży do Polski stawiał się obowiązkowo w Watykanie. Po wprowadzeniu stanu wojennego usłyszał od swojego dostojnego rozmówcy, że generał Jaruzelski jest „polskim patriotą, który zawsze działał w interesie swego kraju w tych szczególnych okolicznościach”. Po wyborach prezydenckich Jan Paweł II powiedział o Wałęsie: „ucz się”; powiedział to takim tonem (dodaje Agnelli), jakim „mówi się o osobie otoczonej czułą opieką, bardzo kochanej”.

Czas skończyć nasze małostkowe spory o generała i prezydenta, skoro rozstrzygający głos rozlega się *ex cathedra*, korzystając (mimo że nie chodzi o sprawy wiary) z papieskiego atrybutu nieomyślności. Nieomyślności...

Ten który przyczynił się walnie do powalenia komunizmu, który mieczem ducha zranił śmiertelnie Smoka, powinien być może okazywać większą wstrzemięźliwość i rozwagę w sądach.

20 października

Moje opowiadanie *Książę Mediolanu* otwierał fragment *Księcia Machiavellego*, w którym *segretario fiorentino* zadawał pytanie, czy lepiej (dla władcy) budzić miłość niż strach, czy też strach niż miłość. I odpowiadał na nie, że chciałoby się

obu rzeczy, skoro jednak trudno je połączyć, o wiele jest bezpieczniej budzić strach niż miłość.

I strach budził opisany przeze mnie Filippo Maria Visconti. Był despotą wymyślnym, pełnym kompleksów, perfidnym, na swój sposób subtelnym, lecz w sumie dość umiarkowanym. Czyli budził strach, który nie paraliżował jego księstwa, przeciwnie — wzmocnił je i rozszerzył. Po jego śmierci proklamowano Świętą Republikę Ambrozjańską, przy odblasku ognia w który rzucano papiery z książęcego gabinetu, narzędzie despotyzmu i niewoli. Po trzech latach rządów republikańskich na książęcym tronie zasiadł Francesco Sforza. W dylemacie Machiavela stawiał miłość przed strachem. Podwładni odpłacali mu taką samą monetą miłości, która nie okazała się jednak mocną podporą tronu. Pamiętał o tym jego „niegodny syn”, Galeazzo Maria Sforza, i wahadło historii pchnął znowu w stronę strachu. „Niegodnym” nazwali go i podwładni i później historycy. Był despotą z upodobania do wzbudzanego strachu, a nie jak Visconti w imię potęgi państwa (i własnych fobii bądź lęków). Został zasztyletowany w wyniku spisku pod koniec XV wieku, co jest przedmiotem książki historyka Bortolo Belotti *Storia di una congiura*. Książka ukazała się za życia autora w roku 1929 i została natychmiast wykupiona w księgarniach przez policję faszystowską. Spisek przeciw despotcie? Nie mówi się o sznurze w domu powieszono, albo kandydata na wisielca. Mówi czy nie mówi, współczesny despotą włoski padł ofiarą spisku na posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej 25 lipca 1943. Spisek jest naturalną konkluzją despotyzmu. Despotą pada ofiarą spisku, lub wojny. Najczęściej i spisku i wojny. Wiedział o tym Stalin i dlatego mordował zawczasu wszystkich potencjalnych spiskowców (a raczej uważanych przez niego za takich); wygrał wojnę, wiele jednak wskazuje na to, że nie umarł śmiercią naturalną. Hitler cudem wywinął się ze spisku, zdążył jeszcze na hakach rzeźnickich powiesić większość spiskowców, dobiła go dopiero klęska wojenna; w XV wieku spiskowcy nie mieli żadnych zahamowań religijnych, za naszych czasów gorliwy katolik i dzielny oficer von Stauffenberg wahał się długo, czy z żołnierza zabijającego na froncie legalnie „wrogów naturalnych” ma prawo przedzierzgnąć się w nielegalnego zabójcę wroga ludzkości.

Belotti opisuje dokładnie mediolańskiego despotę. Niektórzy współcześni nazywali go „bestią”. Potrafił na śmierć zgłodzić księdza, który mu wyróżył krótkie panowanie. Kazał obciąć obie ręce człowiekowi, podejrzanemu o zwykłą

rozmowę z jego kochanką. Nienawistnym mu skazańcom groziło przybicie żywcem do dna trumny. Odbierał bez pardonu ojcom i mężom córki i żony, które mu wpadły w oko; „odsprzedawał” je innym po „użyciu”. Był rozwiązłym sadystą, niepohamowanym okrutnikiem, nie uznawał zakazów moralnych, łamał wszelkie bariery prawa. Pędził buntując się przeciw szekspirowskiemu modelowi, w końcu wygasa chęć pokazania do czego jest zdolny człowiek. Dostyc zatem, idea spisku i księciobójstwa nasuwała się coraz liczniejszym.

Zrealizowali ją trzej młodzi Mediolańczycy. Jeden był literatem, zakochanym w postaciach spiskowców starożytnych; jego sztyletem było pióro nienasycone. Dwaj pozostali mieli konkretne powody, związane z aktami bezprawia i niesprawiedliwości ze strony piątego Księcia Mediolanu. Zasztyletowali go w kościele, zadając mu czternaście ciosów (o dziesięć co najmniej za dużo, wystarczyły cztery, żeby go wyprawić na tamten świat; ale rozjuszonych spiskowców opanowała zajadłość bez miary). Trupa „niegodnego syna” włożono do trumny ukochanego niegdyś ojca: kto wpadł na ten pomysł, chciał prawdopodobnie uniknąć włóczenia zwłok po ulicach i rozszarpywania ich przez przechodniów.

Zdaje się, że to Orwell wymienił potrzebę sprawiedliwości i rządów prawa na pierwszym miejscu ludzkich uczuć, nawet przed aspiracjami do równości i wolności. Piękna nowela Heinricha von Kleista *Michał Kohlhaas* jest pomnikiem tego niepowstrzymanego, wiecznego dążenia. Myślę o tym, że w cztery lata po odzyskaniu niepodległości żyją jeszcze w Polsce rodziny ofiar komunistycznego despotyzmu, i żyją oprawcy którym nie spadł włos z głowy, którzy dożywają swych dni pewni już, że nikt nie postawi ich przed sądem. Brak jakichkolwiek prób rozliczenia po upadku komunizmu zakrawa na celowe podeptanie potrzeby sprawiedliwości i rządów prawa. Są *ex-partyjni* głupcy i renomowani dziennikarze, uważający to za dowód „mądrości narodu”. Są także „pragmatycy”, którzy dowodzą że wszystko w końcu samo „zaschnie”, skoro wyrasta pokolenie nieświadome cierpień i krzywd swoich dziadków. I jedni i drudzy przekonują się kiedyś (jeśli dożyją), że byli w błędzie, umyślnym czy nie. Mnie przeraża rosnąca wciąż hipoteka omyłek, niedopatrzeń, zaniedbań, jakby rządzący (w towarzystwie „elit”) nie bardzo w głębi ducha wierzyli w trwałość Trzeciej Rzeczypospolitej, jakby to był chwilowy „ubaw” ministerialno-urzędniczo-poselsko-senatorski, pęd do użycia należy Pierwszej Brygadzie rozrośniętej do kilkunastu dywizji. A teraz zmiana warty,

niech i dawni Oni rozsiądą się na fotelach zagrzanych przez Onych świeżej daty.

Ale coraz dalsza przeszłość da o sobie znać w dalekiej nawet przyszłości, którą ludzie wyzuci z poczucia sprawiedliwości i prawa chcieliby zamienić w gąbkę do zamazywania tablic z ludzkimi normami współżycia.

22 października

Wczoraj w turyńskim dzienniku *La Stampa* Irina Howajska Alberti, redaktorka *Russkoj Mysli* w Paryżu, przyjaciółka i b. sekretarka Sołżenicyna w Vermont, ulubienica Jana Pawła II, opisała spotkanie papieża z pisarzem rosyjskim. Asystowała przy nim, wraz z żoną Sołżenicyna. Opis sympatyczny i wzruszający, pamiętam przecież z dawnych paryskich lat, że Irina Aleksiejewna ma dar ewokowania, we wszystkim co opowiada, atmosfery ciepła i ludzkiej bliskości. Na fotografii ilustrującej tekst widać ją między dwoma wielkimi rozmówcami, widać w jej spojrzeniu, że o tym spotkaniu myślała i marzyła od dawna.

W pewnej chwili przerywa swój opis komentarzem: „Wielu uderzyło w ciągu lat fundamentalne podobieństwo między wypowiedziami Jana Pawła II i Sołżenicyna o losach świata (co zresztą było głównym tematem ich spotkania). Ktoś zauważył ostatnio: ich wypowiedzi są zbieżne, ale Sołżenicyn mówi jako pesymista, papież jako optymista”.

Nie wydaje mi się, żeby tak właśnie było. Kilka dni temu kolejną rozmowę z wysłanniczką neapolitańskiego dziennika *Il Mattino*, poświęconą całkowicie Sołżenicynowi, rozpocząłem od refleksji na marginesie watykańskiego spotkania: „Jan Paweł II i Sołżenicyn są już od pewnego czasu łączeni jak duet, który rzuca NIE „egoistycznemu kapitalizmowi” i wyraża głębokie wątpliwości, czy Zachód zmierzający ku Apokalipsie, toczony przez chorobę ciągle dotkliwszego braku wartości duchowych, czy taki Zachód zdoła ocaleć i przetrwać. Ich zgodność zaznaczyła się już wcześniej, przed niedzielnym spotkaniem w Watykanie: Sołżenicyn przed laty wychłostał nowoczesną cywilizację zachodnią w Harvard, Jan Paweł II zrobił coś analogicznego w Denver. Wypada tu podkreślić, że chociaż obaj mają bardzo dużo racji, równocześnie przesadzają w sposób dość niebezpieczny dla tej części świata z której pochodzą. Pomińmy proste i nieodparte fakty, że sławny i tak surowo piętnowany „kon-

sumizm” jest na Wschodzie po epoce komunizmu różnym snem, a nie czarnym koszmarem sennym. Pomińmy świeże twierdzenie kardynała Ratzingera, że „wolny rynek nie czyni człowieka wolnym”, twierdzenie zaiste osobliwe w obliczu jedynie rozumnej walki wolnorynkowej przeciw szaleństwu gospodarki komunistycznej. Chciałbym natomiast, by Ojciec Święty i rosyjski Prorok zastanowili się, czy ich apokaliptyczna wizja Zachodu nie grozi stworzeniem na Wschodzie wrażenia fałszywego i niebezpiecznego. Czy nie może przyczynić się do narodzin megalomanii narodowej, opartej na wierze w wyższość duchową Wschodu nad dekadentem Zachodem; do obudzenia ducha misjonarskiego, który zachodniemu światu miałby przynieść *Ex Oriente Lux*”.

Relację Iriny Alberti, i wizytę w Watykanie, zamyka okrzyk milczącej dotąd Natalii Sołżenicyn: „Jaką słowiańską twarz ma papież, jest naprawdę Słowianinem!”. Ileż złudzeń i urojeń w tym słowianofilskim westchnieniu!

25 października

W inteligentnym i wrażliwym szkicu Renaty Gorczyńskiej o Kocie Jeleńskim („Traf” w *Pulsie*) najbardziej podobało mi się to, że położyła nacisk na stosunek Kota do dzieciństwa, przytaczając jego komentarz do wiersza dedykacyjnego z *Wyspy Artura* Elsy Morante (Kot był powieścią „urzeczony”). Wiersz (a raczej końcowy fragment wiersza) brzmi tak: „I ty nie dowiesz się o prawie/którego ja się, tak jak inni, uczę/a mnie zdruzgotało serce/*fuori del limbo non v'è eliso*”. Komentarz Kota: „Nie mogłem się oprzeć zacytowaniu w oryginale ostatniej linii tego wiersza, który lapidarnie wyraża myśl (bliska Gombrowiczowi) o niemożności życia poza limbem dzieciństwa”. *Limbo* jest przedpiekłem, *Eliso* rajem. Znaczy to, że rajskich rozkoszy zaznaje się tylko w przedśmionku do piekła. Dla Kota tym przedśmionkiem było dzieciństwo.

Choć okraszane wybuchami śmiechu, przetykane zatrutymi szpileczkami (głównie pod adresem dorosłych), dzieciństwo modulowało w opowiadaniach głos Kota tak, że można było niekiedy oczekiwać cichego płaczu, albo co najmniej zwilżenia oczu. Ale Kot nie posiadał „daru łez”, wszystkie uczucia powierzał bogatym rejestrom głosu. Albo „prywatnemu pióru”, gdy nagle nachodziła go pokusa „bardziej osobistego czernienia papieru”.

Gorczyńska niezupełnie ściśle wspomina mój zapis w dzien-

niku o „kilkustronicowym wirtuozowskim utworze Kota o dzieciństwie”. I dodaje, że nie znalazła jego rękopisu wśród papierów Kota zdeponowanych w Yale. Nie mogła znaleźć. Trzydziestostronicowy szkic autobiograficzny, napisany brawurową włoszczyzną, istnieje w dwóch egzemplarzach. Jeden Kot posłał emerytowanemu dyplomacie włoskiemu, współpracownikowi i biografowi Sforzy. Drugi mnie z dopiskiem „tylko dla ciebie”. Jakkolwiek szkic kończy się wyprawą podporucznika Jeleńskiego w „wyjściowym” mundurze do powojennego Rzymu i jego spotkaniem ze Sforzą, gros stanowią wspomnienia z dzieciństwa. Czarujące, opowiedziane ze smakiem, z euforią szczęśliwego chłopca, mimo że miewał także doświadczenia przykre i gorzkie.

Polska była dla niego synonimem dzieciństwa, chłopięctwa, wczesnej młodości czy wieku dojrzewania. Powiedział mi raz, że nie wróciłby do Polski nawet gdyby to było możliwe, bo „jego” Polski już nie ma. Zasepił się, milczał chwilę i wyjaśnił: „No nie ma choćby żydowskich miasteczek; dla mnie *sztetl* był częścią obrazu Polski”.

Nie rozumie się często lub nie docenia, czym jest dla człowieka zniknięcie krajobrazu jego dzieciństwa. Podczas podróży do Polski w roku 1991 zatrzymałem się na szosie obok rodzinnego Suchedniowa, nie mogąc się przemóc do zjechań w głąb, tam gdzie znikło wszystko co było niegdyś moim dzieciństwem. W zeszłym roku planowałem drugą podróż do Polski, z zamiarem wyskoczenia z Kielc do Puszczy Jodłowej. Miała mnie tam zawieźć Irena Furnal, miła i świetna polonistka kielecka. Gdy nic z tej podróży nie wyszło, Pani Irena „zdradziła mi rzecz dotychczas przemilczaną”, a mianowicie że Puszcza Jodłowa w szybkim tempie umiera; i że zobaczyłbym tylko jej agonię. Myślałem, że postanowiła mnie w ten sposób „pocieszyć” wobec nagłego odwołania podróży z woli lekarza. Ale w kilka miesięcy później przeczytałem w jednym z pism dokładnie to samo: Puszcza Jodłowa umiera; „rozdzierający widok”, pisał reporter wcale nie z świętokrzyskich okolic. A czym ten widok byłby dla mnie?

Elsa Morante spędziła dzieciństwo na wysepce Procida koło Neapolu, na „wyspie Artura”. Napisała powieść, która „urzekła” Kota (także mnie), lecz o ile wiem, nigdy tam więcej nie pojechała. Późniejsza Procida stała się czymś całkowicie odmiennym od wyspy z limbu dzieciństwa.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Z ukosa

W „Antypamiętnikach” Malraux najbardziej mi się podoba pierwsza strona tej grubej książki, w której pisarz zawarł swoje niezwykle życie.

Jest rok 1940, wojna, Malraux żołnierz ucieka z księdzem. W pachnącej wiejskiej nocy, pisarz pyta księdza, o co ja zawsze miałem ochotę pytać księży, ale nie śmiałem.

— „Ksiądz spowiada od dawna?”

— Jakieś piętnaście lat...

— Co ze spowiedzi nauczył się ksiądz o ludziach?

— Widzi pan, spowiedź nie uczy niczego, bo kiedy się spowiada, człowiek jest kim innym, działa łaska. A jednak... Przede wszystkim ludzie są znacznie bardziej nieszczęśliwi, niż się myśli... poza tym...

W nocy pełnej gwiazd wzniosł do góry ramiona drwala!

— Poza tym, w gruncie rzeczy, nie ma ludzi dorosłych...

Zginął w Gilliers”.

Cała nasza cywilizacja próbuje dzisiaj bardziej energicznie niż kiedykolwiek przykryć nieszczęście i niedojrzałość nowymi formami, ale tworzą te formy ludzie nieszczęśliwi i niedojrzali posługując się narzędziami, które ich przerastają.

Kiedy ksiądz i Malraux patrzyli w niebo pełne gwiazd, nie wiedzieli, o tym, o czym mógł się dowiedzieć wczoraj nawet skromny zjadacz polskich gazet, gdyby dostrzegł wiadomość, która spłoszona zgielkiem wyborczym zaszyła się gdzieś w ciemnym kącie szpalty. To wiadomość, że naukowcy z dwóch instytutów dokonali równoległe ważnego odkrycia dotyczącego wszechświata, dowód, że widoczne gwiazdy stanowią zaledwie ułamek masy wszechświata. Na podstawie teoretycznych obliczeń naukowcy już dawno doszli

do wniosku, że to co widzimy patrząc w nocne niebo, to zaledwie 10% łącznej masy w kosmosie, czyli 90% to masa ukryta. Odkrycie ma wielkie znaczenie dla zrozumienia budowy wszechświata.

Czy nie tak samo jest również w życiu społecznym?

Po burzy wyborów zapadła cisza, w której słychać szelesty namawiania się zwycięzców, jak zrobić rząd?

Postkomunistyczny „Sojusz Lewicy Demokratycznej” (SLD) i „Polskie Stronnictwo Ludowe” (PSL) bardzo chcą posiadać przy boku kogoś bez grzechu pierworodnego, ale to nie wychodzi. Szef PSL jest prawdziwym chłopem, nie przepuści by do swoich hektarów nie dołączyć włości premiera. O tak, czuć tu większą twardość, bo jak głosiła popularna piosenka „chłop żywemu nie przepuści”. A nieufność nowych chłopskich ministrów jest dotykalna, nawet gdy milczą.

Pamiętam jak kiedyś polną drogą zatopioną w nocy, która tylko na wsi potrafi być tak ślepa, jechałem samochodem, a reflektory pojazdu wyrąbywały przestrzeń siekierą. Towarzyszył mi chłop o nazwisku Wierzba. I jak z wierzby wystrugany. Zawsze miałem wrażenie, że gromadził w sobie zbiorowo cechy polskiej wsi, w dobrym i złym. Nagle w strumień światła wpadł zając, był nagi w strumieniu światła jak małe dziecko. Wolałbym wjechać w drzewo niż zrobić mu krzywdę. Wierzba rzucił się na kierownicę rycząc, „łapaj, przejeżdż”. Kiedy udało mi się ocalić zającą przed śmiercią, a samochód przed chłopem, ten westchnął ciężko nad moją głupotą i stratą, którą obaj ponieśliśmy, i już wiedziałem, że nigdy nie odzyskam jego szacunku.

To oczywiście tylko jedna strona naszego chłopca. Chłopów rzecz jasna traktuję z Pańska. Dziele tę przywarę z całą szlachtą, która zasiedla nasze miasta, choćby sama z chłopów pochodziła, to chłopca ona strasznie lekceważy. Pamiętam jak kiedyś z grupą zeszlachconych inteligentów próbowaliśmy wymyślić dla pewnego miesięcznika tematy do bloku materiałów o wsi. A słuchając naszego gaworzenia na ten temat, miałem wrażenie, że to w XIX wieku koloniści dyskutują o tajemnicach tubylczych szczepów podbijanej Afryki. Zaproponowany ironicznie temat: „życie seksualne polskich chłopów”, zabrzmiał tam bardzo na miejscu. Premier Mazowiecki, Bielecki, Olszewski, czy Pani Suchocka na szpilkach, gdyby weszli do przeciętnej polskiej wiejskiej chałupy, co się im z pewnością za premierostwa nie zdarzyło, to wyglądaliby na jej tle równie orientalnie, co ci w białych kapeluszach ze

strzelbami w rękę i z nogą na łbie ustrzelonego nosorożca.

Interes chłopski jest zupełnie inny od interesu miejskiego, zaś argument, że Polska zginie od chłopskiego interesu nie przemówi do chłopca, bo on ma imaginację bardzo rozbudowaną, ale jedynie do szczebla gminy. Dlatego PSL i SLD mogą się dogadać co do rządu, bo władza zdobywana zjednoczy nawet ogień i wodę, lecz już zdobyta dzieli jak rzeźnik prosiaka. Więc konflikty potem będą szybkie i zasadnicze. I cała nadzieja w SLD, bo to jej członkowie, a przede wszystkim jej przywódca, mają dzisiaj prywatne interesy, których będą bronić, broniąc zarazem przynajmniej częściowo reform. Czyli jeszcze jeden paradoks.

Ludowcy obok innego interesu niż miasto, mają też w sobie pewną dodatkową komplikację, która popłaczę więzy powstającej koalicji. To ich związki z Kościołem. Jak to możliwe, że Kościół zadaje się z takim grzesznikiem? Otóż mamy do czynienia z nawróceniem i z grzechów odpuszczeniem. PSL została na starość ochrzczona. Aktu dokonał ks. prałat Bogusław Bijak, który pobłogosławił 132 posłów i 32 senatorów stronnictwa w kaplicy sejmowej. Prałat ogłosił, że ta msza jest „aktem uwiarygodnienia wybranych przedstawicieli PSL” i wyraził nadzieję, że partia ta będzie walczyć o „zachowanie wartości chrześcijańskich, narodowych polskich, o wyciągnięcie kraju z zapaści moralnej i gospodarczej”. Kościół, jak widać, bywa nadal pragmatyczny. Sekretarz Konferencji Episkopatu biskup Tadeusz Pieronek komentując klęskę partii bezgrzesznych i związanych z Kościołem, powiedział: „To ich sprawa. Trzeba się było lepiej sprawować”. Historyk, Andrzej Micewski stał się nagle głową osadzoną na tułowiu tej wielkiej partii, ta głowa jest doprawdy mała gdy popatrzeć jak wielki ma odwłok. Micewski, który od dawna marzy o polskiej chadecji, przypomina publicznie, że chrześcijańska demokracja zawsze miała korzeń ludowy. PSL skwapliwie przyjmuje na swój tułów nowe głowy, tak oto reżyser Kazimierz Dejmek, nagle schłopiały, został Ministrem Kultury.

To wszystko jest początek drogi, i nieco trzeba poczekać na ostateczne starcie komunistycznych śladów. A już teraz widać, że chłopci PSL przemianowani, jak ktoś zauważył, na „chłopstwo Boże”, zupełnie stępią lewicowe ostrze lewicowego rządu w sferze powiedzmy obyczajowej, gdy SLD je stępi w sferze ekonomicznej, kto wie czy tam w ogóle zostanie coś ostrego? Wydaje się, że podziemny i przygraniczny przemysł aborcyjny, może się czuć póki co bezpiecznie.

I w ogóle, trudno się po koalicji rządowej spodziewać ruchów gwałtownych, dużych zmian, ideologizacji, bo mają w sobie kręgosłup złamany przez przeszłość. Trudno też spodziewać się czystek personalnych. I tu ze zdumieniem odkrywam w sobie pewien żal. Kiedy patrzę na te zastępy karierowiczów, które wyprodukowały ostatnie cztery lata, co teraz wychylają się z okien władzy, bardzo niespokojni czy ich nie wymiotą ci nowi, to myślę, że jakaś miotła by się przydała, ale na czerwoną nie mogę się zgodzić. To często, niestety zbyt często, są moi dawni koledzy, teraz niestety zbyt często ulizane lizidy newego czasu, czyli nowa nomenklatura, ale stary konformizm w nowych garniturach. Dlatego zwycięstwo tak zwanej lewicy, jakoś mnie szczególnie nie zmartwiło, jest tylko niesmak. Ale smak tego niesmaku rozciąga się też na brzydkie szaleństwa prawicy, na arogancję Unii Demokratycznej, na moją własną arogancję, czego czytelnik czasami doświadcza w tych tekstach.

A jednak krystalizowanie się prawicy i lewicy ma u nas miejsce, chociaż słowo krystalizacja jest zbyt czyste w swym brzmieniu, lewica i prawica się raczej wyduszają z magmy. To jednak proces zdrowy i wyraźniejszy, a opary w jakich się obecnie poruszamy są trudne do zniesienia. Prawie każdy uczciwy, średnio rozgarnięty Polak przyzna, że w naszym życiu politycznym zupełnie się pogubił, są nawet tacy co się nim zadławili.

Premierem jest więc przewodniczący PSLu, Waldemar Pawlak, właściciel gospodarstwa rolnego. Czy nie osobliwe, że dopiero wolność wcieliła w życie ideał komunistyczny, bo oto premierem Polski, w końcu nadal szlacheckiej, jest chłop, a prezydentem robotnik.

Gdyby nie to, że liczymy na zbawienne działanie nektaru z Olimpu — kto go pije nagle łagodnieje i wszystkie szalone pomysły partii, którą reprezentuje, tracą zęby jadowe — to owo Pawlakowe premierostwo, byłoby początkiem ekonomicznej katastrofy. Ale przecież nawet Jan Olszewski, kiedy włął na tę górę, stał się dosyć rozsądny, do fatalnego dnia, gdy wykończył go jego przyjaciel i minister MSW, zjawiając się radośnie w Parlamencie z roztrzaskanym lustrem lustracji.

Dzisiaj, jeśli chłopski premier będzie realizował postulaty polskiej wsi, to wrócimy do gospodarki dawnych czasów, państwo zacznie kupować od chłopów rolne płody, granice będą zamknięte dla konkurencji, a inflacja szybko złapie nas

za gardło, i cały dorobek trzech lat szlag trafi. Czyli tylko w olimpijskim napoju nadzieja. Nie ma czego zazdrościć premierowi, smak tego napoju bardzo jest gorzki. Problem jednak zostanie — na roli pracuje u nas 35 % ludzi, a powinno pracować 5 %. Ja rozumiem tych 30 %, że nie chcą popełnić zbiorowego samobójstwa. Rozumiem też 200 tysięcy górników, też chcą żyć. To są Problemy dzisiejszej Polski, liczone na miliony ludzi, na sumę ich gniewu i rozpacz. Czy mamy dość czasu, rozsądku, mądrości, by sobie z tym poradzić? Bardzo jest trudno powiedzieć grzecznie ludzium, że powinni wyparować, ale sposób w jaki dotychczas informowano o tym milionowi obywateli, był karygodny. Przypomina mi się taki żydowski dowcip. Urzędnik Kon został przejechany przez tramwaj, a znajomi zastanawiali się, jak o tym grzecznie zawiadomić Panią Kon.

Jeden odważny i pomysłowy zapukał do jej drzwi i zapytał:

— Czy wdowa Kon?

— Nie jestem wdową — odparła głęboko urażona niewiasta.

— A założymy się?

To niezręczne pukanie do drzwi jest jednym z powodów triumfu postkomunistów. Czym są małostkowe kłótnie i szarpanie się za włosy naszych polityków, wobec tych prawdziwych ludzkich i nieludzkich dramatów?

Ujawnianie małostkowości Wałęsy jest rzeczą łatwą, ale niezbyt przyjemną, bo w końcu rzecz dotyczy naszego prezydenta, wybranego w wolnych wyborach. Schemat współżycia Prezydenta z kolejnymi premierami układa się w żelazny scenariusz, tym żelazem jest neuroza Wałęsy, który tyleż jest pewien swej wielkości, co jej pewien nie jest. Nieustannie się boi, że ktoś go przerośnie. Jego konflikty godnościowe z Mazowieckim, Bieleckim, Olszewskim i ostatnio z Suchocką, mają, mimo różnych osobowości premierów, identyczną barwę. Zaczyna się szybko rywalizacja, urazy, drobne, potem większe konflikty. Nie różni się to zupełnie od konfliktów w biurze, gdzie kompetencje szefów sąsiednich wydziałów nie zostały wyraźnie określone. Każdy kto nie karmi Prezydenta żywym mięsem własnej godności, staje się szybko jego wrogiem. Problem, że funkcja premiera od razu utwardza każdego, więc kolejni premierzy nie chcą dawać lwu swego mięsa. Czy tak samo będzie teraz z Pawlakiem? Prezydent mówi, że to pocziwy chłop, ale nieco za słaby, da sobie radę,

ale tylko z pomocą Wałęsy. Tak samo mawiał o Suchockiej: „Pocziwa niewiasta, ale jak to kobieta, za słaba”.

Lecz identyczny scenariusz widać wewnątrz samych partii. To już nie tajemnica, że były premier zwany Panem Tadeuszem, poczał ostatnio zazdrościć pani Hannie sukcesu, że poczuł się odsuwany jako pocziwiec pozbawiony energii. A jest przecież pod bokiem piękny, szlachetny i niegłupi Frasyński, z ogonem heroicznej przeszłości, to prawda czasy takie, że ów ogon niewiele pomaga, już raczej płacze się pod nogami. I jakby mało było nieszczęścia z Suchocką i Frasyńskim, oto na horyzoncie pojawił się mały wzrostem, ale mocny w gębie krakowski arogant, Jan Rokita, młody, dynamiczny, cięty, ze sztabem podobnych mu galicyjskich osobników, ich energia i sprawność zabłysła płomieniem na tle depresyjnego mazowieckiego krajobrazu. Ja rozumiem, że od tego można oszaleć.

Tak to wygląda w pocziwej, intelektualnej i kulturalnej Unii. Ona zresztą coraz wyraźniej zmierza w kierunku podziału, jej prawica oddala się od unijnych liberałów i socjaldemokratów, których w tej partii nie brakuje. Ta Unia chociaż pęka, próbuje połączyć się z gdańskimi Liberałami, którzy przecież mają potężny kompleks „warszawki”, i od dawna dostają wysypki widząc jak się ta „warszawka” nadyma, jak patrzy na nich z góry, więc jak tu się z nimi łączyć, mimo wspólnego liberalno-europejskiego pnia?

Na prawicy też same wielkie indywidualności, wielkie ale doprawdy tylko w gębie i w ciskaniu mocnych słów. Nie mogą iść razem, bo za wiele gadają, i każdy chce być przede wszystkim pierwszy. Nasza pokawałkowana prawica zdruzgotana wyborami, pytań wprost, czemu się tak dzieli, bo po klęsce dzieli się nadal szukając winnych, czasami milczy zażenowana, ale już padają coraz częściej słowa o „pysze i prywacie”. Tak ośmielił się oświadczyć nawet Jan Parys, lider Ruchu Trzeciej Rzeczypospolitej, sam jak się zdaje tymi przywarami ciężko objuczony. Tak, tak, to ten odważny, co nazwał zacnego przywódcę ZChNu i byłego marszałka Sejmu mecenasa Chrzanowskiego „komunistycznym kapusiem”, a były marszałek, nie patrząc na wiek i krzyż na tarczy, wyzwał Parysa od „szmaty”, zwykłej zresztą. Tak to się nasza prawica bawiła tuż przed wyborczą dyskoteką. Ta prawica nadal się wyzywa, widząc belki tylko w cudzym oku. Leszek Moczulski, przywódca KPN, która tylko jednym poślądkiem jest zanurzona w prawicy, a drugim siedzi na socjaldemokratyczno-populistycznym zydłu, mówi o prawicy, że „(...) nie

ma tam żadnej idei. Nie ma o czym dyskutować. Trup potrafi ożywić każdy kryminał, ale trupy nie są w stanie ożywić polityki”. Lecz czy to nie odnosi się też w pełni do niezbyt świeżych odwołań historycznych KPNU, do populizmu tej partii, który wpływa w pustkę po idei?

Nie boję się dzisiaj polityki postkomunistów. Aż mi się robi zimno na myśl, że się nie boję, bo może błędnie widzę, że doświadczenie historyczne stępiło im jadowe kły. Natomiast jeśli już ma być lekki niepokój, to z powodu populizmu i wścieklicznej polskiej prawicy. Ale ten niepokój jest mały, na skalę ich małości. Wielka jest tylko frustracja społeczeństwa, i tu jedynie siedzą wielkie ukryte demony.

Znajoma, która prowadzi dużą prywatną firmę, opowiada mi na czym polega dramat polskiego biznesu. Po prostu brakuje kapitału. Nie ma kredytu na warunkach do przyjęcia, bo te które istnieją, są dobre tylko dla samobójców, a surowy system podatkowy zjada wszystkie nadwyżki, więc nie ma pieniędzy na inwestycje. Chyba, że zatrudnia się pracowników na czarno, chyba, że nie płaci się podatków. Ona patrzy z zazdrością na tych licznych co są na tyle odważni, że oszukują, sama woli spać spokojnie. To znamienne — nie powie, że nie chce oszukiwać państwa, ta myśl nawet jej do głowy nie przyjdzie. Nikogo nie obchodzi jak śpi państwo, tylko własny sen. S., który sporo jeździ po parafiach, opowiada mi przerażony, że nie spotkał księdza, który uczciwie płaci podatki, i który uważa, że grzechem jest zaniżanie deklaracji. Pewien bardzo kulturalny pisarz, pyta mnie czy pieniądze, które mu płacę są odnotowywane, czy więc może ich nie deklarować? — nie waha się pytać o to wprost, jak nie waha się pytać o pogodę. Ta pewność siebie dotyczy, tak tych co mają mało i ledwie żyją, jak i tych co zarabiają fortunę. M. zarabia fortunę, ale pieniądze wywozi na konto znajomej za granicę, a przecież chodzi co tydzień do kościoła i uważa się za dobrą obywatelkę RP.

Lecz u nas to nic. Chociaż Plac Czerwony już suchy, lecz wszystkie problemy nadal tam krwawią. W Rosji dzisiejszej nie ma zupełnie myślenia w kategoriach państwa, gdyż było tylko w kategoriach mocarstwa, teraz nie został po tym sen złoty, a tylko nocny koszmar. Nie ma też myślenia w kategoriach obywatelskich, a nawet w kategoriach rodziny. Rozpad rodziny jest znakiem, że kryzys dotyka kości. Tradycja jest też w strzępach, a dawna świetna rosyjska literatura

nie potrafi zastąpić kultury społecznego współżycia. U nas jest pod tym względem o niebo lepiej. Każdy, kto wyjedzie z dawnego ZSSR do Polski, jest pod wrażeniem różnicy.

Państwa, które wydzieliły się z ZSSR wykazują nadspodziewaną słabość, słabość woli przetrwania, świadomości narodowej, poczucia obywatelskiego, ale chyba tego jednak się spodziewaliśmy. Czyli tam kręgosłup został jednak przetrącony — rewolucja, stalinizm, Hitler, znowu stalinizm, czy nie wystarczy? Szczególnie Białoruś i Ukraina zdają się szybko zmierzać na powrót pod skrzydła Rosji, a paradoksem jest, że ona sama ledwie żywa. Jak zauważył jeden z jej polityków: „kapitalistycznej Rosji nie stać już na utrzymywanie tych socjalistycznych krajów”. Ale i kraje nadbałtyckie radzą sobie gorzej niż się spodziewano.

O stanie umysłów na obszarze dawnego imperium wiele mówi opowieść K., który relacjonuje mi, jak jadąc przez Białoruś z prawosławnym biskupem, spotykał na trasie powitalne transparenty — „Niech żyje wiara”.

Potężne są w dawnym imperium egoizmy poszczególnych prowincji, tam każdy chce stworzyć swój emirat, i próbuje osiąść na jakiejś fabryce, a najlepiej na bogactwie w ziemi, jak kwoka na jajkach.

Armia jedyna zwarta struktura w dawnym ZSSR jest bankrutem, i chociaż ma jeszcze pięści, to jest gotowa je w każdej chwili sprzedać. W Rosji i w dawnych republikach wszystko jest na sprzedaż. Widuję na ulicach Zachodu świeżych przybyszów z tego regionu, wielu ma wypisane na twarzach — „na sprzedaż”. Jeśli coś nie zostanie sprzedane, to zostanie ukradzione. Niedawno prasa doniosła, że na Uralu do sztabu oddziału rakietowego niedaleko Niżnyj Tagił wkradli się złodzieje i wymontowali z rakiet wiele elementów elektronicznych. Pociski nie nadają się teraz do użytku.

Znajomy co buduje dom w okolicach Terespoła opowiada, jak polski chłop w jednej z pobliskich wsi kupił torbę rosyjskiego uranu. Takie dni zakupów nazywają się w okolicach Terespoła, *skupka cwietych metali*.

Znajomy poczuł od razu zimny dreszcz niepokoju na plecach, gdy przybył do niego blacharz, którego od miesiący nie mógł się doprosić do krycia dachu, bo ten miał najbliższy termin za pół roku. Blacharz oświadczył, że z powodu torby uranu cała wieś została napromieniowana, i żona zabroniła mu tam chodzić do roboty, więc jest wolny. Chłop, który kupił uran, wiedział co robi. Pojechał z tym uranem od razu do Niemiec, gdzie go dobrze sprzedał, a był tak uświadomio-

ny medycznie, że od razu zakrzętnął się wokół wymiany kostnego szpiku. Mówi się w okolicy, że wieś od tego czasu po nocach świeci.

M. jest, czy raczej był dobrym aktorem. Spotykam go w teatrze, ale jako widza. Mówi, że zobaczył mnie na mieście, ale jako że paradował w białym kitlu sprzedawcy pierogów to wstydził się podejść, on, aktor, jako sprzedawca pierogów. Co bym wtedy pomyślał? Teraz pomyślałem, że podoba mi się to jego przyznanie się do wstydu. Zrobił to ładnie. Czy nie powinniśmy się wszyscy wstydzić, że Polska zostawia dzisiaj swoją elitę gołą na zimowej plaży.

X. dzwoni do mnie nagle jako dygnitarz ważnej instytucji. Ach te kariery, nagle zawrotne skoki z pozycji szarego człowieka na wielkie stanowiska. W normalnych warunkach trzeba przejść skomplikowaną zmusną drogę kariery, u nas to są kangurze skoki, z księgowego na ministra jeden skok, a wiązany w locie krawat zupełnie nie pasuje do kupionego w biegu garnituru. Teraz już widać, że idzie ku szczytom nowa fala księgowych z PSLu, niektórzy ujawniają niespodziewane talenta, większość budować będzie w pocie czoła groteskę.

X. miał kiedyś intelektualne pasje, dzisiaj nie ma czasu na takie głupstwa jak czytanie. Kiedy mówię o książkach, jego oczy zachodzą mgłą, jak u człowieka, który wspomina bajeczne krajobrazy dawnych czasów.

Ale generalnie, ci co skacząc stracili swoje dawne szerokie horyzonty, starają się tłumić wspomnienia. Reagują niechęcią na widok tych co ocalili w sobie intelektualistę, a skoro sami nie czytają, pomniejszają czytanie w ogóle, unikają spojrzeń oczu okładek książek, tytułów tekstów pisanych przez dawnych znajomych. Tłumiąc żal za utraconym światem, deprecjonują go. Tak oto w przeciągu czterech lat, kilkakrotnie skurczyła się publiczność teatralna, o tyle samo spadły nakłady intelektualnych pism, i nakłady trudniejszych książek. Polska jest dzisiaj pełna byłych intelektualistów, byłych naukowców, byłych pożeraczy książek i pism. Ale w końcu to lepsze od tego co produkował stalinizm, zapelniając świat „byłymi ludźmi”.

Nie potrafię nie patrzeć na tę sytuację jako na wyzwanie. Walka z komunizmem była kiedyś największą pasją mego życia, jak na wielkość tej namiętności udało mi się popęlić raczej mało głupstw, chociaż — co dopiero teraz widzę — świat oglądałem zbyt płasko spod zmrużonych od gniewu oczu, i bez kilku istotnych kolorów. Byliśmy znieczuleni na

kilka barw, oraz na kilka innych, niż nasze, cierpienie i chorób świata.

Wtedy wyzwaniem był komunizm, a teraz — jak ocalić w sobie urobione przez lata zasady, jak łuskać prawdę z zatrutego ziarna wolności, jak nadal czytać książki, eseje, wiersze, książki, tych już nielicznych zapędzonych do intelektualnych rezerwatów. Przestaliśmy się czytać nawzajem, jeśli nawet mamy siłę by coś napisać, nie starcza nam już energii na lektury. Zarosły trawą kanały, którymi wędrowała myśl. Prawda, że kiedyś przy tyłu słuzach stali poborcy prawdy i celnicy o twarzach ze szkła, ale mieliśmy tajemne techniki i szlaki przemytu. A towar kulturalny przez te operacje czasami nabierał wielkiej wagi. Dzisiaj mamy wolność, ale kanały zarosły. Zaś cudem ocalałe pisma, to coraz płytsze studnie.

Widzę ogród-skansen, gdzie oprowadza się dzieci przyśzości. W pokojach za szkłem wśród omszałych książek siedzi pisarz z fajką, obok intelektualista marszczy miedziane czoło. Prasa doniosła, że jednemu w kraju poecie lirycznemu dowiedziono poetkę liryczną z odległego kraju, która chociaż dobrze zniosła podróż, ale dozorczy ogrodu mają kłopot bo nie chce się krzyżować z poetą, i gatunkowi grozi całkowite wyginiecie.

Przewidywania mądrych ludzi, że zwycięstwo postkomunistów może być groźne, głównie dlatego, bo nasz naród poczuje taki niesmak, że z tego niesmaku może zacząć robić głupstwa, zupełnie się nie sprawdza. Chyba niestety wszyscy nieco zmistyfikowaliśmy polski naród. Ma on bez wątpienia liczne zalety, ale chyba nie w tych miejscach, do których tak jesteśmy przywiązani. Piszę to, a wszystkie narządy wewnętrzne mi się buntują. Bo cały mój organizm od dziecka był karmiony polskimi mitami, mitem powstania warszawskiego, innych powstań, genialnymi etiudami Mickiewicza i całej naszej jakże patriotycznej, a do tego wielkiej poezji. Dzisiaj ta wizja pewnej polskiej szczególności, topnieje. A ja przecież tę szczególność widziałem codziennie na żywe oczy w stanie wojennym. Tylko czy to nie było jak z mojego dzieciństwa, kiedy wielce religijna babcia zabrała mnie w bogobojnym pośpiechu na Muranów, gdzie na dachu kościoła pokazała się Przenajświętsza Paniienka. I daję słowo, że wraz ze zgromadzonym tłumem klaskałem i rozdziwiałem gębę, bo Ją na tym dachu widziałem.

Te wybory to nie taka wielka rzecz, to tylko kropla co przepelnia dzban pewnych wątpliwości. Czasy są strasznie trzeź-

we, więc może trzeba będzie zobaczyć, że jesteśmy po prostu bardzo normalni, bardzo znerwicowani, i wymizerowani przez historię, nie zawsze mądrzy, bynajmniej nie genetyczni antykomuniści i antytotałiści, podatni w pewnych warunkach na rzeczy najgorsze, jak inne okoliczne nacje. Piszę, ale nadal nie potrafię się rozstać z polską wyjątkowością, ale nie idę już z nią w objęcia, czy pod ramię, ona idzie z boku. Kto wie, czy moje złorzeczenia na Polskę, moje i wielu innych, nie wynikają z tego zawodu, że Polska nie dorasta do mitu. Więc może jak obok siebie, lub w ogóle się rozstaniemy, to żyć będzie łatwiej?

SMECZ

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Polscy naukowcy w Wilnie i Lwowie

WSPOMNIENIA Z LAT 1947-1987

Czemu nie skorzystali z umożliwionej repatriacji do Polski? Jaka siła utrzymała ich, kazała pozostać na straconej placówce, w nędzy, poniewierce i cierpieniach? Niektórzy ludzie nigdy tego nie rozumieją. Jeden z nich, który w roku 1979 był polskim konsulem w Kijowie, powiedział lwowiance Marii Kalinowskiej (córce hallerczyka, Rafała Wołoszyńskiego), kiedy chciała obronić profesora Tadeusza Wilczyńskiego przed domowym aresztem: „Po co tyle lat siedzi tu z Moskalami, żeby zawracać mi głowę?”. Ale profesor farmakologii, światowej sławy Wilczyński, oraz inni uczeni nie „siedzieli z Moskalami”, a co dzień heroicznie stawiali czoło okupantom, z godną podziwu uporczywością bronili polskości. Zostali przy polskich archiwach i księgozbiorach, przy kościołach i cmentarzach, przy chorych i biednych niedobitkach, na tej ziemi przesiąkniętej krwią orląt lwowskich i bohaterów Armii Krajowej.

Może dlatego tak umiłowałam swoich znajomych, polskich naukowców, którzy przetrwali na straconej placówce, że doznałam od nich wielkiej życzliwości i serdeczności. Ofiarnie, nie żałując czasu i sił pomagali w poszukiwaniu potrzebnych mi rzadkich wydań i archiwaliów, gorąco zachęcali mnie do badań poloników literackich i historycznych, oprowadzali po Lwowie i Wilnie, zapraszali do swoich nader skromnych mieszkań. Opowiadali mi o swoim życiu, o przedwojennym Wilnie i Lwowie, radzili, jakie tematy naukowe podejmować, podawali sygnatury nie wydanych rękopisów. Byli

moim drugim uniwersytetem, wspierałam uzupełnieniem i udoskonaleniem tych nauk, które pobrałam w Alma Mater — Uniwersytecie Petersburskim (wówczas Leningradzkim) jako doktorantka polonistyki literackiej w latach 1946-1949. A przecież nikt nie polecał mnie wileńskim i lwowskim intelektualistom, poznawałam ich w czytelnikach i archiwum, a tak serdecznie, z taką miłością i serdecznością przyjęli od razu do swego grona, mnie, Żydówkę, przedtem nikomu nie znaną.

W moim rodzinnym mieście Białymstoku pobierałam pierwsze nauki w polskiej szkole powszechnej przy ul. Sienkiewicza od nauczycielek, pań Ruszczyckiej, Zaleskiej, Barchacz i innych. Tej miłości jestem wierna zawsze; na Syberii badałam archiwalia bohatera nocy listopadowej, Wysockiego i męczennika za wolność i wiarę ks. Piotra Ściegiennego oraz innych kapłanów-katorżników. W swojej książce o poezji powstania styczniowego starałam się ustalić genezę i interpretować śpiewy z roku 1863, które nuciłyśmy niegdyś w szkole.

Tu na marginesie muszę dodać, że teraz, widząc w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych lub we lwowskim konsulacie urzędników obojętnych na cierpienia rodaków pozostałych na Wschodzie, z goryczą pytam sama siebie: czy ci karierowicze należą do tego samego narodu?

Jednym z pierwszych poznanych przeze mnie polskich naukowców był historyk sztuki, doktor filozofii, Jerzy Orda, wybitny znawca zabytków starego Wilna. Poznałam go w 1947 roku jako dwudziestosześcioletnia doktorantka. Oddelegowano mnie na półtora roku z Petersburga dla studiów archiwalnych o Adamie Mickiewiczu. Potem, w latach 50-tych często przyjeżdżałam do Wilna, pracowałam wówczas jako wykładowca literatury światowej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Połocku na Białorusi. Gdy miałam kilka wolnych od dydaktycznych zajęć dni, natychmiast wybrałam się do Wilna. Jedna noc w pociągu — i jestem już w ulubionym mieście. Poznałam dr. Jerzego Ordę dzięki uprzejmości polsko-litewskiego literata i historyka Władysława Abramowicza. Tego poetę i uczonego, autora jedenastu książek (m.in. o Adamie Mickiewiczu i Walerym Wróblewskim) poznałam od razu pierwszego dnia mojego wileńskiego życia, gdy przyszłam do byłej Biblioteki Wróblewskich. Sowiecka władza bardzo prędko bez żadnych skrupułów przekształciła ten ogromny zbiór polskich książek i rękopisów w Bibliotekę Akademii Nauk Litewskiej Sowieckiej Socjalistycznej Republiki. Pan Abramowicz był kierownikiem sekcji rękopisów jeszcze

od czasów przedwojennych; tej pracy poświęcił 25 lat życia. Od razu zaprzyjaźniliśmy się, pomagał mi w kwerendzie archiwalnej, w opracowaniach bibliograficznych, oprowadzał mnie po Wilnie i okolicach. Gdy zachwycalam się jego świetną wiedzą w dziedzinie dziejów Wilna i jego zabytków, powiedział, że jest o wiele lepszy od niego znawca sztuk pięknych i historii kultury, którego uważa za jednego ze swoich nauczycieli. Był to doktor Jerzy Orda. Nazajutrz zapoznał nas, zapraszając do restauracji na kolację.

W czasie mego pobytu w Wilnie w 1947-1948 r. często rozmawiałam z p. Ordą, odwiedzaliśmy razem zabytkowe kościoły, przerobione za Sowietów na magazyny i jakies pracownie.

Pewnego razu w 1959 r., gdy siedzieliśmy na ławeczce na podwórku kościoła św. Piotra i Pawła na Antokolu, opowiedział mi, że wyprawił swego syna do Warszawy. Wówczas spytałam: „Panie doktorze, dlaczego Pan razem z nim nie pojechał? Mógłby Pan pracować w instytucie sztuk pięknych Akademii Nauk lub wykładać na uniwersytecie?”. Milczał przez kilka chwil zamyślony, potem wyciągnął rękę w stronę gmachu kościoła i powiedział: „A to? Tu jest mój warsztat. Jeszcze muszę myśleć i pisać o doskonałej architekturze tego kościoła i wielu innych. Zresztą całe Wilno jest moim warszatem”.

Więcej o swoim synu nigdy mi nie mówił. Los zetknął mnie już wiele lat po śmierci Pana Jerzego (zmarł w 1972 r.) z jego synem. Był nim doktor Wilhelm Józef Zienowicz, obecnie emerytowany lekarz, mieszkający w Warszawie. Poznałam go w czasie swoich odwiedzin Polski w roku 1990. Zaprzyjaźniłam się w Warszawie i Krakowie z kołem Polaków-ewangelistów, którzy otaczają opieką starych i schorowanych Żydów w Polsce i w byłym Związku Sowieckim. Zbierają się co tydzień w prywatnym mieszkaniu, czytają i komentują Stary i Nowy Testament, gawędzą. Na jednym z takich warszawskich zebrań spotkałam doktora Zienowicza. Właśnie opowiadał o swoim życiu. Urodził się w 1938 r. w Wilnie w żydowskiej rodzinie, jako syn Jakuba Finka, miał na imię Wilinke, był uratowany z getta przez siostry Helenę i Janinę Zienowiczówny. Doktor Jerzy Orda pomagał im chronić się przed hitlerowcami i wychowywać małego Wilhelma i jeszcze dwoje żydowskich dzieci. Tak zaczęła się moja przyjaźń z przybranym synem Jerzego Ordy. Podaję ze słów lekarza Wilhelma Józefa Zienowicza garść jego wzruszających wspomnień o ojcu.

„Jerzy Orda, który w czasie okupacji hitlerowskiej Wilna był częstym gościem w domu Heleny Zienowiczówny i jej siostry Janiny Zagałowej pomógł mi zaadaptować się do nowego otoczenia kulturowego, chroniącego życie. Byliśmy trojgiem małych dzieci żydowskich, nie znających zupełnie polskiego. Dr Jerzy Orda uczył nas wierszyków, piosenek, robił z nami scenki, które nieraz sam dla naszego wieku układał. Słuchając jego rozmów z dorosłymi domownikami kształtowałam w znacznym stopniu swoje pierwsze, dziecięce co prawda, ale fundamentalne poglądy społeczne.

W czasie następnej okupacji, już bolszewickiej, Jerzy Orda wychowywał mnie aż do pełnoletności do 21-go roku życia, utrzymując z własnej pracy i ucząc w bardzo trudnych warunkach.

Miał on również swój udział w udzielaniu pomocy innym ukrywającym się w czasie okupacji hitlerowskiej Żydom, np. pomagał w akcji transportu chorej na tyfus Chai Trajewickiej (Szumskiej) z mieszkania Janiny Zagałowej przy ul. Jagiellońskiej 6 m. 26 w Wilnie, gdzie się ukrywała, do szpitala zakaźnego pod fikcyjnymi oczywiście personaliami. Chaja przeżyła wojnę i została w Wilnie.

Ponieważ zawsze miałem bardzo słaby wzrok, dr Jerzy Orda miał ze mną ogromną pracę. Przeczytał mi ogromne ilości literatury pięknej. Nie było jeszcze magnetofonów”.

Kojarząc wspomnienia Wilhelma Zienowicza o ojcu z tamtą krótką relacją Jerzego Ordy o odprawie syna do Polski, zrozumiałam dopiero do końca ofiarną tego wybitnego człowieka: kochał uratowanego od zagłady żydowskiego chłopca i tęskno mu było bez niego, ale wiedział, że w Polsce będzie mu lepiej, że dostanie się na wyższe studia i nie będzie już mu nigdy grozić prześladowanie ze strony władz sowieckiej Litwy. Wkrótce po tej pamiętnej dla mnie rozmowie, która toczyła się na ławeczce przed kościołem św. Piotra i Pawła, zaprosiłam dr. Ordę na spotkanie literackie ze studentami-„zaocznikami” polskiej filologii Wileńskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Miałam tam wówczas tymczasową pracę — zleczone godziny wykładów z polskiej literatury. Wiedziałam, że muszę uzgodnić to zaproszenie z dziekanem, ale nie uczyniłam tego, z góry wiedząc, że nie pozwoli. Dla spotkania z dr. Ordą oddałam półtorej godziny, które miałam wyznaczone dla mego wykładu. Bardzo chętnie zgodził się. Jego odczyt był wspaniałą syntezą wileńskiego życia literackiego od czasów mickiewiczowskich do 1939 roku i dziejów sztuki.

Nazajutrz wybuchł skandal. Ktoś powiadomił panią dziekan wydziału filologii. Urząd ten piastowała przez długie lata Rosjanka, Jelena Kołpakowa, zawzięta stalinówka. Nietety, była absolwentką Leningradzkiego Uniwersytetu, pamiętam ją jeszcze ze swoich studenckich czasów, była o dwa lata młodsza ode mnie, studiowała rosyjską filologię, obrano ją kilkakrotnie sekretarzem studenckiego komitetu komsomołu. Teraz wrzeszczała na mnie po rosyjsku: „Kto ci dał prawo tu przyprowadzić z ulicy jakiego podejrzanego faceta? (po rosyjsku — *podozritelnogo tipa*). Czemu nie spytałaś o pozwolenie ani mnie, ani rektora?”. Wszystkie moje perswazje, relacje o jego naukowych zasługach, światowej sławie, nawet o tym, że w latach 30-tych bronił przed polskim sądem socjalistów (o czym pisał Jerzy Putrament w powieści „Rzeczywistość”), nie pomogły. Oburzona pani dziekan powiedziała, że na przyszły rok już nie zgodzi się żebym wykładała „zaocznikom”, bo splamiłam honor zakładu przyprowadzając samowolnie jakiegoś włóczęgę (*brodiagu*). Oczywiście wiedziała, że Jerzy Orda jest naukowcem, zaś pogarda i nienawiść do niego były spowodowane konsekwentną sowiecką polityką bezwzględnej izolacji polskiej inteligencji od społeczeństwa, szczególnie młodzieży.

Po upływie roku straciłam pracę w Połocku i bardzo chciałam otrzymać posadę w wileńskiej WSP. Ale Kołpakowa była nieubłagana i uprzedziła nawet rektora, żeby mnie nie przyjmował do pracy, chociaż posada była wolna. Wówczas poprosiłam profesora Pawła Berkowa, mego byłego promotora, żeby napisał list do Kołpakowej z prośbą o posadę dla mnie. Ten wysoce utalentowany petersburski uczonec, świetny znawca poezji Mickiewicza, sławista światowej sławy, były areztant stalinowskich więzień, przez swą dobroć i szlachetne serce nie odmówił mi, chociaż pisanie listu do Kołpakowej bynajmniej nie sprawiło mu przyjemności. Profesorowi nie odpowiedziała, mnie zaś napisała bardzo krótko: „Doro, nie używaj przeciwko mnie ciężkiej artylerii”. Więc profesor, który też był promotorem jej magisterskiej pracy i któremu wiele zawdzięczała, był dla niej tylko „ciężką artylerią”. Po dwóch latach bezrobocia znalazłam pracę we wschodniej Syberii, w mieście Czyta. Tam pracowałam pięć lat w WSP. W okręgowym archiwum Czyty znalazłam ogromny zespół dokumentów nerczyńskiej katongi, świadczących o losach zesłanych polskich powstańców. Część tych dokumentów opracowałam i wydałam w Polsce pod redakcją profesora Stefana Kieniewicza i profesor Wiktorii Śliwowskiej. Z Czyty

kilkakrotnie odbywałam podróże do Wilna pociągiem, trwające osiem dni. Badałam archiwalia polskie w centralnym historycznym archiwum Litewskiej SSR — tam właśnie pracował Jerzy Orda jako woźny. W czarnym fartuchu nosił po schodach ciężkie stosy zakurzonych teczek. Litewski komunistyczny dyrektor kazał go śledzić zabraniając mu rozmów z naukowcami przyjeżdżającymi z Polski. Dyrekcja pochowała wszystkie katalogi i inwentarze nie pozwalając cudzoziemcom na korzystanie z nich. Pamiętam jak w roku 1965 przyjechali do Wilna z Warszawy historycy literatury, Stanisław Świrko i Edmund Jankowski. Pierwszy z nich badał twórczość Jana Czeczota, drugi — Elizy Orzeszkowej. Ci bardzo zasłużeni dla polskiej kultury naukowcy tracili na próżno czas, nie mogąc dotrzeć do sygnatur poszukiwanych rękopisów. Jako sowiecka obywatelka miałam prawo korzystania z inwentarzy, więc odpisywałam dla polskich profesorów, z którymi się od razu zaprzyjaźniłam, sygnatury. Ktoś z pracowników podobno zauważył i doniósł dyrektorowi. Zawołał mnie do swego gabinetu i wrzeszczał, że nie mam żadnego prawa dawać jakichkolwiek informacji cudzoziemcom. Groził, że napisze list do rektora instytucji, w której pracuję, i zażąda mego zwolnienia. Nie wpuszczano mnie więcej do sali z inwentarzami, nie mogłam nawet odnaleźć sygnatury potrzebnych mi spraw śledczych powstańców z 1863 r.; pracowałam wówczas nad swoją książką o poezji powstania styczniowego. Wówczas mnie i warszawskim uczonym przyszedł z pomocą pan Jerzy, który nie musiał szperać w katalogach i inwentarzach; pamiętał numery zespołów i spraw, wiedział nawet jakie manuskrypty już były opublikowane i gdzie. Toteż odpisywał skrętnie dla nas sygnatury nie wydanych źródeł. Gdy spotykał mnie na schodach archiwum, kładł na podłogę sterty teczek, które stale dźwigał, oglądał się konspiracyjnie, czy nikt obcy nas nie widzi i wręczał mi potajemnie karteczki z zapisanymi tam numerami sygnatury akt.

Doktor Orda nie miał żadnej emerytury, musiał ciężko pracować w archiwum za marną pensję. W 1966 r., podczas pobytu w Warszawie, zdecydowałam się prosić Jerzego Putramenta — który osobiście znał doktora z przedwojennego Wilna — aby wystarał się dla niego o emeryturę za pośrednictwem KC. Podjął się zapoznać mnie z Putramentem literat Jerzy Ficowski, którego poznałam wcześniej podczas jego odwiedzin Drohobycza; jest zawsze związany z tym miastem z powodu swoich wieloletnich badań nad twórczością Brunona Schulza. Przeprowadził mnie wieczorem do kawiar-

ni w Domu Literatów. Tam właśnie siedział Jerzy Putrament i Jerzy Ficowski przedstawił mnie. Na początku rozmawiał ze mną życzliwie. Mówił, że jestem staranną czytelniczką wszystkich jego książek. Ale gdy zaczęłam opowiadać o ciężkim losie Jerzego Ordy i błagać, żeby pomógł wyprosić dla niego emeryturę, pan literat strasznie się rozgniewał i nieuprzejmie odpowiedział, że ta sprawa do niego nie należy i że załatwić nic nie może.

Podczas swego pobytu w Moskwie zaproponowałam naukowcom z Instytutu Sławistyki Akademii Nauk ZSSR napisanie wspólnego podania do KC Komunistycznej Partii Litwy z prośbą o wyznaczenie emerytury dr. Ordzie. Byli to badacze historii Polski, z którymi współpracowałam przez wiele lat: prof. Włodzimierz Diakow, autor wydanej w Polsce monografii o ks. Piotrze Ściegiennym, śp. Ilja Miller, dr Tamara Fiedosowa, wspomniana już dr Olga Morozowa i inni. Przywiozłam to podanie z Moskwy do Wilna i poszłam do KC. Urzeczony liczbą podpisów i pieczętką AN ZSSR młody litewski komunista, Taurinskas, instruktor wydziału kultury, powiedział: „Dobrze, niech ten wasz Orda do mnie przyjdzie i przyniesie podanie, napisze gdzie i kiedy pracował za Polski, a my mu emeryturę załatwimy”. Poszłam więc zadowolona do archiwum, spotkałam pana Jerzego, jak zwykle na schodach. Ledwie wypowiedziałam: „Panie doktorze, szykuje się Panu emerytura. Nie będzie Pan musiał tak ciężko pracować na stare lata. Niech Pan doktor szybko pisze podanie i idzie do KC”. Pan Orda położył teczkę na schodach i spojrzał na mnie z łagodnym i pobłażliwym uśmiechem i spytał: „Czy dobrze panią zrozumiałem? To znaczy, że ja, Jerzy Orda, mam o coś prosić tych bolszewików?! Nie!”. Wziął swe teczkę i poszedł dalej.

Po 1966 roku długo nie odwiedzałam Wilna. Wiem, że Jerzy Orda zmarł w 1972 roku. Niedawno odwiedziłam jego grób na cmentarzu na Rossie. Dr Zienowicz w Warszawie opowiedział mi, że jego ojciec ciężko chorował i że dwukrotnie odwiedzał go w Wilnie. Był też przy jego śmierci w szpitalu na Antokolu. Z żalem wspominał, że jego ojciec był niedbale leczony.

Wspomniana już mgr Janina Zagałowa niedawno wydała wspomnienia o tym wybitnym uczonym i działaczu (zbiór „Wilno — Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur”, pod redakcją prof. Elżbiety Feliksiak, t. III, Białystok 1992).

Do Lwowa, po raz pierwszy, przyjechałam w roku 1961 ze wschodniej Syberii, żeby przeczytać we lwowskim Ossolineum książki i rozprawy o Polakach na Syberii, wydane w okresie międzywojennym, których brak w naukowych bibliotekach Rosji. Odwiedzałam też inne biblioteki i archiwa historyczne. Byłam urzeczona ogromem wspaniałych polskich księgozbiorów i rękopisów. W 1966 r. przenieśliśmy się do Drohobycza w województwie lwowskim. Tam otrzymałam pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Często przyjeżdżałam do Lwowa. Tu stopniowo nawiązałam kontakty ze starą polską inteligencją. Wtenczas zrozumiałam, że niesłuszne jest potoczne powiedzonko: „Ludzi idealnych nie ma”. Są, właśnie wśród lwowskich intelektualistów spotkałam wielu ludzi idealnych. Jednym z najświetniejszych reprezentantów polskiej kultury we Lwowie był historyk sztuki, prof. Mieczysław Gębarowicz.

Prof. Gębarowicz w swoim skromnym dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Dobrolubowa (byłej Senatorskiej) telefonu nie miał. Ale co wieczór od siódmej godziny przyjmował wszystkich, którzy chcieli go odwiedzić. Każdy, bez uprzedzenia, mógł przyjść po radę, po informacje archiwalne i bibliograficzne. Poznałam go w 1961 roku. Przyjechałam z zabajkalskiego miasta Czyta, gdzie wykładałam literaturę w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Było to w lipcu. Odwiedzałam codziennie bibliotekę byłego Uniwersytetu im. Jana Kazimierza (obecnie im. Iwana Franki). Jest to piękny, dwupiętrowy gmach przy ulicy Maurycyego Mochnackiego (teraz Drahomanowa), niedaleko kościoła św. Mikołaja. W dwóch niewielkich salach czytelnia dla naukowców było wówczas niewiele ludzi. Profesor siedział przy stoliku niedaleko ode mnie i zauważył, że czytam XIX-wieczny lwowski *Dziennik Literacki*. Duży foliał był bardzo widoczny. Z życzliwym uśmiechem zbliżył się do mnie i spytał skąd przyjechałam i co interesuje mnie w tym piśmie. W czasie tej rozmowy zaprosił mnie do siebie. Przyszłam tegoż wieczora. Drzwi otworzyła doktor filologii, rdzenna lwowianka, Maria Chmielowska. Wiele lat swego życia poświęciła opiece i pomocy domowej dla profesora. Na nocleg odchodziła do koleżanki, magister romanistyki, Marii Home; mieszka niedaleko od profesora przy ulicy Świętego Mikołaja (obecnie Hruszewskiego). Tam, w jednym z dwóch pokoiów, pod krucyfiksem stało skromne stare łóżko pani Marii. W osobie Marii Home, gorliwej katoliczki, pełnej dobroci i ofiarności, profesor i pani Maria mieli bardzo oddaną i wierną przyjaciółkę. Na pogrzebie pani

Marii Mieczysław Gębarowicz powiedział te wzruszające słowa: „Ze śmiercią doktor Marii Chmielowskiej kończy się jakiś przepiękny i heroiczny okres naszych dziejów w okupowanym Lwowie”.

W ten wieczór było u profesora oprócz mnie jeszcze kilka osób: dwóch młodych ukraińskich malarzy, nazwisk których nie pamiętam. Pokazywali profesorowi swoje obrazy i przysłuchiwali się jego opiniom i porodom. Ja zaś opowiedziałam, że zbieram materiały dla swej książki o poezji powstania styczniowego. Byłam zdumiona, gdy profesor z pamięci wymienił sygnatury kilku archiwalnych tek rękopisów Ossolineum i lwowskiego historycznego archiwum. Chodziło przede wszystkim o tak zwane konfiskaty: austriacka policja we Lwowie podczas aresztowania uczestników powstania styczniowego zabierała im notatki, wspomnienia, listy, rękopiśmienne zbiorki pieśni ludowo-żołnierskich. Wszystko to było dołączane do sprawy śledztwa i sądu. Dzięki pomocy Profesora szybko dotarłam do kilku skonfiskowanych zeszytów, m.in. lwowskiego rzemieślnika Aleksandra Prokopowicza. Profesor świetnie znał nie tylko lwowskie archiwa, ale także kijowskie. Poradził mi opracować sprawę uczestników spisku Szymona Konarskiego, którzy byli więzieni w Kijowie i w 1839 roku zostali skazani na śmierć, ale w ostatniej chwili „ułaskawieni” i wywiezieni na Syberię na katorgę. Profesor wskazał mi sygnaturę kijowskiego archiwum. Nie miałam możliwości wybrać się do Kijowa, ale za to znalazłam ślady tychże konarszczyków w Czycie w archiwum nerczyńskiej katorgi. Byli to lekarz Antoni Beaupré, urodzony w Krzemieńcu, uczeń profesora Śniadeckiego, przyjaciel Słowackiego, absolwent Uniwersytetu Wileńskiego oraz Piotr Borowski i inni. Pracując w Czycie, w ciągu czterech lat, przepisywałam dokumenty o losach wielu polskich konspiratorów. W roku 1966, gdy przenieśliśmy się z Syberii na stałe do województwa lwowskiego i rozpoczęłam pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Drohobyczu, często odwiedzałam profesora Gębarowicza. Był on tak życzliwy, otwarty na ludzi, chętny służenia poradą naukową, że mogłam przyprowadzać ze sobą swoich znajomych naukowców. W latach 70-tych, kiedy do Drohobycza przyjechał mój kolega i współautor z Irkucka, dr historii Bolesław Szostakowicz, odwiedziłam z nim razem profesora. Z dużym zainteresowaniem rozpytywał gościa o syberyjskie archiwa, o losy pozostałych tam Polaków. Serdecznie rozmawiał z panem Bolesławem, prawnikiem polskiego konspiratora, Bolesława Szostakowicza, zesłanego w 1862

roku za zorganizowanie ucieczki Jarosława Dąbrowskiego z moskiewskiego więzienia.

Wśród naukowców, których poznałam z Mieczysławem Gębarowiczem był też warszawski historyk Tadeusz Kondracki, który przyjechał na badania źródłowe dziejów Polskiego Historycznego Towarzystwa Lwowskiego. Jak wielką była jego radość, gdy zapoznał się z żyjącym, czynnym działaczem tego nie istniejącego już Towarzystwa.

Wieczory spędzane przy herbacie w gościnnym domu Profesora przy rozmowach o sztukach pięknych, literaturze, polityce należą do najszcześniejszych chwil mojego życia.

Pewnego razu Profesor wypożyczył mi jedną z wydanych przez siebie książek celem doręczenia jej księdzu Janowi Szeтели, który od 1934 roku w ciągu pół wieku pełnił duszpasterskie obowiązki na lwowskiej ziemi we wsi Nowe Miasto powiatu starosamborskiego. W roku 1951 został wywieziony na ciężkie prace górnicze do łagrów w Karagandzie, skąd po czterech latach powrócił do swojej parafii.

Prof. Gębarowicza, historyka sztuki światowej sławy nie wpuszczano do działu rękopisów biblioteki lwowskiego Ossolineum i do tzw. „spec-fondu”, to znaczy zbioru książek i czasopism z lat 1917-1939. Według biurokratycznych przepisów każdy naukowiec, który chciał korzystać z czytelni tych oddziałów naukowej lwowskiej biblioteki im. Wasyla Stefaniaka (byłego Ossolineum), musiał corocznie przynosić zaświadczenie od dyrektora jakiejś naukowej instytucji i przedstawić je dyrektorowi, i dopiero za jego pozwoleniem mógł korzystać z rękopisów i „spec-fondów”. Profesor od r. 1963 nie miał żadnej państwowej pracy, tak samo jak dr historii sztuki Ludwik Grajewski, więc korzystać z potrzebnych mu działów biblioteki nie mógł. A przecież obydwaj poświęcili tyle trudu uporządkowaniu księgozbiorów, rękopisów i wydaniu drukiem katalogów. Zaproponowałam, żeby profesor Gębarowicz napisał podanie do dyrektora Instytutu Etnografii, gdzie ostatnio pracował oraz Głównego Zarządu Archiwów województwa lwowskiego. Chciałam je zanieść i wystarać się o pozwolenie wstępu do działów rękopisów. Odmówił kategorycznie. Nie chciał o nic prosić sowieckich urzędników. Ja także musiałam toczyć walkę z prorektorem drohobyckiej WSP, docentem Iwanem Gawryszczakiem, o otrzymywanie co roku nowego pozwolenia na korzystanie z rękopisów i „spec-fondu”. Upierał się, że emeryci nie mają tego prawa. Pisałam skargi, żądałam i z trudem otrzymywałam pozwolenie na blankiecie z pieczęcią.

Pamiętam dobrze swoje ostatnie spotkanie z profesorem Gębarowiczem 30 kwietnia 1981 roku na Janowskim cmentarzu na pogrzebie mojego przyjaciela, bibliotekarza z Ossolineum, Jana Rogali, dzielnego obrońcy polskiej kultury. Profesor był bardzo zmartwiony zgonem Jana Rogali. Musieliśmy prędko opuścić cmentarz, wyganiano nas, bo zaczynały się, otoczone tajemnicą pogrzeby żołnierzy, których szczątki przywożono w ocynkowanych trumnach z Afganistanu. Przy wyjściu z cmentarnej bramy profesor mocno uściśnął moją dłoń. Takim na zawsze pozostał w mojej pamięci: wysoki, wysportowany, nie zginający się pod ciężarem lat i trudnych przeżyć.

Głębokie współczucie i jednocześnie zachwyt wzbudzał w moim sercu drugi wspaniały znawca zabytków i pamiątek Lwowa, doktor filozofii Ludwik Grajewski. Urodził się w 1900 roku we Lwowie; w latach 1919/20 brał udział w wojnie jako ochotnik, później studiował na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Lwowskiego, poświęcając się historii sztuki, a następnie na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tu uzyskał stopień doktora filozofii. Wiele lat swego życia poświęcił pracy nad historią sztuki we Lwowie; był kustoszem w Bibliotece im. Baworowskich, sekretarzem Urzędu Konserwatorskiego przy województwie lwowskim; ogłosił kilka książek i wiele rozpraw. Jego życiorys i bibliografia podane są w „Biuletynie Sztuk Pięknych”, Warszawa 1992.

Podczas sowieckiej okupacji usiłował kontynuować swoją pracę w Ossolineum, ale zwolniono go; długo był bezrobotnym. Potem zatrudniony w bibliotece Ukraińskiego Muzeum Etnografii, pracował bardzo pilnie i owocnie, ale też po jakimś czasie został wyrzucony.

Poznałam go w roku 1979, kiedy już był na bardzo nędznej emeryturze: około osiemdziesięciu rubli miesięcznie. Gdy koledzy z Instytutu Sztuki PAN w Warszawie przekazywali mu ubranie lub obuwie, prawie nigdy ich nie używał, oddając do sklepu komisowego, żeby spieniężyć. Mówił mi, że będzie ubierał się we wszystko stare, byle starczyło pieniędzy na jeden codzienny obiad w stołówce. Mieszkał daleko od centrum, na ciemnej podmiejskiej ulicy Towarowej, na poddaszu, w dwóch niewygodnych pokoikach bez łazienki. Na parterze mieszkała rodzina ukraińska, o której mówił przychylnie. Po śmierci żony mieszkał sam. Nie załamały go ani prześladowania, ani nędza i choroby, do końca zachował entuzjazm naukowca. Przy pierwszej wiadomości, że ktoś chce

zwieznić zabytki Lwowa i posłuchać jego komentarzy, zjawiał się natychmiast w lichych butach, nie zważając na deszcz i śnieg. Oprawdzał zwiedzających twardym, szybkim krokiem. Opowiadał wyraźnie i głośno, nigdy nie korzystając z żadnych notatek. Pamięć zachował świetną. Pewnego razu, podczas naszej wycieczki po Lwowie, powiedziałam, że chciałabym się nauczyć od niego klasyfikacji stylów architektonicznych. Odpowiedział, że chętnie służy swoją wiedzą, ale żeby się tego nauczyć, trzeba poświęcić całe swoje życie...

Oprawdzał i opowiadał bezinteresownie, nie robiąc różnicy, czy przyjechali zwiedzać Lwów Polacy, Rosjanie czy Ormianie. Pamiętam, jak w roku 1986 przyjechała odwiedzić Lwów z Moskwy Olga Morozowa, doktor historii polskiej, autorka źródłowej monografii o Bronisławie Szwarce. Była z córką, studentką, która nauczyła się mówić, czytać i pisać po polsku. Dr Grajewski oprawdzał nas po byłych kościołach, klasztorach i cmentarzu Łyczakowskim.

Kształcił każdego, kto chciał być przewodnikiem po tym mieście. Szli do niego po porady i informacje piloci wycieczek, którzy rozumieli, że nie wystarczy im tych miernych i nikłych wiadomości, które otrzymywali na urzędowych kursach.

Pan Ludwik nigdy nie wahał się: czy skorzystać z możliwości wyjazdu na stałe do Polski, czy pozostać we Lwowie. Bez Lwowa nie było dla niego życia. Całe to piękne miasto było jego warsztatem. On ciągle doskonalił i uzupełniał swe badania nad sztuką Lwowa. Ze wszystkich poniżeń najwięcej bolało go to, że przez ostatnie piętnaście lat swego życia nie miał wstępu do Biblioteki Ossolineum, której poświęcił tyle trudów. Doktor Grajewski nie mógł dotrzeć do polskich pism z lat 1918-1939, żeby kontynuować swoje badania nad bibliografią ilustracji w czasopismach.

Ostatni raz rozmawiałam z dr. Grajewskim kilka tygodni przed jego śmiercią. W czasie rozmowy ze wzruszeniem wspominał Instytut Sztuki PAN w Warszawie, profesorów: Andrzeja Ryszkiewicza, Stanisława Mossakowskiego, Jerzego Kowalczyka. Opowiadał jak był przez nich zaproszony i goszczony. Pamiętał o tym przed śmiercią. Był ciężko chory. Usiłowałam umieścić go w szpitalu, umówiłam się z doktor medycyny, Polką, Franciszką Kowalską, że to załatwi. Przyjechałam 16 listopada 1987 roku do pana Ludwika z jej córką, Natalią Kowalską, która pracuje w jednej z lwowskich ukraińskich gazet. Miała umówić się z nim, że nazajutrz przyjedzie po niego karetka pogotowia i zawiezie go do szpi-

tała, gdzie pracuje jej matka. Powiedział stanowczo: „Do sowieckiego szpitala nie pójdę”. Zmarł 1 grudnia 1987 roku w domu.

Zawsze ogarnia mnie ból, ilekroć wspominam poniewiekę zasłużonego reprezentanta polskiego życia kulturalnego we Lwowie, Kazimierza Giebułtowskiego. Jest znany jako redaktor i autor dokładnych komentarzy do utworów literatury pięknej, wydawanych w serii „Biblioteka Narodowa”. Wytrwale pozostał do końca w Ossolineum. Został, nie zważając na to, że ta słynna polska instytucja została brutalnie okupowana przez tzw. „czarnych pułkowników”. Tak nazywali starzy bibliotekarze, Polacy i Ukraińcy, dymisjonowanych oficerów KGB, którzy objęli kierownicze stanowiska w byłym Ossolineum, przekształconym w bibliotekę Akademii Nauk Ukrainiejskiej SSR, zaś od roku 1971 w Bibliotekę Naukową im. Wasyla Stefanika. Wśród nich szczególną nienawiścią do kultury wyróżniali się Ukraińiec, Oleg Kuszcz, kierownik „spec-fondu” i Rosjanin, Iwan Bakow, główny inspektor tzw. „specroboty”, co oznaczało specjalny nadzór nad przestrzeganiem w instytucji zasad komunistycznej ideologii. Taki inspektor był podporządkowany tylko kierownictwu KGB. Nawet sam dyrektor biblioteki obawiał się go. Dzięki uprzejmości nowego dyrektora biblioteki, dr Łarissy Kruszelnickiej, udostępniono mi, podpisywane przez tego dymisjonowanego podpułkownika, rozkazy zwolnienia kilku pracowników bez żadnej winy z ich strony. Tak się działo jeszcze do roku 1991. Rozkazy te obowiązywały bez aprobaty dyrektorów. Zresztą kolejni dyrektorzy, tchórzliwi karierowicze, typowi przedstawiciele stalinowsko-breżniewowskiej nomenklatury, nie usiłowali bronić nieszczęśników pozabawianych pracy. Stanowiska te obejmowali kolejno: Eugen Iwanciw (1957-1971), Włodzimierz Maszotas (1971-1974), Eugen Stasiuk (1974-1984), Michał Lizaniec (1985-1991). Ten ostatni, jubiler z zawodu, „zasłużył” się największą ilością spalonych polskich i ukraińskich druków i rękopisów. Bibliotekarze między sobą nazywali go „pan Katyń”.

Historyk literatury, Kazimierz Giebułtowski, pracował w dziale rękopisów. Kierowniczką działu była Taisja Kozaczuk, zupełna analfabetka w dziedzinie archiwistyki. Wysoka, płaska, o złośliwych i brzydkich rysach twarzy, w wieku ok. 50 lat. Włosy farbowała na czerwono, głos miała tak donośny,

że mogłaby wydawać rozkazy dla całego pułku na dużym placu. Toteż wprowadziła dla poddanych reżim wojskowy. Musieli wysłuchiwać jej uwag i rozporządzeń na stojąco, wyprostowani. Wrzeszczała okropnie na pracowników, których winą było tylko to, że znali się doskonale na manuskryptach i mieli dobre wykształcenie. Ze szczególnym cynizmem znęcała się nad Kazimierzem Giebułtowskim. Najwięcej drażniło ją, że była ignorowana przez swego podwładnego, który nie reagował na jej krzyk, nie usiłował usprawiedliwiać się i dyskutować. Kazimierz Giebułtowski patrzył na szefową jak gdyby jej nie dostrzegając. Nie miała podstaw do zwolnienia go z pracy. Nigdy się nie spóźnił, nigdy wcześniej nie wyszedł, przeciwnie, pozostawał nieraz po godzinach obowiązkowych. Jedynym sensem jego życia było uratowanie, uporządkowanie historycznych i literackich poloników. Widząc, że Giebułtowski nie ma zamiaru podać się do dymisji, towarzysząca Kozaczuk zdecydowała się zadać mu ostateczny cios. Pewnego dnia powiedziała, że jej potrzebne jest biurko, przy którym Giebułtowski pracuje i że jutro każe je zabrać. Nic nie wskórała. Pan Kazimierz zjawił się nazajutrz, jak zwykle punktualnie o 9-tej, usiadł na podłodze, rozłożył wokół siebie karty katalogowe, notatki i zaczął pracować. Układał wówczas wykaz polskich Sybiraków XIX wieku. Zbierał do tego materiały przez wiele lat, wykorzystując nekrologi, listy, urzędowe akta. Przy nazwisku katorżnika lub zesłańca podawał jego krótki życiorys, wyrok sądu, starał się też informować o tym, czy zmarł na wygnaniu, czy wrócił. Ustalić to jest bardzo trudno, potrzebne są wieloletnie poszukiwania. Sporządzona na podłodze kartoteka polskich konspiratorów i powstańców na Syberii stanowi teraz część tzw. „osobistego zespołu Giebułtowskiego”. Znajduje się w Bibliotece im. Stefanika, jest skatalogowana przez uczciwą i pracowitą archiwistkę, mgr Nellę Grajcer. Zmikrofilmowałam kartotekę Sybiraków dla siebie i dla wspomnianego już kolegi z Irkucka, dr. Szostakowicza. Jest nam bardzo pomocna przy opracowywaniu haseł dla Polskiego Słownika Biograficznego i innych rozpraw.

Dr Giebułtowski pracował bez przerwy czując prawdopodobnie, że upada już na siłach, a chciał jeszcze wiele zdążyć. Mój przyjaciel, Kazimierz Żółkiewski, kierownik katalogów, który wielce zasłużył się w sprawie udostępnienia czytelnikom polskich księgozbiorów Ossolineum, mówił mi wiele o Giebułtowskim. Nie pamiętam dokładnie, kiedy zmarł, zdaje się przy końcu lat sześćdziesiątych.

Bardzo wiele zawdzięczam też drugiemu entuzjastcie polskiej nauki, który także wytrwale bronił skarbów Ossolineum. Był nim dr prawa Waław Olszewicz, autor wielu cennych naukowych prac o kulturze Oświecenia. Został przymusowo przeniesiony na emeryturę, pomimo że był jednym z najlepszych znawców księgozbiorów i manuskryptów. Odwiedzał często bibliotekę dla kontynuacji swoich badań naukowych. Wpuszczano go, bo dla korzystania z literatury XVIII wieku nie żądano specjalnego pozwolenia. Był dla mnie bardzo życzliwy i łaskawy. Powiedział, że mogę przychodzić do jego mieszkania kiedy chcę i że zawsze gotów jest udzielić mi porady naukowej. Mieszkał naprzeciwko Ossolineum, przy ulicy Ossolińskich (obecnie Stefanika). Pamiętam jego dość duży pokój, bardzo podobny do bibliotecznej sali. Wszędzie stały pudła i skrzyneczki z kartotekami. Poszukiwałam wiadomości o mało znanych poetach powstania styczniowego. Wymieniałam nazwiska, a dr Olszewicz szybko wynajdywał odpowiednie kartki i dawał mi do odpisywania. Czynił to bardzo chętnie, był zadowolony, że opracowania, którym poświęcił tyle lat, są komuś potrzebne. Dzięki niemu poznałam życiorysy poetów-powstańców: Mieczysława Mokłowskiego, Władysława Wagi, Marcelego Skałkowskiego i wielu innych. Złożyłam podziękowanie panu Olszewiczowi w swej książce o poezji powstania styczniowego, wydanej w Polsce w Ossolineum w roku 1974.

Pan Waław był świetnym rozmówcą, wesołym, pełnym werwy. Nigdy nie skarżył się na swój los. Pasją jego życia był Lwów. Często przychodził do tzw. „pierzokowej” cukierni. Czytał tu gazety, umawiał się na spotkania ze znajomymi, prowadził długie towarzyskie rozmowy. Często przychodził z Zofią Rogaliną, wysoce wykształconym filologiem, znawczynią kilku zachodnioeuropejskich języków, gorącą patriotką. Wiele lat poświęciła pracy w Ossolineum. Jej życiorys jest umieszczony w Polskim Słowniku Biograficznym.

Poza bibliotekami i archiwami poznałam tylko jednego polskiego naukowca. Był nim farmakolog, wymieniany w kilku zagranicznych medycznych encyklopediach, profesor Tadeusz Wilczyński. Poznałam go w roku 1979 na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Stało się w to w następujących, bardzo smutnych okolicznościach.

Podczas moich częstych odwiedzin Lwowa nocowałam u swojej koleżanki wspomnianej już Marii Kalinowskiej. Pewnego dnia zastałam ją zmartwioną. Powiedziała, że coś niedobrego dzieje się z profesorem Wilczyńskim, bo do niego nie można dotrzeć. Maria zaproponowała mi, aby natychmiast pójść z nią do profesora. Kalinowska mieszkała niedaleko Kajzerwaldu. Poszłyśmy ulicą Łyczakowską (wówczas Lenina) w kierunku Majorówki i skręciłyśmy na prawo w ulicę Czeremsyną (dawniej Dunin-Wąsowiczów). Profesor mieszkał w drewnianej willi, należącej do Witolda Wąsowicza, który wyjechał na stałe do Polski do Sopotu. Willa była otoczona tajemnicą i grozą. Przed kilkoma laty zmarła tam nagle samotna nauczycielka, polonistka, bardzo szanowana przez młodzież, p. Zabłocka. Podobno została otruta. Teraz przyszła kolej na Wilczyńskiego. Drzwi nam nikt nie otwierał, ale nie odchodziłyśmy, tylko dalej stukaliśmy. Wówczas ukazały się w oknie dwie jędze i zaczęły nam grozić szczotką przybitą do długiego kija. Musiałyśmy odejść. Po kilku dniach przyszłam po raz drugi ze sp. Genowefą Porębską, która przyjechała z Polski. Mąż jej, Tadeusz, był wówczas urzędnikiem w Lwowie. Przywiozła z Polski ciepłą bieliznę. Znowu na próżno czekałyśmy pod drzwiami. Lał deszcz. Wkrótce musiałam prosić jednego ze swoich studentów „zaoczników” z Drohobycza, oficera lotnika, aby pojechał ze mną. On pierwszy podszedł do okna i krzyknął, że przyszła milicja. Dwie ukraińskie kobiety, najwidoczniej wynajęte do znęcania się nad profesorem, nie dostrzegły w ciemności, że był w mundurze lotnika i otworzyły drzwi. Wśliznęłam się do mieszkania, oficer odszedł, bo nie chciał się narażać. Wówczas zobaczyłam Profesora. Wyglądał strasznie: chudy, leżał na tapczanie na deskach, ledwie przykryty brudnymi szmatkami, bez pościelowej bielizny. Był w pełni rozumu i miał świetną pamięć. Jego duże, niebieskie oczy były pełne życia i mądrości. Powiedział mi, że nie wpuszczają do niego ani notariusza, ani lekarza, odbierają emeryturę, konfiskują listy z Polski i głodzą. Skarżył się, że kobiety przyprowadził, aby urządzić mu domowy areszt, oszust i przestępcę Mikołaj Herzog.

Profesor wytłumaczył mi, że jest to folksdojcz. Za okupacji hitlerowskiej był policjantem, wieształ i rozstrzeliwał Polaków, Żydów i Rosjan. Za Sowietów zmienił nazwisko na ukraińskie — Herciuk — i wynajął się komunistycznym władzom. Podobno przyczynił się do zabójstwa nauczycielki Zabłockiej, zagarnął pozostawione w willi przez jej gospoda-

rza Wąsowicza obrazy i kolekcję starych monet. Potem dowiedziałam się, że w 1991 r. syn Mikołaja Herciuka podjął starania o oddanie mu na własność tej willi przy ul. Czeremszyna. Polski mecenas, Makowski, z Warszawskiego Zespołu Adwokackiego nr 40, prowadzi sprawę o oddanie willi synowi przestępcy, willi, w której w 1980 r. zmarł męczeńską śmiercią profesor Wilczyński. Polski konsul — jak już wspomniałam — odmówił interwencji. W tej sytuacji zdecydowałyśmy się z p. Kalinowską podać skargę do prezesa Rady Rejonowej, przedstawiciela sowieckiej władzy w tej dzielnicy Lwowa, w której mieszkał profesor — zwanej *czewonoarmijskiej rejon*. Ponieważ ten funkcjonariusz, Golenko, nie przyjął nas, więc zostawiłyśmy skargę na piśmie. Jednocześnie podałyśmy skargę do prokuratora, ale nikt z nich nie odpowiedział. Mój lwowski przyjaciel lekarz, Rosjanin Władimir Panin, na moją prośbę namówił jednego ze swoich pacjentów, posła, aby zaapelował do Golenki. Przyjaciel w tajemniczy powiedział mi, że prezes Rady zjawi się wkrótce w mieszkaniu Wilczyńskiego, gdyż obiecał posłowi zobaczyć co się tam rzeczywiście dzieje. Panin ujawnił mi także dyskretnie dzień i godzinę tej wizyty. Czekałam pod willą sama, bo Maria Kalinowska w międzyczasie wyjechała na stałe do Polski. Gdy uprzejmie otworzono drzwi prezesowi i dwóm towarzyszącym mu osobom, szybko wśliznęłam się do mieszkania. Z Golenką przyszli: kierowniczka Katedry Farmakologii Lwowskiego Instytutu Medycznego, doc. Ładnaja, Ukrainka, i jej pomocnik Rosjanin, doc. Kałasznikow, który właśnie strasznie na mnie krzyczał i usiłował wygnąć. Wrzeszczał, że mam być w pracy, a nie tu, i że napisze skargę na mnie do rektora drohobyckiej WSP. Ja zaś spokojnie odpowiedziałam, że on też o porannej godzinie powinien pracować. Pozostałam i wysłuchałam ich rozmowy do końca. Golenko mówił po rosyjsku, natomiast profesor Wilczyński odpowiadał po polsku, chociaż dobrze znał rosyjski i ukraiński, bo w tych językach prowadził przez wiele lat wykłady dla studentów w sowieckim Instytucie Medycznym. Funkcjonariusz spytał, czego profesor chce. Odpowiedział, że chce, aby go stąd wypuszczono, bo chce wyjechać do Polski. Czy macie tam krewnych — spytał Golenko. Odpowiedź brzmiała: „Krewni zmarli, ale połóżcie mnie na ziemi, na polskiej granicy, podnieście mnie polski żołnierz i zaprowadzi do polskiego szpitala, niczego więcej nie chcę”. Golenko nakazał oddawać profesorowi emeryturę i wpuszczać dzielnicowego lekarza, natomiast w sprawie notariusza nie zarządził niczego. Usiłowałam

protestować przeciwko bezprawnemu domowemu aresztowi Wilczyńskiego, ale Ładnaja i Kałasznikow przerywali mi i nie dawali mówić. Prezes zaś powiedział, że żadnego aresztu nie ma, że on całkowicie polega na uczciwej opiece pani docent Ładnej, byłej szefowej profesora. Zrozumiałam wówczas, że pani docent i jej kolega Kałasznikow czyhają na rękopisy profesora, żeby je wydać pod swoim nazwiskiem, oraz na jego rzadką kolekcję leków roślinnych. Profesor Wilczyński mówił mi w czasie naszego pierwszego spotkania, że chce wszystko zostawić w spadku Akademii Nauk w Krakowie. Więc Ładnaja i Kałasznikow skontaktowali się z przedstawicielem władzy w osobie Golenki, który też prawdopodobnie miał otrzymać swoją część łupu w postaci cennych obrazów lub monet. Zrozumiałam, że jestem w błędnym kole, bo złożyłyśmy z Marią Kalinowską skargę do tej osoby, która wynajęła kata Herciuka.

Zauważyłam, że podczas odwiedzin prezesa profesor już nie leżał na szmatach, tapczan był posłany czystą bielizną. Znaczy to, że Herciuk wiedział o odwiedzinach i uprzedził zamieszkałe tu swoje popieczniczki.

Wkrótce profesor Wilczyński umarł, prawdopodobnie otruty. Nie wy dostał się z domowego aresztu, nie sporządził testamentu, nie wyjechał do Polski do szpitala. To okrutne znęcanie się nad 89-letnim uczonym światowej sławy musi być zbadane i ukarane.

Piszę w nadziei, że ta garść wspomnień przyczyni się do utrwalenia pamięci o ludziach polskiej nauki, którzy świadomie i celowo wybrali drogę służenia ojczystej kulturze na ziemiach straconych.

Drohobycz, 15. VIII. 1993

Dora KACNELSON

Kiedy odkładam słuchawkę
 Wzdycha ciężko
 Ołowiany kabel na dnie morza
 A różowe pyszczki ryb
 Badają echo ostatnich słów

Jesteśmy teraz jak odmrożone uszy
 Po obu stronach ziemi
 A w środku między nami
 Wiewiórka języka
 Mocuje się
 Z orzeszkiem rozstania

MUSZLA

Wychodzisz z naszego snu
 Twoich czterdzieści lat
 Wystaje spod krótkiej nocnej koszuli
 Idziesz po omacku
 Jakbyś bała się spuścić spustoszenia
 Jakie uczynił w nas czas
 Ale ty szukasz tylko szklanki
 Chcę ci pomóc ale nie potrafię
 Nawet na to mnie nie stać
 Ja który wypilem twoją młodość
 Nie mam teraz usprawiedliwienia

Zbieram na dłoń okruszki chleba
 Ze wspólnych lat
 Ostre jak opiłki szkła
 Śledzę puste poczekalnie na dworcach
 Gdzie drzewa sięgają wyżej pamięci
 Widzę lot czerwonej wstążki powitań
 Jak ślimaczy się ślimak rozstania
 I jak w zasypanym śniegiem uzdrowisku
 Otwiera się koncertowa muszla
 Pusta i głucha jak pień

Tomasz JASTRUN

Wiersze

Tomasz JASTRUN

GRACZ

W wigilię tego roku
 Wszystkie moje lata
 Jak bilardowe kule
 Wysypały się na stół
 Białe i wyraziste jak kości
 Stukały złowrogo o siebie
 Odarte ze skóry kolana
 Aż znieruchomiały
 Wpatrzono niemo w cztery otwory
 W czterech rogach kosmicznego stołu
 A ja stoję pochylony
 Z gładkim kijem
 I mierzę

MIĘDZYNARODOWA

Nasza miłość miała nagły początek
 A teraz kończy się gwałtownie
 Jak przerwana rozmowa telefoniczna

Józef BARAN

MAJOWE ZAKŁĘCIE

Jodłówka Borek Przyborów
i już Borzęcin
wystrzela zza boru
a dalej Dębno Brzeźnica
Zalasowa i Zaborów

tam płynąć
pośród bzów kapliczek woni
natchnionych raz do roku
obok kalinowych ołtarzy wiosny
wskroś pasikoników wrzawy miłosnej

tam płynąć wielkim żaglowcem równiny
gdzie oczy poniosą
wciąż przed siebie
gdy na gankach wietrzą się pierzyny
i puchowe obłoki na niebie

gdy skowronek zachłystuje się pogodą
nakręcona trajkotka przestrzeni
czas zakłębieniem wstrzymać przestać rosnać
pozostać na zawsze majowym dzieckiem ziemi

sercu tylko dozwolić
by z zachwytu rosło
w sobie pomieścić się nie mogąc
„trwaj chwilo jesteś piękna”
czytać napis motyli nad drogą

Borzęcin 93

Józef BARAN

Archiwum polityczne

Sołżenicyn u Jana Pawła II

„Czekaliśmy długie lata na to spotkanie... Podziwiam Waszą Świętobliwość (zwrot ten jest normalny także w ustach Sołżenicyna, bo tak bywa nazywany również patriarcha Cerkwi Prawosławnej, n.m.) i dlatego chciałem tak bardzo Go poznać... Zadrzałem kiedy chciano Waszą Świętobliwość zabić”.

Tymi słowami zwrócił się Sołżenicyn do Jana Pawła II w czasie spotkania, które dziwnym zbiegiem okoliczności (nie było na ten dzień planowane) wypadło w sobotę 16 października czyli w dniu kiedy świat obchodził 15-lecie pontyfikatu. Sołżenicyn przebywając wówczas w Vermont w USA powitał ten wybór jako „cud, wielką łaskę Boga”. A trzy lata później dowiedział się, że papież zna wszystkie jego utwory i żywi do niego wielki respekt i podziw. I wyraził się wtedy: „ten wielki pisarz rosyjski jest świadkiem cierpień, prześladowań i martyrologii, ale przede wszystkim świadkiem, z całym swoim dziełem, Ewangelii”. Ktoś, już nie pamiętam kto, porównując obie wielkie postacie, zauważył, że ich przesłanie do świata jest zbieżne, z tym że Ojciec Święty przemawia jak optymista, Sołżenicyn — jak pesymista.

Irina Alberti Iłowajska, bliska współpracowniczka Sołżenicyna i redaktor naczelny zasłużonego pisma emigracji rosyjskiej *Russkoj Mysli*, ukazującego się od kilkudziesięciu lat w Paryżu, uczestniczyła w tej niecodziennej wizycie, w czasie której Sołżenicynowi towarzyszyła żona Natasza. Według jej relacji przedmiotem rozmowy, trwającej prawie półtorej godziny, była wiara i stosunki pomiędzy katolikami i prawosławnymi. Sołżenicyn zauważył: „w kościołach na Zachodzie widzę wielu turystów, ale mało wiernych”. Papież odpowiedział, że nie jest tak źle, że sytuacja zaczyna się stopniowo polepszać. Zdaniem Sołżenicyna, stanowisko Kościoła Katolickiego wobec dialogu ekumenicznego i w szczególności podejście samego papieża do Cerkwi Prawosławnej są zbyt często opacznie rozumiane przez prawosławnych.

I stwierdził, że trzeba unikać błędów także i z drugiej strony, ponieważ rosyjska Cerkiew Prawosławna „jest chora, wciąż jeszcze bardzo słaba i staje na nogach z dużymi trudnościami, nieraz lęka się, że katolicy są rywalami, a nie przyjaciółmi”. I podkreślił: „Oczywiście nie dotyczy to Waszej Świątobliwości, ale różnych jednostek i grup ludzi”. A na wyjaśnienie papieża, odnoszące się do obecności wspólnot katolickich, rozsianych na terytorium Rosji, często wyrwanych z ziem pochodzenia — Litwinów, Niemców, Polaków, Ukraińców — Sołżenicyn zareagował: „Zwraca się im ośrodku duszpasterskie, do których mają prawo”. Papież, natomiast, mówił ze wzruszeniem o męczennikach rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, którzy „przelali krew za Chrystusa tak jak pierwsi chrześcijanie, a krew ta stanowi ziarno odrodzenia tego Kościoła”.

Rozmowa, jak zauważyła pani Irina, przebiegała w atmosferze odprężenia, wśród uśmiechów, tak jakby obaj znali się już od dawien dawna.

Rzym

Dominik MORAWSKI

W A W E L

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Kraj

Pierwsze rozstawienie figur

1.

Pawlak ufa, że jego rząd utrzyma się przez cztery lata, aż do następnych wyborów parlamentarnych, i tak też polecił swym ministrom kalkulować politykę gabinetu. Jego partner Kwaśniewski na pytanie (*Wprost* 7.XI.93), czy rząd przetrwa cztery lata, odpowiada ostrożnie: „Ma szansę”. Prezydent Wałęsa jest już to skłonny śpiewać Pawlakowi „Sto lat...”, już to „nie myśli”, by się chłopskiemu premierowi udało. Bugaj w imieniu Unii Pracy zapewnia w parlamencie, że jej poparcie dla rządu będzie krytyczne, a Mazowiecki, że opozycja Unii Demokratycznej — odpowiedzialna i na pewno obca formule „im gorzej, tym lepiej”. BBWR, tak jak prezydent, czeka i się wstrzymuje. KPN jest oczywiście przeciw, ale zachowuje się w sposób niezwykle jak na tę partię powściągliwy. Nawet opozycja pozaparlamentarna demonstruje ostrożność. W trakcie manifestacji z okazji 75-lecia odzyskania niepodległości krzyczano wprawdzie „precz z komuną” i „precz z Cimoszewiczem”, który z niejasnych względów zajął w tym wykazie hasel miejsce Jaruzelskiego, ale w kościele św. Krzyża w Warszawie, na mszy z udziałem przywódców śpiewano Rotę z „ojczyznę wolną racz zachować Panie”, czyli że komuna jednak nie pozbawiła nas jeszcze niepodległości... Rząd Pawlaka ma najwyraźniej fory nawet na prawym chodniku ulicy; bo na przykład „Bolek do Moskwy” krzyczano tam w najlepsze.

W październikowym sondażu Demoskopu optymistów było o 17 punktów procentowych więcej niż we wrześniu, a pesymistów o 21 mniej. Z kolei wg CBOS 58% respondentów uważa, że rząd Pawlaka będzie lepszy od poprzedniego

(w tym 12 %, że zdecydowanie lepszy) a tylko 9 %, że gorszy (w tym 2 %, że zdecydowanie gorszy), 18 % nie widziało różnicy, a 15 % nie miało zdania. Aż 49 % respondentów w tym sondażu ufało, że rządząca koalicja będzie się kierować przede wszystkim interesem państwa; 32 % sądziło, że przeważą interes własnych partii koalicjantów. Odnotujmy też wyniki Pracowni Badań Społecznych dla „Rzeczypospolitej”. Na pytanie: „Po wyborach niektórzy obawiają się powrotu ustroju, jaki panował, kiedy rządy sprawowała PZPR. Co Pan(i) o tym sądzi?” — aż 62 % odpowiedziało, że „to jest niemożliwe”, a 12 % nie miało zdania; po 13 % zebrały odpowiedzi „to jest możliwe i obawiam się tego”, oraz „to jest możliwe i nie widzę w tym nic złego”. A więc — utrzyma się czy się nie utrzyma?

2.

Wszyscy aktorzy polskiej sceny politycznej starają się teraz dostosować do nowej sytuacji.

Najwięcej na pozór dzieje się na prawicy. W dzień po uchwaleniu na Wiejskiej wotum zaufania dla rządu Pawlaka, ogłoszono utworzenie koalicji prawicowej „wielkiej trójki” — ZChN Chrzanowskiego i Niesiołowskiego, PC Kaczyńskiego oraz PL Janowskiego. Czwartym do tego brydza miałby być w grudniu, po swoim zjeździe, Ruch dla Rzeczypospolitej Olszewskiego, chyba jednak już bez Macierewicza. Jest możliwe, że ostatecznym (żałosnym) efektem afery czarnych teczek będzie skupienie się ich wyznawców na zupełnym marginesie, wokół Piotra Wierzbickiego i jego *Gazety Polskiej*...

Nazajutrz po ZChN, PC i PL drugą koalicję prawicy skonstruowała Partia Konserwatywna Halla, chadecy Łączkowskiego, chłopochadecy Ślisza i ...Unia Polityki Realnej Korwina-Mikkego.

Wszystko to odnotowuję z obowiązku kronikarza, gdyż, jak zauważyłem, jest to działanie się pozorne. Wszystkie, ile ich tam jest, razem czy osobno, formacje prawicowe nie mają jeszcze najwyraźniej nic do powiedzenia. Jak pamiętamy, w okresie rządów Suchockiej konflikt polityczny rozpięty był na dwóch opozycjach: wokół liberalnego programu reform społeczno-gospodarczych i wokół klerykalizacji państwa. Otóż prawica została po prostu odsunięta od tej szachownicy. Wygrali wprawdzie krytycy dotychczasowego programu reform, ale lewi, nie prawi, wiarygodną zaś wobec aktualnych zwycięzców opozycja jest Unia Demokratyczna i jej sojusznicy,

nie zaś prawica. Problem natomiast stosunków państwa i Kościoła nie może być przecież formułowany bez... Kościoła, ten zaś najwyraźniej zdystansował się od dotychczasowych swych politycznych podopiecznych i wyruszył na poszukiwanie (łowy?) owieczek zagubionych. Właśnie to odsunięcie od głównego terenu gry politycznej sprawiło chyba, że wymienione koalicje sklecono tak dziwacznie i jakby przypadkowo: ci wokół ZChN chcieliby zapewne wyglądać na bardziej narodowych, a ci wokół Halla na bardziej europejskich, ale takie rozróżnienia są tylko wtórną racjonalizacją personalnych sympatii i antypatii. W rezultacie suponowany tu przeze mnie sojusz autorów *Gazety Polskiej* byłby przynajmniej konsekwentny: jego programem, ubożuchnym ale za to krystalicznie jasnym i jednolitym, byłaby tzw. dekomunizacja.

Do wyborów komunalnych jest wprawdzie jeszcze ponad pół roku, ale pozwolę sobie już dziś przewidywać, że prawicy w jej obecnym stanie nie powiedzie się w nich nawet tak (w procentach głosów) jak w wyborach parlamentarnych. Na profity z ewentualnych niepowodzeń rządu będzie jeszcze na ogół za wcześnie, tam zaś gdzie się znajdują, skorzysta raczej opozycja parlamentarna i „bezpartyjne” ugrupowania lokalne.

Bliskie perspektywy naszych prawicowców są więc raczej smętne. Rozjaśnić mógłby je zapewne sojusz z prezydentem. Ale zapowiedzi Wałęsy, że będzie teraz pielęgnował przykrótką prawą nogę, nie trzeba brać zbyt serio. Wałęsa walczy obecnie już nie o rozszerzenie, lecz o zachowanie swego zakresu władzy. Wie on doskonale, że obecna ustępliwość Pawlaka i Kwaśniewskiego, którzy nie wykorzystali swych możliwości, by obsadzić ministerstwa „prezydenckie” wbrew jego woli (a tylko „po zasięgnięciu opinii Prezydenta” — art. 61 tzw. małej konstytucji), nie będzie długotrwała. Nigdy jeszcze, z okazji powołania nowego rządu prezydent Wałęsa nie spędził tyle czasu w Sejmie. Tym razem siedział tam kamieniem przez trzy dni sesji, rozmawiał z „przechodniami” z sejmowych korytarzy, zwoływał konferencje prasowe, przypominał, że jest, że trzyma rękę na pulsie, że czuwa i że dopilnuje... I zapewne mógł się przekonać namacalnie, „przez skórę” — a pod tym względem Wałęsa jest wrażliwy jak mimoza — że klasa polityczna przestaje go uważać za swego pierwszorzędnego aktora, sprawcę wydarzeń.

Wybory prezydenckie odbędą się za dwa lata. Aleksander Kwaśniewski, nowo wybrany przewodniczący komisji konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego na pytanie dziennikarzy z *Wprost* (7.XI.93), „czy prezydent może spać spokoj-

nie do końca swojej kadencji mając w Sejmie tak silną koalicję” — odpowiedział uprzejmie i perfidnie: „Myślę, że tym bardziej powinien spać spokojnie. Nie ma nic bardziej uspokajającego dla głowy państwa, jak stabilność parlamentu i rząd oparty na większości parlamentarnej. To są bardzo istotne czynniki stabilizacji politycznej państwa. Dlatego wyraźnie powiedzieliśmy, że wybory prezydenckie powinny odbyć się w normalnym terminie, przedtem powinna zostać przyjęta nowa konstytucja, która określi kompetencje prezydenta...”

Wiedząc, że zwycięskie formacje zmiierzają dość zgodnie do parlamentarno-gabinetowej formuły władzy i że chcą ją potwierdzić w referendum — Wałęsa nie skorzysta najpewniej z uprzejmego zaproszenia do snu. Sojusznicy są mu potrzebni bardziej niż kiedykolwiek. Czy jednak zechce i potrafi bronić uprawnień prezydenckich w nowej konstytucji prawica, której w komisji konstytucyjnej i w Zgromadzeniu w praktyce nie ma i która miałaby na wiecach ludowych bronić... Bolka?

3.

W ciągu dwóch miesięcy, które minęły od dnia wyborów, komentatorzy warszawscy nie mogą się zdecydować, jak właściwie stoją akcje głównej siły opozycyjnej, Unii Demokratycznej i jej liberalnych satelitów. Do nieporozumień przyczyniają się wieści zza szczytów zamkniętych drzwi, za którymi obradują przywódcy Unii o tym, kto z kim się pokłócił. Czytelnicy tych korespondencji wiedzą, że nie mam dla Unii Demokratycznej zbytniego uznania i że katastrofę wyborczą przepowiadałem koalicji Hanny Suchockiej już od dawna. Właśnie dlatego mogę niepokojony o stronniczość skonstatować dziś, że przed Unią otwierają się teraz nowe możliwości: klęska koalicji i koalicjantów stwarza dla UD szanse nowych ruchów i niespodziewanych zysków, po trosze jak wycięcie odcisków (nikogo nie urażając). W tym sensie Unia Demokratyczna znalazła się w węzłowym momencie swej kariery i dlatego zaciekle wewnętrzne spory w jej kierownictwie są najzupełniej zasadne. Chodzi mianowicie o to, czy Unia Demokratyczna zdecyduje się szukać dla siebie przyszłości politycznej w odtwarzaniu, w zarysie, poprzedniej koalicji, od liberałów poczynając, to zaś jako alternatywy do obecnych rządów — czy też podejmie raczej grę o rozłam w rządzącym układzie i sojusz z SLD, a przynajmniej jego częścią. Podkreślam, że są to strategie rozłączne, choć wielu działaczy UD i inspirowanych przez nich dziennikarzy zdaje się tego nie pojmować. Frasyniuk np. jest gorącym rzecznikiem

zjednoczenia z liberałami i zarazem „pragmatycznej i taktycznej” współpracy z SLD, to zaś m.in. dlatego, że „Kwaśniewskiemu zawdzięczamy, iż socjalistyczna Unia Pracy nie weszła do rządu, co zepchnęłoby naszą partię na margines”. Z dwóch formacji postkomunistycznych — bo tak określił i SLD, i Unię Pracy, gdzie „znalazło się wielu ludzi z dawnego PZPR tęskniących za socjalizmem” — Frasyniuk woli współpracę z Kwaśniewskim, „bo on prze do rynku” (sprawozdanie w *Gazecie Wyborczej* z zebrania UD w regionie wrocławsko-wałbrzyskim). Otóż Frasyniuk nie dostrzega, że liberałowie są dziś partią zdecydowanie ideologiczną (i w tym sensie klasową), SLD zaś niezależnie od szczerej woli „kontynuowania reform” u takich działaczy jak Kwaśniewski, Borowski czy Kaczmarek nie może sobie po prostu pozwolić na akceptację takiej ideologii i postawy. Rozumie to świetnie, wbrew Frasyniukowi, Jan Maria Rokita, autor pomysłu „przyzwoitej partii mieszczańskiej” (w innej wersji „partii przyzwoitych mieszczan”, co w ustach ex-działacza Wolności i Pokoju brzmi zabawnie), w której stopiłyby się w jedno wszystkie człony dawnej koalicji Hanny Suchockiej. Rokita wcale nie jest bardziej anty-postkomunistyczny od Frasyniuka, on tylko wie, że SLD nie może być przyzwoicie mieszczańska, mimo Wilczków i Sekułów.

Pisząc, że UD mogłaby zagrać na rozłam w koalicji, oczywiście schematyzuję i wyprzedzam wydarzenia: przed rozłamem są zawsze rozbieżności. Od chwili, w której w jakiejś komisji sejmowej PSL głosowałyby inaczej niż SLD, Unia Demokratyczna mogłaby wejść do gry... Po cóż zresztą tryb suponujący: takie głosowania już się odbyły w komisji spraw zagranicznych, gdzie partia Kwaśniewskiego uratowała dla Bronisława Geremka stanowisko przewodniczącego, którego domagał się PSL (najpierw dla Andrzeja Micewskiego, a kiedy ten zrezygnował, dla wszystko jedno kogo), i w komisji przekształceń własnościowych, gdzie z kolei PSL odrzuciło wbrew SLD kandydaturę Grażyny Stanisławskiej z UD, entuzjastki min. Lewandowskiego. W rozterce, choć z innych powodów, jest również Unia Pracy, gdzie także spórów wokół strategii nie brakuje. Pod naciskiem zwłaszcza swego przewodniczącego Bugaja partia nie zdecydowała się wejść do rządu. Formalnie powodów było wiele: zbyt liberalne skłonności grupy Borowskiego-Kaczmarka w SLD, osoba Leszka Millera, klerykalizm Zycha w PSL (sam Pawlak określił stosunki PSL z Kościołem zaledwie jako „poprawne” w pr. I. Polskiego Radia, 11.XI.), ustępstwa wobec prezydenta,

zwłaszcza co do obsady MSW, łączywość PSL na posady w myśl porzekadła, że chłop żywemu nie przepuści. W istocie rzecz się sprowadziła do tego samego, co w „Kubusiu Puchatku”, dylematu Królika (...gdyby Królik był większy, a znów Tygrys był mniejszy, to by Tygrys nie brykał na biednego Królika, który jednak jest mniejszy...): Unia Pracy ze swymi 41 mandatami osądziła, że więcej zdziała pozostając na zewnątrz koalicji, ponieważ wtedy będzie mogła przemawiać do opinii, a nie tylko za zamkniętymi drzwiami do zbyt mocnych partnerów. Uzyska potrzebną siłę echa, które zwielokrotnia głosy. Oznacza to w każdym razie, że w poczuciu Unii Pracy koalicja SLD-PSL będzie miała wiele skłonności, by odstępować od programu, który ona, Unia Pracy, chce popierać.

Niezależnie od słuszności obranej strategii niewchodzenia, która zresztą nie przesądza o dalszym ciągu, to akurat poczucie jest najpewniej trafne.

4.

Tutaj zastrzeżenie. Nie piszę dzisiaj o trudnościach i barierach, na jakie natrafiać będzie nieuchronnie rząd Pawłaka: przyjdzie czas tym się zająć z okazji debaty budżetowej. Nie każde ugięcie się przed ryzykiem, nie każdy kompromis* nawet nie każdy odwrót jest odstępstwem: wierność celom nie równa się sztywności. Ale obu partiom koalicji przydarzyć się może odstępstwo od obietnic złożonych wyborcom z całkiem jeszcze innych przyczyn. Zarówno PSL jak zwłaszcza SLD skłonne są traktować sprawowanie władzy jako okazję do swoistego „uszlachcenia”. PSL od dawna pragnie stać się partią ogólnonarodową, że zaś ze składu i elektoratu jest ciągle partią rolników i urzędników wiejskich pragnienie takiego awansu, na siłę i jak najszybciej, może łącznie wydać to stronnictwo w ręce wątpliwych karierowiczów i pseudointelektualistów. To nie znaczy bynajmniej, by ambicja PSL-owców nie miała stron dodatnich. Było coś bardzo ujmującego w tym, że w *exposé* chłopskiego premiera mówiło się najpierw o nauce, kulturze i zdrowiu, to zaś jako o najważniejszych dla narodu inwestycjach... Jeśli zaś PSL potrafi jeszcze okazać swą ogólnonarodowość, gdy przyjdzie wyliczać wysokość barier ochronnych wokół polskiego rolnictwa, wówczas będzie się można tylko cieszyć.

Podobnie, choć problem jest bardziej złożony, rzecz się ma z SLD. Aleksander Kwaśniewski, którego miałem już sposobność cytować i który ostatnio rzeczywiście zabłysnął ja-

ko polityk dużej klasy, jest wręcz przejęty misją przeprowadzenia SLD na pozycje pełnej *respectability* szacowności narodowej, socjalnej i politycznej. I znów: można tylko przyklasnąć, kiedy przywódca SLD w debacie nad *exposé* premiera, oświadcza: „Przepraszamy tych wszystkich, a niektórzy są na tej sali, którzy doświadczyli krzywd i niegodziwości władzy i systemu przed 1989 rokiem”. (O woli politycznej Kwaśniewskiego, ale też o tym jak daleko jest jeszcze SLD do zrozumienia własnego przywódcy świadczy zresztą fakt, że zdania tego nie było w tekście zatwierdzanym przez prezydium klubu parlamentarnego SLD). Może być znacznie gorzej, jeśli pragnienie *respectability* wyrazi się arogancją władzy, jeśli pojawi się zbyt wielu panów Szmaciaków (ex-towarzyszy) o garniturach prosto z Londynu. Kiedy padał realny socjalizm marzeniem najbardziej rzutkich działaczy było przerobić się z aparatczyka w businessmana i zniknąć z oczu. A jeśli teraz zbyt wielu takich rzutkich businessmenów zechce stać się z powrotem... działaczami i odzyskać dawną tożsamość na dodatek do nowych zdobyczy?

Zbyt często potępiałem i wykpiwałem, również na łamach *Kultury*, społeczną ślepotę liberalnych reformatorów, by teraz zapomnieć, że najgorszą społeczną ślepotą i bezduszością wykazała się w najnowszych dziejach Polski komunistyczna nomenklatura. Nie jest tak łatwo zostać uczciwą socjaldemokracją.

Warszawa, 12 listopada 1993

Krzysztof WOLICKI

Dziś i jutro polskiego rolnictwa

Truizmem jest stwierdzenie, że dzisiejszy stan polskiego rolnictwa został ukształtowany przez historię, ale warto wskazać na dwa fakty, które decydują o jego odmienności od tego, w jakim znalazło się rolnictwo innych krajów, uwalnianych od pozostałości komunizmu. Pierwszym z nich są konsekwencje układów jałtańskich o przesunięciu terytorium państwa i przesiedleniu ludności, w większości rolniczej. Drugim

jest rezygnacja po październiku 1956 roku z prób kolektywizacji naszego rolnictwa.

Wyzwaniu faktu pierwszego nie sprostało zarówno zniewolone społeczeństwo, jak i Państwo. Nie tylko straciliśmy część ludności polskiej Śląska i Mazur, lecz na skutek błędów popełnionych w zasiedlaniu tych ziem nie wykorzystaliśmy niepowtarzalnej szansy przekształceń struktury agrarnej.

Fakt drugi to uniknięcie powszechnej kolektywizacji oraz — mimo meandrów polityki rolnej realnego socjalizmu — ochronienie prywatnej własności trzech czwartych zasobu gruntów rolnych. Próby socjalizacji rolnictwa przez „pegeeryzację” w latach siedemdziesiątych, chociaż spowodowały przepływ około 1,2 mln hektarów gruntów rolnych (ponad 8%) z rolnictwa chłopskiego do „uspołecznionego”, nie podważyły własności prywatnej. Reforma rolna z lat 1944/45 przyjęta została przez znaczną część społeczeństwa jako wyraz „sprawiedliwości” dziejowej. Parcelacja majątków ziemskich w ówczesnej sytuacji była nieunikniona, lecz zmniejszyła potencjalne możliwości zasiedlenia ziem zachodnich i północnych oraz utrzymała stan rozdrobnienia rolnictwa na ziemiach dawnych.

Rolnictwo nasze dzisiaj cechuje ogromne przeludnienie i regionalnie krańcowo zróżnicowana wielkość gospodarstw. W ciągu półwiecza nie nastąpiły znaczące jej przemiany. Dopiero w latach osiemdziesiątych średnia powierzchnia gospodarstw chłopskich wzrosła zaledwie o 1 ha do około 6 ha użytków rolnych. W środkowych i południowych regionach przeważają drobne gospodarstwa prywatne, 2–3 hektarowe. W 15 województwach zachodnich i północnych ponad 50% gruntów rolnych jest nadal we władaniu wielkorolnych gospodarstw byłych „pegeerów”. Przeludnienie i „utajone bezrobocie” cechuje nie tylko większość gospodarstw chłopskich, lecz również gospodarstwa państwowe, których upadek i reformowanie powoduje bezrobocie wśród ich załóg. Rolnictwo nie może zapewnić wykorzystania zasobów pracy, ocenianych na średnio 25 osób pracujących na 100 ha użytków rolnych w gospodarstwach chłopskich. Nadmierne zatrudnienie (około 12 osób na 100 ha) w wielkorolnych gospodarstwach państwowych było jedną z przyczyn ich niewydolności ekonomicznej i ich upadku po „urynkowieniu” oraz zniesieniu bezpośrednich dotacji.

Ludność rolnicza to ponad 10 milionów osób. Dwie trzecie rodzin rolniczych miało dotychczas możność zarabkowania poza swym gospodarstwem i czerpania z niego ponad

50% swych przeciętnych dochodów. Utrata dodatkowego źródła dochodu nie może być zrekompensowana intensyfikacją pracy we własnym gospodarstwie. Ludność osiedli „pegeerowskich” cechuje bierność, ale też nie ma ona w wielu okolicach alternatywy zarobkowania. Trudności zarobkowania poza gospodarstwem wywołały ostatnio powrót do rolnictwa części tych mieszkańców wsi, którzy poprzednio nie zamierzali przejść ojcowizny. To pożądane zjawisko pojawienia się następców wywołało w niektórych regionach podział gospodarstw, jednak przeważa proces koncentracji ziemi.

Obserwacje wskazują, że wyraźne tendencje rozwojowe występują w około 300 tys. gospodarstw, raczej o powierzchni ponad 10 ha, dysponujących bogatszym wyposażeniem. Dalsze 300–400 tys. gospodarstw zdołało sprostać wymogom gospodarki rynkowej i ma możliwości rozwoju, jednak brak im kapitału. Gospodarstwa obu tych grup obejmują blisko połowę powierzchni prywatnych gruntów rolnych. W reszcie gospodarstw (około 1,5 mln o średniej powierzchni ok. 5 ha) sytuacja ekonomiczna rodzin była zależna głównie od dochodu z zarobkowania, którego możliwości zmalały. Ogólnie niska wydajność pracy w rolnictwie w porównaniu z innymi działami gospodarki, pogłębiona nadmiernym potencjalnym zasobem siły roboczej, jest podstawowym problemem społecznym i politycznym w okresie przemian ustrojowych.

Poza ekonomicznymi skutkami niskiej przeciętnej produktywności ludności rolniczej, dysponującej blisko 30 procentami naszych zasobów pracy, sytuacja wsi sprzyja demagogii licznych samozwańczych jej obrońców. Parlamentarne i zawodowe reprezentacje rolników nie mają oparcia na wsi. Zanikły tradycje pracy organicznej zniszczonych przez komunizm kółek rolniczych, kół gospodyń i organizacji młodzieżowych. Skompromitowana została również spółdzielczość, zetatyzowana i nieefektywna. Odbudowa tych instytucji wiejskich, tak dobrze rozwijających się w dwudziestolecie międzywojennym, będzie bardzo trudna i powolna na skutek reliktywów myślenia kategoriami „ekonomii” komunistycznej, tkwiącymi równie silnie w kręgach przedstawicieli nauk społecznych i administracji, jak i wśród przeciętnych obywateli.

Nadzieję budzi, wbrew niektórym opiniom, „komercjalizacja” myślenia młodych. Pożądane byłoby, aby ta „komercjalizacja” przekształcała się w przedsiębiorczość twórczą, ale będzie to zależało od przebiegu normalizacji gospodarki, a więc głównie od tempa ograniczania inflacji. Optymizmem napawa także budowanie i umacnianie samorządu gminnego,

który może się stać normalną drogą rozwoju społecznych i politycznych reprezentantów wsi. Z tej drogi trudnych decyzji i dzisiejszych samoograniczeń w imię przyszłego rozwoju spychają nas obrońcy partykularnych interesów grupowych. W tych warunkach bardzo trudne jest usprawnienie poddawanej wielorakim presjom administracji, która nie może sprostać pilnym zadaniom reformy państwowego sektora gospodarki i obsługi (również kontroli) działalności gospodarczej. Administracja nie zawsze jednak chce wyrzec się zarządzania w sferze gospodarki, do czego zachętę znajduje w postawach roszczeniowych tych, którzy nie potrafią przyjąć na siebie odpowiedzialności za swój byt. Te postawy objawiły się w pożałowania godnych ekscjach rolników, mobilizowanych przez „działaczy” szukających dla siebie oparcia za wszelką cenę. W rolnictwie sektor państwowy obejmuje blisko 25% zasobu gruntów rolnych kraju (z ok. 18 mln ha) w postaci wielkorolnych gospodarstw byłych „pegeerów” (ok. 3,75 mln ha) i drobnych działek byłego Państwowego Funduszu Ziemi (ok. 0,8 mln ha). Cały ten majątek rolny, podobnie jak majątek państwowy innych działów gospodarki, nie miał jednoznacznie określonego podmiotu reprezentującego właściciela.

Od stycznia 1992 roku działa Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa, której powierzono gospodarowanie tym majątkiem, jego restrukturyzację i udostępnienie procesom przemian strukturalnych całego polskiego rolnictwa. Podstawową trudnością racjonalnego gospodarowania tym zasobem jest jego ogromne zadłużenie, niespłacalne w warunkach bardzo małego popytu na ziemię i niskiej jej ceny. Pogłębia trudności rozmieszczenie zasobu skarbowych nieruchomości rolnych. Dwie trzecie tego zasobu jest położone w regionach o niewielkim zasiedleniu wsi i bardzo małym popycie na kupno lub dzierżawę gruntów rolnych.

Możliwości wsparcia migracji z okolic o krańcowym przeludnieniu rolnictwa do regionów dysponujących wielkim zasobem gruntów skarbowych są prawie żadne ze względu na koszty osadnictwa rolniczego. Równocześnie utrzymanie nadmiernie skoncentrowanej produkcji (zbyt duże pola i stada zwierząt) oraz organizacja zarządzania wielkorolnych gospodarstw byłych „pegeerów” nie rokuje uzyskania choćby minimalnej ich rentowności. Cały ten wielki majątek rolny musi ulec zasadniczej reorganizacji. Zmierzają się do prywatyzacji własności ziemi przez jej sprzedaż i do prywatyzacji gospodarowania na niej przez upowszechnienie dzierżawy. Będzie to proces wieloletnich dostosowań. Jest paradoksem,

że obok przeludnienia rolnictwa powstają pustkowie osiedleńcze w okolicach słabych gleb i zaniedbanej infrastruktury wsi. Powstają one na obrzeżach Rzeczypospolitej, a to ma w naszym kraju szczególne znaczenie. Możliwości przeciwdziałania zjawisku degradacji społecznej i gospodarczej oraz skutkom zagrożeń ekologicznych niektórych okolic, są równie ograniczone, jak wsparcia migracji ludności rolniczej na ziemię zachodnie.

Własność ziemi i związenie z nią rodzin rolniczych ma nadal ważną funkcję tworzenia i umacniania postaw obywatelskich w społeczeństwie. Z tego względu przywiązuję wielkie znaczenie do wyboru kierunku polityki rolnej w jej zasadniczej sferze kształtowania warunków gospodarowania gruntami rolnymi i przemian strukturalnych gospodarstw rolnych.

Doświadczenia ostatniego półwiecza potwierdziły wcześniejsze oceny, że gospodarstwa wielorolne, typu folwarcznego, oparte na najemnej pracy, nie rokuje efektów w naszych warunkach rolniczych, konkurujących z efektami „gospodarstw rodzinnych”. Ten typ gospodarstwa niesłusznie jest utożsamiany z gospodarstwem karłowatym, ledwie zaspokajającym wyżywienie rodziny rolnika. Cechą gospodarstwa rodzinnego są stosunki pracy, podejmowanej przez członków rodziny oraz — na zasadach partnerskich — przez pracowników najemnych. Rozwój tego typu gospodarstwa o dużej zdolności dostosowywania się zarówno do zmienności warunków klimatycznych, jak i do zmian koniunktury, powinien dominować w przemianach polskiego rolnictwa. Jak wspomniałem, proces koncentracji ziemi i rozwoju gospodarstw rodzinnych w regionach przeludnionych jest hamowany brakiem podaży ziemi, a w regionach o dużym zasobie gruntów skarbowych kosztami tworzenia nowych gospodarstw tego typu. Koszt utworzenia gospodarstwa 50-hektarowego ocenia się na 2,5–3 mld zł, a więc na kwotę parokrotnie większą od wartości ziemi (przy jej cenie od 4 do 14 mln zł za 1 ha). Niestety brak jest środków na wsparcie pożądanego przekształceń zasobu gruntów skarbowych. Gospodarstwa rodzinne mogą powstawać i rozwijać się na gruntach dzierżawionych, prywatnych i skarbowych. Ta forma gospodarki rolnej jest ostatnio doceniona i się upowszechnia, ale i ona wymaga udostępnienia kredytu na warunkach dostępnych dla rolnictwa.

Podkreślenie roli gospodarstw rodzinnych w przekształceniach strukturalnych rolnictwa nie oznacza dążenia do wykluczenia innych form organizacyjnych. Powolność tych

procesów przemian sprawia, że we władaniu Agencji pozostanie przez długie lata znaczna część gruntów rolnych na ziemiach zachodnich i północnych. Gospodarstwa należące do Skarbu Państwa, tworzone przez reorganizację byłych „pegerów”, są oddawane w dzierżawę również spółkom z udziałem pracowników, albo powierzane administratorom powołanym przez Agencję. Organizacja rozłogu tych gospodarstw jest otwarta na dalsze, oczekiwane przemiany w rolnictwie.

Reorganizacja zarządzania w gospodarstwach skarbowych polega na likwidacji jej wieloszczelowości, wprowadzanej w latach siedemdziesiątych w postaci tak zwanych „kombinatów rolnych” i wielozakładowych przedsiębiorstw. Agencja dąży do tworzenia gospodarstw kierowanych „z jednej ręki”. Wiele tych gospodarstw oddaje się w dzierżawę, a w przyszłości mogą się one przekształcić w gospodarstwa rodzinne.

U progu stowarzyszenia ze Wspólnotami Europejskimi rolnictwo polskie jest w zasadniczo różnej sytuacji od tej, w której następował w latach sześćdziesiątych wspomagany rozwój rolnictwa sześciu krajów Europy zachodniej. Nieporównywalne jest jego przeludnienie i wielkość gospodarstw, a przede wszystkim stan ogólny gospodarki. W Polsce są małe szanse migracji z rolnictwa do innych zawodów, a tym bardziej do miast. Popyt na produkty rolnicze, na rynek krajowy i na eksport, jest mniejszy od możliwości produkcyjnych i nie wyczerpie ich w krótkim czasie. Rolnictwo musi dostosować intensywność użytkowania zasobu gruntów rolnych oraz produkcję do popytu. Ocenia się, że krajowy popyt na produkty rolnicze może wzrastać w granicach 1% rocznie; eksport jest wielkim wyzwaniem. Przewidywane kształtowanie się popytu na produkty rolnictwa jest barierą wykorzystania nadmiaru sił roboczych w rolnictwie. Rolnictwo nie ma możliwości „buforowania” zjawiska jawnego bezrobocia.

Możliwości wzrostu dochodów z rolnictwa tkwią tylko we wzroście wydajności pracy, a nie w intensyfikacji produkcji.

Sytuacja rolnictwa polskiego jest diametralnie różna od tej, która wprowadziła Europejską Wspólnotę Gospodarczą na ścieżkę protekcyjnej polityki rolnej, mającej na celu pozyskanie siły roboczej dla przemysłu i usług oraz wzrost krajowej produkcji dla zaspokojenia niedoboru żywności. Ciężar tej polityki powoduje obecne dążenie Wspólnoty Europejskiej do ograniczenia zakresu interwencjonizmu i zmiany środ-

ków polityki rolnej. Zarówno różnice w sytuacji wyjściowej całej gospodarki i rolnictwa, jak też tendencje w polityce Wspólnoty Europejskiej nie są niestety uwzględniane przez nasze środowiska rolnicze, a szczególnie przez szukających poparcia polityków. Powtarzają się żądania nie tylko interwencji Państwa, stabilizującej rynek produktów rolniczych i żywności, lecz równie szerokiej protekcji dla rolnictwa, jaką stosują jeszcze zamożne kraje zachodnioeuropejskie.

Zrozumiałe są postulaty ochrony krajowego rynku produktów rolniczych i żywności przed tanimi produktami importowanymi. Liberalna polityka na tym odcinku przyniosła jednak widoczne pozytywne rezultaty. Poddane presji konkurencji przetwórstwo żywności wyraźnie zaczyna nadążać za asortymentem i jakością produktów importowanych. Krytycy drogi reform wybranej na przełomie lat osiemdziesiątych (nazwanej planem Balcerowicza) nie chcą dostrzegać ani istotnych przyczyn obecnych trudności gospodarczych jako pozostałości po realnym socjalizmie, ani skali zmian zachodzących w ciągu ostatnich czterech lat. Jeśli partykularyzm polityczny nie zaciąży na procesie przebudowy Państwa i gospodarki, to zarysowujące się już w skali makroekonomicznej dodatnie skutki polityki gospodarczej i obudzenia przedsiębiorczości wśród obywateli mogą przynieść trwałe rozwój naszej gospodarki.

Gospodarka ta jest nadal zdominowana przez państwową własność w przemyśle i znaczący jej udział w rolnictwie. Proces prywatyzacji własności lub gospodarowania na mieniu państwowym (zwany „komercjalizacją” przedsiębiorstw) natrafia na różnorakie trudności związane z dziedzictwem myślenia „paraekonomicznego” i z brakiem rodzimego kapitału. Pójście „na skróty” przez tak zwaną „powszechną prywatyzację”, bliską rozdawnictwu mienia lub uwłaszczenia pracowników przedsiębiorstw państwowych (w rolnictwie rozdania ziemi rolnikom) wydaje się wielu politykom dobrym i „sprawiedliwym” rozwiązaniem. Zwolennicy takiej drogi, także w kierowniczych kręgach Państwa, nie dostrzegają niestety jej negatywnych skutków, podważających walkę z inflacją, a także złudy oczekiwania wzrostu efektywności gospodarki przez sam fakt zmiany stosunków własności i to w kierunku rozproszenia kapitału. Wtórna koncentracja kapitału to czynnik inflacyjogeny. Brak płynnego pieniądza hamować będzie nadal niezbędną restrukturyzację majątku Skarbu Państwa. Prywatyzacja własności państwowej nie powinna obniżać jej wartości. Powinna natomiast wiązać własne, choć małe, zasoby

pieniężne z innowacjami w strukturze i technologii przemysłu, usług i rolnictwa.

Z problemem prywatyzacji wiąże się zaniedbana sprawa reprivatyzacji mienia upaństwowionego przez władze komunistyczne. Sprawa obejmuje dwa pola: upaństwowienie dokonywane z naruszeniem ówczesnego prawa oraz dokonane zgodnie z jego literą, ustanowioną jednak przez obcą doktrynę i uzurpatorskie władze.

Zaspokojenie roszczeń z tytułu przejęcia majątku prywatnego z naruszeniem przepisów ówczesnego prawa nie budzi wątpliwości, ale natrafia na trudności związane z technicznymi przekształceniami składników tego mienia. W rolnictwie jest to związane ze zmianami ukształtowania rozłogu gruntów obecnych gospodarstw skarbowych, ale również z koniecznością oferowania mienia zastępczego na skutek dokonanej, a niepodważalnej sprzedaży obiektów upaństwowionych.

Regulacja prawna reprivatyzacji objęła dotychczas tylko mienie Kościoła. Wyprowadzenie nią kompleksowego rozwiązania problemu reprivatyzacji i pewne braki legislacyjne nie stwarzają warunków bezkonfliktowego przeprowadzenia zarówno zwrotu upaństwowionych gospodarstw rolnych, jak i przekazania podmiotom Kościoła na ziemiach zachodnich i północnych działek gruntów zgodnie z nowelizacją ustawy (z października 1991 roku). Niezbędne wydaje się określenie celu i sposobu gospodarowania na gruntach oddanych Kościołowi, między innymi stopnia ich koncentracji, oraz zaangażowanie niezbędnych środków finansowych.

Trudno dziś przewidzieć jak nowy parlament ustosunkuje się do przygotowanych wcześniej projektów regulacji prawnej drugiego pola reprivatyzacji, łącznie z kwestią ziemiańską, a więc uporania się ze skutkami dekretu PKWN z września 1944 roku. Sądzę, że należy się opowiedzieć za rekompensatą kapitałową, lecz niemonetarną oraz za ograniczonym zwrotem w naturze możliwych do wyodrębnienia składników majątku utraconego przed półwieczem. Projekt ustawowego rozwiązania problemu obejmuje także rekompensatę za majątki ziemskie utracone na skutek zmian granic Państwa. Przygotowanie koncepcji reprivatyzacji, a tym bardziej procedur jej realizacji, natrafi na ogrom trudności prawnych, dokumentacyjnych, politycznych i ekonomicznych, ale także na wątpliwości natury moralnej. Dotyczy bowiem tylko sfery materialnej.

Rolnictwo nie jest czynnikiem stymulującym rozwój nowo-

czesnej gospodarki, jest od niej zależne, ale gospodaruje przestrzenią kraju i wytwarza żywność, a więc warunkuje ten rozwój.

Podstawowe znaczenie ma obecnie poparcie przedsiębiorczości w działalnościach pozarolniczych na wsi. Jest to droga do wzrostu wydajności pracy i zamożności mieszkańców wsi, bez migracji, a w konsekwencji do zmian w strukturze wsi i gospodarstw rolnych. Czy zatem można obecnie wyróżnić „politykę rolną” z całokształtu polityki rozwoju bez naruszenia jej wewnętrznej spójności?

Warszawa, we wrześniu 1993 roku.

Antoni LEOPOLD

Stosunki ze Wschodem i Zachodem po wyborach w Polsce

Odmienne skutki szokowej terapii w Polsce i w Rosji

Problem stosunków sąsiedzkich ze Wschodem i Zachodem jest tak stary jak polskie państwo. Od pierwszych Piastów aż po I i II Wojnę Światową miał zawsze i ma dziś nadal kluczowe znaczenie dla losów państwa. Upadek komunizmu w niczym nie zmniejszył roli tego problemu. Wprost przeciwnie waga jego wzrosła przede wszystkim z powodu skomplikowania się stosunków gospodarczych Polski z Rosją. Gwałtowne załamanie się wzajemnej wymiany, niemożność kontynuowania w warunkach reformowanych gospodarek handlu w oparciu o metody właściwe gospodarce centralnie planowanej i trudności adaptowania się do zasad i zwyczajów gospodarki rynkowej — wszystko to przyczyniło się do zaostrzenia recesji w obu krajach. Oczywiście, mówiąc o Rosji, dokonuję tu uproszczenia ze względu na wagę polityczną i gospodarczą kraju; jest jasne, że omawiane zjawiska występują też w stosunku do innych państw obecnie niepodległych, a kiedyś tworzących ZSSR, zwłaszcza tych, które sąsiadują z Polską.

Dwa inne wydarzenia ostatnich tygodni: wybory w Polsce (19 września) i próba puczu w Moskwie (3 października) będą niewątpliwie wpływać na stosunki Polski ze Wschodem i z Zachodem. Przy czym można sądzić, że będzie to wpływ raczej komplikujący te stosunki. Oba wydarzenia mają w istocie to samo podłoże, a jest nim niezadowolający przebieg reform gospodarczych i z tym związane zjawiska, jak spadek stopy życiowej, bezrobocie i rosnące niezadowolenie ludności. Natomiast całkowicie odmienne okazały się — jak do tej pory — skutki wydarzeń w obu krajach. W Polsce rządząca ekipa solidarnościowa przegrywa w sposób kompromitujący wybory, opozycyjna lewica przygotowuje się do przejęcia steru rządów. Jak na „młodą” demokrację wszystko odbywa się w sposób bardzo cywilizowany, co można traktować nie tylko jako dowód walorów demokratycznego systemu, ale także jako przejaw dojrzałości społeczeństwa. W Rosji pucz kończy się niepowodzeniem, dotychczasowy rząd utrzymuje się przy władzy, ale tylko dzięki poparciu armii. Można powiedzieć, że w Polsce zwyciężyła demokracja za cenę stabilizacji (gdyż radykalna zmiana ekipy musi kryć w sobie ryzyko zakłóceń w procesach rządzenia); odwrotnie w Rosji zwyciężyła stabilizacja za cenę demokracji.

Sam fakt uzyskiwania pewnej jakości za cenę rezygnacji z pewnej innej jakości obciąża sytuację danego kraju wysokim stopniem niepewności. Jeżeli w dwóch sąsiadujących krajach, posiadających wspólne żywotne interesy — jak Polska i Rosja — występują przeciwstawne przedmioty takich przetargów, wówczas czynnik niepewności w każdym z krajów ulega odpowiedniemu zwiększeniu. Jeżeli dalej przyjąć, chyba zgodnie z rzeczywistością, że wydarzenia w tych krajach z uwagą są śledzone przez Zachód, który nie ogranicza się do biernej roli obserwatora, ale w określonych sytuacjach stara się wpływać na owe wydarzenia, to decyduje to o tym, że przyszłość w dłuższym horyzoncie czasu staje się zupełnie nieprzewidywalna. Z faktu wysokiego stopnia niepewności w długim horyzoncie czasu wynika ważny wniosek dla działań bieżących.

Niepewna przyszłość wymaga zwiększonej racjonalności działań na dziś

Wydaje się, że tezę taką daje się dość łatwo uzasadnić. Jeżeli bowiem przyszłość jest dobrze przewidywalna, wówczas każdą podejmowaną dziś decyzję można łatwo poddać weryfikacji z punktu widzenia jej przyszłej użyteczności. Jeżeli natomiast przyszłość obciążona jest wysokim stopniem niepewności, wówczas podjęcie decyzji wymaga znacznie żmudniejszych dociekań,

w jakich kierunkach może pójść przyszły rozwój wydarzeń i jaka decyzja dziś podejmowana byłaby najodpowiedniejsza w różnych wariantowych sytuacjach. Przykładowo, jeżeli istniałaby względna pewność, że Europa wschodnia będzie w przyszłości oazą pokoju (albo wprost przeciwnie zarzewiem konfliktów), wówczas przedsiębiorcy mieliby ułatwiony wybór pożądanego kierunku inwestowania w przemyśle trwałej konsumpcji (albo przeciwnie w przemyśle zbrojeniowych). W warunkach niepewności proces podejmowania decyzji bardzo komplikuje się.

Sytuację polityka można porównać do turysty, który, wędrując zimą po zlodowaciałej grani, waży w napięciu każdy krok, świadomy, że droga jest śliska i przepaścista. Dla zwiększenia poczucia bezpieczeństwa polityk powinien dążyć do zmniejszania obszarów niepewności przez analizę zachodzących procesów, wyjaśnianie istniejących dylematów, czy prostowanie błędnych ocen. Dla egzemplifikacji i przybliżenia czytelnikowi istoty postępowania w tych sprawach rozważmy niektóre konkretne problemy i sytuacje.

Naprzód zastanówmy się nad pewnymi problemami ogólnymi, dotyczącymi ogólnych przesłanek działania. Zarówno w Polsce, jak i w Rosji, występuje tendencja do stosowania stereotypowego podziału na zwolenników reform (rządy solidarnościowe w Polsce i rząd Jelcyna w Rosji) i przeciwników reform (opozycja). Sądzę, że jest to podział całkowicie sztuczny. Świadomość defektów systemu komunistycznego w obu krajach jest dość powszechna (w Rosji co najmniej od czasu Gorbaczowa, w Polsce znacznie wcześniej). Dlatego przedmiotem sporu nie jest „czy reformować”, lecz „jak reformować”. Jest to dylemat mniej pryncypialny, ale też niesłychanie istotny. Jego rozwiązanie wymaga dużo wiedzy i rozsądku, których wciąż brakuje, jak można sądzić po dotychczasowych wynikach reform i reakcjach społeczeństw.

Inny stereotyp występujący w obu krajach to podział na zwolenników demokracji i zwolenników powrotu do systemu komunistycznego. W Polsce spotyka się często pogląd, że rządy lewicy będą oznaczać nawrót do komunizmu. Nie jest to pogląd trafny, gdyż w Polsce z natury rzeczy komunizm, jako system narzucony z zewnątrz, nie znajdował szerokiego oparcia w społeczeństwie. Dlatego samo rozstanie z komunizmem nie było dla społeczeństwa wielkim przeżyciem.

Ten sam problem zupełnie inaczej rysuje się w Rosji. Świadomość słabych stron komunizmu jest tam od czasów Gorbaczowa dość szeroka. Jednak system ten nie jest powszechnie krytykowany z dwóch powodów. Po pierwsze — dlatego, że system ten zrodził się w Rosji, a nie został sprowadzony z zewnątrz. Po drugie zaś — dlatego, że przy tym systemie Rosja

zyskała status — obok USA — supermocarstwa, że to rosyjscy marszałkowie gonili niemieckich marszałków spod Leningradu, Moskwy i Kaukazu aż po Berlin. Komunizm dał Rosji słabą gospodarkę, ale pozwolił utrzymać imperium. Jak pisze zaś Ryszard Kapuściński: „Między Rosjaninem i jego Imperium istnieje silna i żywa symbioza, losy mocarstwa to coś, czym się Rosjanin prawdziwie i głęboko przejmuję. Dziś także¹⁾”. Przy takich postawach zwiększa się rola czynnika niepewności, a drobne nawet niezręczności popełniane przez którąkolwiek ze stron mogą prowadzić do powstawania niebezpiecznych napięć we wzajemnych stosunkach między Wschodem i Zachodem.

Dotychczasowe rozważania doprowadziły nas do pewnego ogólnego, ale istotnego, wniosku, że w Polsce istnieją korzystne warunki dla rozwoju współpracy, tak ze Wschodem, jak i Zachodem. A więc, wbrew temu, co się czasem insynuuje, w Polsce (podobnie jak i w Rosji) nie może być i nie ma silnych ugrupowań, które występują przeciwko reformom. Po prostu życie pokazało, że dotychczasowy system jest niesprawny i reformy wymaga. Również nie ma w Polsce (inaczej niż w Rosji) znacznie większych grup ludności domagających się powrotu do komunizmu. Wprawdzie ostatnie wybory przyniosły zdecydowane zwycięstwo stronnictwom reprezentującym różne odcienie lewicy. Ale stronnictwa te wyraźnie zmierzają do realizowania idei socjaldemokratycznych, a nie komunistycznych.

Przejdźmy zatem teraz do bardziej szczegółowego rozważania warunków współpracy z zagranicą w odniesieniu do kilku konkretnych, a zarazem kluczowych, odcinków tej współpracy. Kolejno omówione zostaną zatem problemy stosunków gospodarczych ze Wschodem, integracji z Europejską Wspólnotą Gospodarczą i uczestnictwa w NATO. Rozważając te problemy, kieruję się tylko ocenami aktualnej sytuacji międzynarodowej i krajowej, przyjmując, że przyszłość jest nieznana. Ale jednocześnie, zdając sobie sprawę, że przyszłość może ewoluować w różnych kierunkach, poszukuję rozwiązań eliminujących duże ryzyka w przypadkach niekorzystnej ewolucji przyszłych wydarzeń. Stąd wynika ostrożność w doborze propozycji, która, być może, razić będzie niektórych czytelników.

Odbudowywać współpracę gospodarczą ze Wschodem

Przez pojęcie Wschodu obejmuję tu kraje należące niegdyś do RWPG oraz inne kraje należące do grupy statystycznej gospodarek centralnie planowanych. Kraje te reprezentowały kiedyś

1. Kapuściński R.: „Imperium”, Czytelnik, Warszawa, 1993, s. 169.

około 2/3 wartości obrotów handlu zagranicznego Polski. Później udział ich spadł do 1/2, a dziś wynosi zaledwie około 1/5. Najsilniejszy spadek obrotów wystąpił w latach 1990 i 1991. Kurczył się przede wszystkim handel z krajami Europy Środkowej i Wschodniej, a więc z krajami bezpośrednich lub bliskich sąsiadów.

Jest swojego rodzaju paradoksem, że tak silnie spadł handel w regionie, w którym występuje wiele czynników sprzyjających rozwojowi wzajemnego handlu, takich jak: bliskość rynków, a więc niskie koszty transportu i łatwość kontaktów; nawiązane dawniej stosunki handlowe; wspólne problemy przejścia na nowy system gospodarowania; podobne trudności w dostępie na rynki krajów zachodnich.

Prawda, że istnieją również specyficzne przeszkody we wzajemnym handlu, będące w jakimś stopniu też dziedzictwem przeszłości. Do nich zaliczyć można monocentryczne kierunki handlu. Głód surowców sprawił, że mniejsze kraje rozbudowały swój handel z ZSSR, mniej troszcząc się o zwiększenie obrotów z innymi partnerami; takie nawyki mogą się utrwać i pojawiać również w nowych warunkach. Następnie utrudnia handel słaba znajomość technik negocjowania kontraktów przez przedsiębiorstwa przyzwyczajone dawniej do działania w ramach międzybranżowych umów i protokołów; brak rozwiniętych technik dokonywania płatności zagranicznych itp. Wszystkie te przeszkody wynikają jednak z ułomności ludzkich działań i nie wydają się specjalnie trudne do pokonania.

Dążąc do odbudowy handlu z krajami Europy Środkowej i Wschodniej, a później także do dalszej jego intensyfikacji ponad poziom osiągnięty kiedykolwiek w przeszłości (handel ten miał zawsze relatywnie skromne rozmiary), należałoby stosować specjalne środki popierania tego handlu. Byłoby bowiem raczej dziwne, gdyby kraje te, które łączy tyle najrozmaitszych więzi, w rozwijaniu wzajemnych stosunków gospodarczych miały zadowalać się powoli wprowadzaną instrumentacją EWG. Dlatego na poparcie zasługują zarówno inicjatywa wyszehradzka, jak i wszelkie inne tego typu porozumienia o wyraźnym sprecyzowanych celach gospodarczych. Można sobie wyobrazić bardzo szeroką gamę środków popierania współpracy regionalnej. Tylko więc dla celów ilustracyjnych wymieniam kilka z nich poniżej:

— Preferencyjny system stawek celnych, systematycznie rozszerzany aż do likwidacji ceł; rozumie się, że system ten byłby wprowadzany szerzej i szybciej, niż podobne systemy funkcjonujące z tytułu uczestnictwa w EWG lub EFTA.

— Tworzenie wspólnych przedsiębiorstw dla intensyfikacji współpracy w produkcji, usługach i handlu.

— Podejmowanie wspólnych inwestycji.

— Wspólne działania zmierzające do rozwijania cywilizowanej turystyki i eliminacji dzikiego handlu.

Rozwijanie handlu między krajami Europy Wschodniej i otwieranie w ten sposób drogi do stopniowej integracji gospodarczej tych krajów stanowi podstawowy warunek podniesienia na wyższy poziom ich gospodarek i warunków życia ich mieszkańców. Na poparcie tej tezy można przytoczyć pozytywny przykład Europy Zachodniej, w której zainicjowane w początku lat pięćdziesiątych przedsięwzięcia integracyjne przynosiły w kolejnych dekadach coraz większe sukcesy. Można również przytoczyć negatywny przykład Ameryki Łacińskiej, w której próby różnych poczynań integracyjnych nie przyniosły trwałych efektów, a kraje tego kontynentu wciąż stoją wobec zjawisk ostrych recesji, wysokich stóp inflacji i rosnących obszarów nędzy.

Przyśpieszać adaptację gospodarki do integracji z Zachodem

Integracja Polski z krajami zachodnimi jest tak samo pożądana, jak z krajami Europy Wschodniej. Wprawdzie czynnik odległości sprawia, że warunki obiektywne dla tej pierwszej są mniej korzystne, niż dla drugiej. Ale w dobie wielkiego postępu technicznego w transporcie i łączności rola negatywna tego czynnika wydatnie się zmniejsza. Pozostaje natomiast inny czynnik, który może komplikować procesy integracyjne Polski (także innych krajów Europy Wschodniej) z krajami Zachodu. Tym czynnikiem jest zawsze istniejąca, a w ostatnich latach powiększająca się, różnica poziomów rozwoju gospodarczego. Przy znacznie niższym w Polsce poziomie techniki, gospodarczej infrastruktury, zamożności, możliwości inwestowania itd. wejście na drogę integracji z krajami zachodnimi wymaga szczególnie starannego przygotowania. Podjęcie w tym kierunku działań bez takiego przygotowania może bowiem w rezultacie przynieść więcej szkód, niż korzyści. Zarówno teoria, jak i doświadczenia aktualnej praktyki, przekonująco dowodzą, że chaotyczne otwieranie rynku dla importu może podkopać egzystencję obiecujących przemysłów, nadmierna dewaluacja złotego prowadzi do gwałtownego pogorszenia *terms of trade* a chybione (z punktu widzenia interesu kraju) inwestycje bezpośrednie kapitału zagranicznego mogą powodować w przyszłości pogorszenie bilansu płatniczego.

Wejście w zachodnie układy integracyjne jest jak najbardziej celowe. Musi być realizowane stopniowo. Już dziś jednak wymaga podejmowania zdecydowanych działań, zmierzających do adaptacji polskiej gospodarki do surowych wymogów konkurencji na rynkach zachodnich. Spośród tego typu działań przykładowo wymienić można następujące:

— Ustalenie preferowanych kierunków rozwoju produkcji, pozwalających zapewnić zbyt na zintegrowanych rynkach Europy.

— Racjonalna polityka otwierania rynku krajowego na import.

— Podjęcie działań zmierzających do możliwie szybkiego wprowadzenia zewnętrznej wymienialności złotego.

— W stosunku do inwestycji bezpośrednich kapitału zagranicznego przyjęcie polityki, która będzie preferować inwestycje umacniające strukturę przemysłu, nie zaś inwestycje tworzące przypadkowe enklawy utrwalające peryferyjny charakter gospodarki.

— Przystosowanie metod zarządzania zarówno w państwie, jak i w przedsiębiorstwie, do tych jakie stosuje się w krajach nowoczesnej gospodarki rynkowej.

Reasumując można powiedzieć, że kwestia stowarzyszenia się z Wspólnotą Europejską, czy organizacją podobną, ani członkostwa w tego typu organizacjach gospodarczych nie powinna być przedmiotem kontrowersji. Uczestnictwo w organizacjach integracyjnych jest pożądane z wielu powodów: ekonomicznych, politycznych, kulturowych, bezpieczeństwa państwa, a nawet utrzymania pokoju. Jak zawsze, wejście do organizacji międzynarodowej, zależy od akceptacji krajów członkowskich. Ponieważ jest to interes obustronny akceptacja taka w zasadzie nie powinna natrafić na trudności. Jednak sens naszego uczestnictwa w największej mierze zależny będzie od sprawności naszej gospodarki, systemowego przygotowania jej do integracji, a także od wiedzy i dyplomatycznych talentów naszych negocjatorów.

Ustalić cel i warunki ewentualnego udziału w NATO

Na podstawie informacji prasowych można by dojść do wniosku, że społeczeństwo polskie składa się z Europejczyków i anti-Europejczyków. Pierwsi chcą szybkiego wejścia Polski do wspólnot europejskich oraz NATO, drudzy są temu zdecydowanie przeciwni. W ten sposób między obu decyzjami stawia się znak równości, uważając, że obie decyzje są jednakowo niezbędne lub jednakowo niepożądane, z reguły nie wyjaśniając przesłanek przyjętego stanowiska.

Takie podejście do sprawy jest zbyt uproszczone i całkowicie niezasadne. Osobiście jestem w pełni przeświadczony o celowości wchodzenia Polski w zachodnie struktury integracyjne. Rozumiem też korzyści jakie stąd mogą wynikać dla kraju. Natomiast nie rozumiem, jakie korzyści mogą wynikać dla Polski z udziału w NATO i — jak dotąd — nikt mi ich nie wyjaśnił.

Jest wiele wątpliwości odnośnie celowości tego udziału. Wynikają one z doświadczeń historycznych, mnie bardzo bliskich. We wrześniu 1939 r. byłem żołnierzem i wraz z innymi czekałem na przyrzeczoną układami pomoc krajów zachodnich. Czekaliśmy sześć lat i ostatecznie nie doczekaliśmy się jej. Wątpliwości wynikają też z doświadczeń aktualnych: Jugosławia, Somalia, a wcześniej Wietnam, Kambodża, Liban, pokazują jak zawodne, a zarazem bolesne dla kraju mogą być interwencje pokojowe państw zachodnich. Innego rodzaju wątpliwości dostarcza czynnik geografii. Przystępując do Paktu Polska stanowiłaby wschodnią flankę ugrupowania krajów w nim zrzeszonych. Jest to pozycja niezbyt wygodna i dlatego jest bardzo prawdopodobne, że w pewnym okresie Niemcy popierały wstąpienie Polski do NATO, aby mogły jej odstąpić tę nieatrakcyjną pozycję. Wreszcie istnieje delikatny problem reakcji innych krajów, zwłaszcza krajów sąsiadujących blisko z Polską, na nasze uczestnictwo w Pakcie. Z jednej strony nie ulega wątpliwości, że zgłoszenie gotowości przystąpienia do Paktu powinno być wyrazem suwerennej woli państwa polskiego. W takiej sytuacji występowanie o aprobatę Rosji było krokiem poniżej godności suwerennego państwa. Ale z drugiej strony trzeba uwzględnić, że wszelkie pakt są z reguły zawierane z kimś, dla obrony przed kimś innym, rzeczywistym przeciwnikiem dziś lub potencjalnym przeciwnikiem w przyszłości (możliwe, że dziś jeszcze nie znanym). W takim zaś przypadku można postawić pytanie, czy w trudnej sytuacji państwa rosyjskiego byłoby w naszym interesie stwarzać w tym państwie nowy czynnik niepokoju, jakim mógłby się stać nasz akces do NATO?

W świetle dużej wrażliwości niektórych krajów na ewentualny udział Polski w NATO, a także wątpliwej wartości pomocy, jakiej ta organizacja mogłaby udzielić Polsce w przypadku militarne go konfliktu, można sądzić, że pozostawanie Polski poza tą organizacją i zachowanie pozycji neutralnej leżałoby w interesie tak Polski, jak i pokoju w tej części Europy. Jeżeli jednak okoliczności zmuszałyby nas do wejścia do paktu, powinno to nastąpić po negocjacjach, które zapewnią równoważne korzyści obu stronom, to znaczy Polsce i pozostałym uczestnikom paktu. Składane dotychczas przez naszych polityków częste deklaracje gotowości przystąpienia do NATO, bez stawiania z naszej strony jakichkolwiek warunków tego przystąpienia, nie świadczą dobrze o polskiej polityce zagranicznej, czasem zbyt uległej wobec partnerów.

Potrzeba niezależnej wyważonej polityki w stosunku do Wschodu i Zachodu

W dobie występujących we współczesnym świecie napięć i konfliktów losy Polski w dużym stopniu zależą od ułożenia stosunków z innymi krajami. Polska polityka zagraniczna powinna być niezależna, to znaczy powinna kierować się interesem polskiej racji stanu, a nie koniunkturalnymi zmianami w międzynarodowej sytuacji. Polityka ta powinna też być wyważona, to znaczy, że kierując się polską racją stanu, musi uwzględniać i szanować interesy innych krajów, zawsze zachowując wobec nich lojalność, nigdy nie popadając w serwilizm.

Nie jest łatwo prowadzić niezależną i wyważoną politykę, zwłaszcza w sytuacji, gdy słaba gospodarka stoi w obliczu potężniejszych sąsiadów. Tu jednak trzeba wyzbyć się kompleksów i w tym celu przypomnieć, że chociaż dziś gospodarczo słabi, to w stosunku do innych krajów jesteśmy moralnymi wierzycielami. Wystarczy wspomnieć kilka dat: 1 września 1939 (atak Niemiec na Polskę), 17 września 1939 (wkroczenie wojsk ZSSR do Polski), kwiecień 1940 (stracenie oficerów z Katynia, Starobielska i Ostaszkowa w ZSSR), przełom roku 1981/1982 (sankcje krajów zachodnich wobec Polski w związku ze stanem wojennym). Ta ostatnia data ma oczywiście inny, dużo mniejszy wymiar. Ale o czym się nie mówi, a czemu nie można zaprzeczyć, wówczas dla wygrania wojny z komunizmem świadomie nie wahano się wyrządzić poważne szkody polskiemu społeczeństwu.

Tych faktów nie przypominam po to, aby ożywić nastroje nienawiści lub domagać się rekompensaty, ale aby wskazać krytykom i za granicą i w kraju, że słabość naszej gospodarki nie wynika tylko z własnych błędów w polityce gospodarczej.

21. 10. 1993

Stanisław POLACZEK

Panorama Firm

to seria corocznie wydawanych katalogów teleadresowych, zawierających pełną, sprawdzoną i aktualną informację o firmach działających na terenie poszczególnych województw Polski.



CENA JEDNEGO EGZEMPLARZA KATALOGU WYNOŚI RÓWNOWARTOŚĆ

10,- DM

NASZ ADRES:
02-737 WARSZAWA
ul. Niedźwiedzia 10
tel. (48) (22) 43 50 58
fax (48) (22) 43 99 21

**BIELSKO-BIAŁA
BYDGOSZCZ
CZĘSTOCHOWA
GDAŃSK
KALISZ
KATOWICE
KOSZALIN
KRAKÓW
LUBLIN**

**ŁÓDŹ
OPOLE
POZNAŃ
RADOM
SZCZECIN
TORUŃ
WAŁBRZYCH
WARSZAWA
WROCLAW**

**LUSWEST
POLSKA**

Wywiady „Kultury”

Rozmowa z dr. Andrzejem Ciechanowieckim*

Stefania KOSSOWSKA: — Gdyby pisać Pana biografię, może należałoby zacząć od Ciechanowca, czyli Pana prehistorii. Jak daleko w przeszłość sięgają Pana związki z tym miastem?

ANDRZEJ CIECHANOWIECKI: — Rodzina moja wywodzi się ze Strumiłłów z Dmoszyna ziemi wyszogrodzkiej. To co się o niej wie dzisiaj sięga około 1380 roku.

Po różnych tragediach rodzinnych XVIII w., potem po konfiskatach 1863 r. siedzibą naszą stał się Boczejków w gubernii witebskiej. Tam mieszkał mój ojciec i moja babka do 1918 r.

S.K.: — Urodził się Pan w 1924 r. już nie w Ciechanowcu ani Boczejkowie, tylko w Warszawie. Miał Pan niespełna 15 lat, gdy wybuchła wojna, a więc za wcześnie by coś w swoim życiu postanović, a może nawet zacząć o tym myśleć.

A.C.: — Mój ojciec był dyplomata, zmarł bardzo młodo (1930). Po utracie dóbr białoruskich mieliśmy jeszcze dom — pałacyk — w Warszawie, czyli została fasada bez dawnej finansowej podstawy, ale z ciągle jeszcze żywą aktywnością towarzysko-dyplomatyczną.

* Historyk sztuki, kolekcjoner, był właściciel znanych londyńskich galerii, międzynarodowy „marchand”, dr Andrzej Ciechanowiecki jest jednocześnie blisko związany z bieżącym życiem kulturalnym kraju, zakładając fundacje, wspierając liczne inicjatywy artystyczne i naukowe, a przede wszystkim biorąc czynny udział najpierw w odbudowie a potem w wyposażeniu Zamku Warszawskiego, któremu ofiarował swoje cenne zbiory.

Byłem wychowywany przez dwie niezwykle kobiety, moją matkę i moją babkę, które dały mi dwie bezcenne rzeczy w moim wychowaniu. Pierwsza to języki. Znałem cztery przed wojną, mając 14 lat, inne przyszły później. Drugą nauką, może jeszcze ważniejszą, którą słyszałem od dziecka było to, że będę musiał pracować. Co prawda koncepcje pracy u tych obu pań były trochę inne niż dzisiaj.

Myślałem o dyplomacji, chociaż wybijano mi to z głowy, bo dyplomacja, czy przedwojenna czy teraz, nie opłaca się, trzeba do niej po prostu zawsze dokładać.

Zawsze mnie interesowała historia sztuki, ale też wybijano mi to z głowy, mówiono mi, że tak jak kolekcjonerstwo są to zabawy dla ludzi bogatych. Ostatecznie moje ciągoty w dziedzinie sztuki okazały się opłacalne.

S.K.: — *Jak wyglądało Pana życie w czasie wojny i po wojnie do opuszczenia Polski?*

A.C.: — Zostałem ściągnięty 4 września ze wsi do Warszawy i piątego wyjechaliśmy za radą — jak się okazało niesłychanie niemądrą — gen. Carton de Wiart, na Polesie. Rzemennym dyszłem dojechaliśmy do Skirmuntów w Mołodowie. Zaczęliśmy tam organizować szpital, ja miałem iść do szkoły w Pińsku, bo — jak się myślało — zostaniemy tam całą zimę. Przyszedł 17 września. U Skirmuntów nie było radia, o wejściu Sowietów dowiedzieliśmy się dopiero późnym popołudniem. Było potem oblężenie Mołodowa, zamordowanie Henryka i Marii Skirmuntów — pisałem o tym dawno, dawno temu w *Wiadomościach*. Uciekliśmy z taborami gen. Kleeberga, coś tam pomagałem, mam nawet krzyż za kampanię wrześniową jako ochotnik. Wreszcie przez Kamiień Koszyński do Kowla. Podczas tej podróży ostrzeliwanie pociągu z uchodźcami przez samoloty sowieckie, co podobno zdarzyło się tylko ten jeden raz. Wreszcie Lwów, trudna zima 39/40, w grudniu nieudana próba ucieczki przez zieloną granicę. Wyjechaliśmy wreszcie w marcu, dwa dni przed zjawieniem się KGB, żeby nas zabrać na wywózkę.

Potworne przejście przez granicę i przyjazd do domu, do pustej Warszawy, 8 maja 1940, w pierwszy dzień łapanek. No i powrót do nauki. Byłem uczniem gimnazjum Stefana Batorego, gdzie stworzyliśmy komplet, który pozostał w historii jako tzw. „komplet profesorski”. Kolegami moimi byli w nim Klemens Szaniawski, Jerzy Pelc, Adam Miłobędzki, Jerzy Kroh, późniejsi luminarze nauki polskiej. Ja jeden spośród nich nie zostałem profesorem!

Zrobiliśmy zakres dwóch liceów, humanistycznego i matematyczno-fizycznego. Niektórzy z kolegów zdali nawet dwie matury, ale przyznaję, że ja z Miłobędzkim zostaliśmy tylko przy maturze humanistycznej. Z trygonometrią miałem potworne trudności!

Po maturze — praca zarobkowa, AK, trochę pracy społecznej oraz własne studia, bo zapisałem się do szkoły Edwarda Lipińskiego, która była ukrytą dawną SGH. Jednocześnie dla oderwania się od trudnego życia wojennego, zapisałem się na historię sztuki, nie myśląc wówczas co z tego wyniknie. Dało mi to możliwość słuchania między innymi wykładów prof. Tatarkiewicza, który gdzieś na Woli czy na Pradze, w nieopalanym pokoju, przy karbidówce, mówił błyskotliwie jak zawsze — o szczęściu.

Przyszło Powstanie, wyjście z Warszawy nie z wojskiem, lecz z Czerwonym Krzyżem dziesięć dni później. Z Andrzejem Żółtowskim przeszedłem jeszcze przez wyludnioną Warszawę około 7 października. Potem Pruszków, dalsze misje akowskie na prowincji, Kraków, aresztowanie przez Niemców, na szczęście krótkie, odmowa wyjazdu z Adamem Ronikiem, którego byłem sekretarzem i powrót do Warszawy z końcem stycznia 1945. Krótka działalność w WiN („Wolność i Niezawisłość”), z której się wycofałem — i decyzja wejścia do jakiejś pracy konstruktywnej w tzw. Rządzie Tymczasowym. Przez parę miesięcy byłem szefem protokołu w Ministerstwie Handlu Zagranicznego przy Jędrzychowskim, była nawet propozycja, bym objął protokół przy Bierucie w Belwederze, gdzie bywałem często z zagranicznymi delegacjami, a także propozycja wyjazdu za granicę w służbie dyplomatycznej. Szybko zrozumiałem, że nic z tego nie może wyniknąć i zdecydowałem, iż trzeba kończyć studia.

S.K.: — *W Warszawie?*

A.C.: — Nie, wróciłem do Krakowa i do nauki. Skończyłem Akademię Handlową, kontynuację warszawskiej SGH i potem, nie chcąc emigrować, a byłem do tego zachęcany wielokrotnie, wróciłem do studiów z historii sztuki. Skończyłem je przedterminowo w marcu 1950, natychmiast dostałem asystenturę i zacząłem pracę nad doktoratem. Przerwało mi ją aresztowanie 23 października 1950.

S.K.: — *Za co? Dlaczego?*

A.C.: — Wracałem z Uniwersytetu, gdzie zostawiłem biurko

zawalone papierami do doktoratu. Między Wieżą Ratuszową i Sukiennicami podjechał mały samochodek. Sprawdzenie dokumentów, do samochodu, na bocznej ulicy na przedmieściu, dwie godziny postoju, przesiadka do innego samochodu i wprost do Warszawy. Dowiedziałem się potem o rewizji w domu na drugi dzień i że biedna moja matka wciąż mnie szukała w Krakowie, bo nikt nie myślał, że jestem taki „ważny”, żeby mnie zawieziono wprost do Warszawy.

Aresztowanie było w związku z szykującym się procesem ambasady brytyjskiej, na który mnie w końcu nie stawiono. Znałem wielu dyplomatów brytyjskich, amerykańskich i włoskich, albo byli to przedwojenni koledzy mego ojca, przyjaciele rodziny, albo już moi znajomi z okresu mojej „diplomacji”.

15 miesięcy przesłuchań niełatwych. Nic ze mnie nie wyciągnięto, bo zresztą mało było podstaw do oskarżenia. W styczniu 1952 po procesie, tzw. „kiblowym” dostałem wyrok 10-letni.

Z Koszykowej do głównego pawilonu na Mokotowie, gdzie nie podobało się, że prowadziłem kursy, że uczyliśmy się. Przeniesiono mnie na 11 pawilon, były to tzw. „szafy pancerne”. A po formalnym procesie apelacyjnym — Rawicz, Wronki. O więzieniu nie chcę mówić, ale było to głębokie doświadczenie.

W więzieniu byłem pięć lat i cztery miesiące z kawałkiem. Po zwolnieniu i rehabilitacji, wróciłem do pracy naukowej, ale już nie na uniwersytecie, gdzie się mnie bano. Zabrałem się z powrotem do doktoratu, niestety innego, bo dużo moich przygotowawczych prac zaginęło.

W 1958 r. wyjechałem na Zachód na połączone stypendia British Council i Ford Foundation. Kiedy wyjeżdżałem 22 lipca (data wówczas ważna) nie myślałem, że będzie to pożegnanie z krajem na 19 lat.

S. K.: — *Jaka jest Pana specjalność jako historyka sztuki?*

A. C.: — Jestem przede wszystkim historykiem kultury, a historykiem sztuki trochę z przypadku. W dziedzinie historii sztuki zacząłem od przemysłu artystycznego, od sztuki stosowanej. Moja praca magisterska była poświęcona meblarstwu krakowskiemu, doktorat miał być ze złotnictwa krakowskiego epoki baroku. Uratowane fragmenty tego później wydałem. Doktorat w Niemczech, w Tybindze, zresztą *summa cum laude* zrobiłem z mecenatu Michała Kazimierza Ogińskiego. Praca ta była przygotowana w ciągu dwóch lat, między wyjściem z więzienia a wyjazdem za granicę. Po 32 latach ukazał

się przekład tej książki na białoruski. Ze względu na postać Ogińskiego moje kontakty białoruskie zaczęły się właśnie od tej książki.

S. K.: — *Na czym polegała Pana praca w międzynarodowym świecie handlu sztuką?*

A. C.: — Dostałem się do tego świata dzięki różnym szczęśliwym zbiegom okoliczności, do których należał fakt, że znam się na meblarstwie francuskim, włoskim, polskim, nawet rosyjskim, że miałem zainteresowanie metalami, srebrem itd., które potem od brązów rozszerzyło się na rzeźbę i na malarstwo od Renesansu do XIX wieku. Znalazłem się od razu na wysokim szczeblu, wyrobiwszy sobie opinię człowieka, który wskrzesił na rynku międzynarodowym modę na rzeźbę, właściwie zapomnianą od pierwszej wojny światowej. Wystawy, które robiłem jeszcze w galerii Mallets, dotyczyły rzeźby francuskiej XIX wieku. „Odkryłem” Carpeaux, Dalou, rzeźbiarzy zwierząt, tzw. „animaliers”.

Moją główną zasługą w nowym zawodzie było stworzenie katalogu naukowego, jaki dawniej nie istniał, w handlu. Podawano tylko autora, daty, tytuł dzieła, wymiary. Ja wprowadziłem — a wydałem ponad 40 katalogów — dyskursywny, opisowy tekst. Typ ten powoli przejęły wszystkie galerie i domy aukcyjne.

S. K.: — *Wspaniale wydane w 1990 r. przez Zamek Królewski w Warszawie dzieło pt. „Curia Maior”, w którym wzięli udział najwybitniejsi polscy historycy sztuki zostało Panu dedykowane z okazji 60-letniej rocznicy urodzin, jako dowód uznania za pracę i dary przy odbudowie Zamku. Jak doszło do tej współpracy?*

A. C.: — Mimo mego wyjazdu z Polski utrzymywałem stale kontakt z moimi profesorami i młodszymi kolegami i kiedy stanęło przed nami zadanie odbudowy Zamku, włączyłem się w to od początku, nie jeżdżąc jeszcze do kraju. Po raz pierwszy pojechałem tam w 1977 r. po 19 latach nieobecności.

W czasie moich pobytów w Warszawie całe godziny spędzaliśmy nad projektami, nad planami architektonicznymi, gdy jeszcze nie było mowy o wyposażeniu. Bardzo przyjazne kontakty, jakie nawiązałem z profesorami Lorentzem, Gieysztozem, Rottermundem doprowadziły do mojej stałej współpracy, jeździłem do Warszawy raz do roku, nawet podczas stanu wojennego. Spędzałem kilka dni na konsultacjach. Stąd

narodziła się w 1984 r. koncepcja utworzenia mojej rodzinnej fundacji, której tekst został podpisany w październiku 1986.

Celem fundacji było wyposażenie muzeów, by z zagranicy wróciło jak najwięcej pamiątek do rozbitego gmachu ojczyzny. Moja fundacja jest swoistego rodzaju *unicum*, bo normalnie fundatorzy chcą mieć *swoje* muzeum, *swoje* sale. Większość obiektów z mojej fundacji idzie na Zamek, po prostu dlatego, że pochodzą z XVIII w., którym się bardziej interesowałem niż innymi okresami. Dysponentem zbiorów fundacji jest Zamek, gdzie ma ona swoją siedzibę. Obiekty przekazane do innych muzeów nie stają się ich własnością, są to długoterminowe depozyty pod warunkiem spełnienia trzech obowiązków: 1) muszą być opracowane naukowo; 2) muszą być stale wystawione (a nie schowane w magazynach) i 3) ma być na nich tabliczka, że to jest depozyt z mojej fundacji.

S.K.: — *Obok działalności poprzez swoją fundację, pomaga Pan również jako „darczyńca” — żeby użyć pięknego, staropolskiego określenia prof. Lorentza — różnym prywatnym inicjatywom. Należy do nich wyposażenie kościoła w Mistrzejowicach. Dlaczego właśnie tam?*

A.C.: — Kościół w Mistrzejowicach ufundował z wkładem 85% Polski Związek Zakonu Maltańskiego z mojej inicjatywy. Były dwa powody dlaczego właśnie tam. Mistrzejowice, część Nowej Huty z 70 tysiącami mieszkańców nie miały kościoła i o ten kościół toczyła się walka. Moim osobistym sentymentalnym powodem było to, że Mistrzejowice znajdują się na terenie dawnego majątku moich dziadków macierzystych.

Dla wystroju kościoła zdecydowaliśmy się na koncepcję rzeźbiarską. Wybór padł na Gustawa Zemłę, wówczas socrealistycznego rzeźbiarza, kierującego się na abstrakcję, którego prace znałem tylko z fotografii. Doszliśmy do wniosku, że to jest odpowiedni człowiek i wyciągnęliśmy z niego jego prawdziwą osobowość oraz oblicze artystyczne. Chyba nikt od Renesansu nie dostał zamówienia na wyposażenie całego, tak dużego kościoła. Zemła ma tam właściwie swoje własne muzeum. Pracowałem z nim wspólnie nad każdym szczegółem tej wielkiej pracy.

S.K.: — *Panu również zawdzięcza swe ukazanie się wielotomowe dzieło Romana Aftanazego pod enigmatycznym tytułem „Materiały do dziejów rezydencji”, które jest historią kresowych*

zamków, pałaców i dworów w granicach przedrozbiorowej Polski. Skąd Pan wiedział o tej pracy?

A.C.: — Aftanazy był w pewnym sensie podopiecznym Skirmuntów z Mołodowa, o których mówiłem wcześniej. Znałem od 1956 r. jego pracę i pasję zbieracza. Zaprzyjaźniłem się, a później korespondowałem z nim, pomagając w różnych jego poszukiwaniach. Wiele więc już o nim wiedziałem, kiedy z początkiem lat 80-tych zwrócił się do mnie prof. Stanisław Mossakowski z propozycją podjęcia próby wydania tej pracy. Był to z jego strony akt wielkiej odwagi, co bardzo chcę podkreślić. Gdy zaczęliśmy w 1984 r. pracę nad wydaniem, tytuł musiał być enigmatyczny ze względu na cenzurę. Dzieło wychodziło w ramach małej poligrafii w ilości 500 egzemplarzy. Ludzie to sobie wrywali. Nam chodziło o zabezpieczenie niepowtarzalnych materiałów i wiadomości. Uwagi krytyczne, poprawki oraz uzupełnienia znalazły się teraz w drugim wydaniu, podjętym przez Ossolineum. Oby ono ukazało się w całości.

S.K.: — *Praca Romana Aftanazego, interesująca Pana jako historyka, dotyczyła stron, z którymi był Pan rodzinnie, emocjonalnie związany. Czy z podobnie osobistymi względami łączy się Pana podróż — czy podróże — na Białoruś, najpierw jeszcze za czasów sowieckich i później?*

A.C.: — Oczywiście fakt, że jako rodzina byliśmy na Białorusi przeszło 400 lat, odpowiednio grał. Utrzymywałem w Londynie kontakt z biskupem Sipowiczem i jego ośrodkiem naukowo-unickim. Potem nastąpiły kontakty z białoruskimi naukowcami, którzy przyjeżdżali do Anglii. Szukano mnie z powodu pracy o Ogińskim. W 1988 r. pojechałem na Białoruś po raz pierwszy, miałem oczywiście cały czas asystę KGB, ale puszczono mnie w podróż samochodem. Odwdzięczyłem się pasem słuckim, co jeszcze dzisiaj płaci dywidendy. Jest to jedyny pas słucki na całej Białorusi, wszystkie inne poszły do Rosji, wraz z niedobitkami zbiorów muzealnych oraz prywatnych.

S.K.: — *Po co Pan wtedy pojechał i co tam robił?*

A.C.: — Chciałem podróżować — nazywało się to — po szlakach historii rodziny. Zrobiłem dwa i pół tysiąca kilometrów z Mińska przez Łohojsk do siebie, do Boczejkowa. Spodziewałem się, że niczego nie znajdę, ale wrażenie było potworne. Nie ma domu, nie ma sławnego parku, z pięciu pa-

wilonów zostało półtora, po rodzinnym cmentarzu nie ma śladu. Wyjechałem po półtorej godziny w stanie psychicznego rozbitcia. Wiedziałem, że będzie źle, ale nie wiedziałem, że aż tak źle.

Potem był Połock, Witebsk, Orsza, Mścisław, Mohylew... z powrotem do Mińska, zjeżdżając na boki. I gdy — o dziwo — dostałem wreszcie na miejscu mapę, mówiłem gdzie chcę jechać i nie było żadnej trudności podczas całej, dziesięciodniowej podróży.

S.K.: — *Jak się Pan orientował w zupełnie obcym dla siebie terenie?*

A.C.: — Moim bezcennym przewodnikiem był Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, wydany w latach 80-tych zeszłego stulecia. Wszystko tam jest — od gospodarki, sztuki do historii, wszystko. Twórcom, autorom i redaktorom tego naprawdę wiekopomnego dzieła, wydanego poza cenzurą carską, należy się pomnik. Miałem ze sobą notatki, przygotowywałem się do każdego dnia i starałem się tym, co mi towarzyszyli, powiedzieć jak najwięcej. Był to rok 1988 i nie wszystko można było jednak mówić. Ale gdy na przykład w Połocku pokazano mi miejsce kaźni czterech mieszczan, zgładzonych z wyroku sądów polskich, zapytałem czy wiedzą dlaczego. Nie wiedzieli i choć nie znałem miasta, powiedziałem: — Chodźcie ze mną.

Sprawdziłem ich do Dźwiny i pokazałem im skąd wyprowadzono św. Józefata Kuncewicza do miejsca jego męczeństwa. Takimi drobnymi rzeczami — a ten kościół to, a gdzie jest to, a przez kogo było budowane — starałem się obudzić ich pamięć historyczną, która się zupełnie zatarła przez okres komunizmu.

S.K.: — *Właśnie Pan wrócił z Mińska, pięć lat po tamtej pierwszej podróży, w zupełnie zmienionych okolicznościach. Jaki charakter miała obecna wizyta?*

A.C.: — Tym razem miałem dwa konkretne cele. Jeden otrzymanie doktoratu honorowego uniwersytetu w Mińsku (trzeci w ogóle nadany) i przewodniczenie — na prośbę Białorusinów — nowo powstałej komisji bilateralnej polsko-białoruskiej w sprawach wspólnego dziedzictwa kulturalnego.

S.K.: — *Czy Pan mówi po białorusku?*

A.C.: — Rozumiem. Rozmowy moje były zresztą prowadzo-

ne po polsku. Od pierwszego mojego pobytu zawsze i tylko mówiłem po polsku. Powtarzałem: „Mówcie do mnie po białorusku czy rosyjsku — rozumiem; ja będę mówił po polsku i *będziecie rozumieć*”. W 1988 r. były trzy osoby, które nie chciały „rozumieć” i tłumaczono im. Te same osoby dwa lata później doskonale już rozumiały.

S.K.: — *Czy spotykał Pan tam Polaków?*

A.C.: — Z mniejszością polską spotykałem się, ale mało. Moja pozycja na Białorusi jest dość szczególna. Nawet minister spraw zagranicznych napisał w prasie, iż jest w stałym kontakcie ze mną. Napisał też, że jestem Polakiem, ale poczuwającym się do odpowiedzialności za swoje korzenie białoruskie. Ta definicja ułatwia współpracę.

S.K.: — *Cofając się w czasie i przestrzeni, z Mińska do Krakowa lat 40-tych, czy mógłby Pan coś powiedzieć o Klubie Logofagów, o którym mało kto wie wszystko.*

A.C.: — Dyskusyjny Klub Logofagów, „zjadaczy słów”, został stworzony przeze mnie i najbliższych mi wtedy przyjaciół przy krakowskiej YMCA na przełomie 1946/7 roku. Początki były trudne, pisał o tym parokrotnie prof. Tadeusz Chrzanowski w *Tygodniku Powszechnym*. Klub zaczął być powoli modny w Krakowie i przyciągał wybitnych naukowców i przedstawicieli wszystkich dziedzin nauki, a nawet polityków. Np. Bolesław Piasecki próbował nas skaptować i dwa razy przedstawiał nam swoje mętne teorie. Przemawiał też Bolesław Drobner. Przewodniczenie było rotacyjne, żeby nauczyć się prowadzenia dyskusji. Tematy były różne a prelegenci — elita intelektualna Krakowa — Młynarski, Krzyżanowski, Pigoń, starsi panowie, którzy powoli zaczęli pasjonować się „zabawą” tego młodego wówczas grona, do którego należeli — Woźniakowski, Szpunar, Skąpski, Rosztrowski, Wielowieyski, Chrzanowski — dzisiaj znane w kraju nazwiska. Zbieraliśmy się raz na tydzień, w spotkaniach brali udział nie tylko członkowie ale i goście zainteresowani tematem — 30-40 osób. Książka z podpisami prelegentów i gości uległa, niestety, spaleni po moim aresztowaniu, tak że trudno dziś nam, pozostałym członkom, odtworzyć w całości historię tego klubu. Trwał on trzy lata i zamknąłem go, na szczęście, wiosną 1950, przed aresztowaniem tak, że nikt nie został w to wmieszany.

Był to pierwszy klub dyskusyjny w Polsce, który stał się

matrycą dla Klubów Inteligencji Katolickiej i innych. Było to ciekawe doświadczenie i niewątpliwie zaważyło na formacji intelektualnej i umiejętności dyskusyjnej ludzi, którzy dziś w Polsce znaczą bardzo wiele.

S.K.: — *Parę lat temu Jan Nowak w artykule w londyńskim Tygodniu Polskim opowiedział swoje z Panem poznanie w latach 70-tych, gdy rada miejska Bad Reichenhall sprzeciwiła się umieszczeniu na miejscowym cmentarzu tablicy ku czci pochowanego tam w 1874 r. Maksymiliana Gierymskiego, którego nagrobek został usunięty, prawdopodobnie przez hitlerowców. Nowak, który zwrócił się do Pana o pomoc, był pod wrażeniem Pana energii i kontaktów, jakie doprowadziły do pomyślnego załatwienia sprawy. Pamiętał też wspaniałą wystawę sztuki polskiej w Detroit Institute of Art (gdzie Pan miewał doroczne odczyty o sztuce polskiej) z Pana eksponatami o wielkiej wartości materialnej. Czy Pan zawsze działa samodzielnie czy też czasem w ramach jakichś instytucji?*

A.C.: — Należę od 1958 r. do Związku Polskich Kawalerów Maltańskich, którego jestem obecnie wiceprzewodniczącym. Do niedawna Zakon Maltański działał charytatywnie w Polsce po cichu, w ukryciu, a dzisiaj robi to oficjalnie; doszło wreszcie do pierwszego od wojny Konwentu w kraju w 1992 r. — uroczystości w Katedrze Warszawskiej, na Zamku, otwarte wybory zarządu. Mnie interesują i inne zakony dynastyczne — neapolitańskie, sabaudzki, nawet rosyjskie. Może to jest snobizm, ale chyba snobizm konstruktywny, który może mieć w obecnym świecie pewne znaczenie polityczne.

Do moich zainteresowań należy też Biblioteka Polska w Paryżu, jestem członkiem jej Rady i doradcą artystycznym od 15 lat; jestem też w Radzie Fundacji Lanckorońskich, zajmuję się Muzeum w Rapperswilu i wielu innymi instytucjami polskimi.

S.K.: — *Odbierając doktorat honorowy w Uniwersytecie Warszawskim upomniał się Pan w swym przemówieniu o własne „zapoznane” — według Pana — pokolenie, czyli o ludzi, którzy — jak Pan — młodość spędzili w niepodległej Polsce i dużą część życia, jeśli nie jego większość poza krajem.*

A.C.: — Pokolenie, o którym myślę, kształcone znakomicie — bezklasowo, bezrasowo w dwudziestoleciu niepodległości, miało stać się elitą kraju w dziedzinie naukowej, kulturalnej, dyplomatycznej, prawniczej, wojskowej czy nawet duchowej. Lu-

dzie z tego pokolenia, którzy po wojnie znaleźli się na Zachodzie, pracowali ciężko zawodowo, często dochodzili do wybitnych rezultatów. Przyszedł rok 1989 i ci z tych ludzi, którzy mieli niepowtarzalne kontakty, stosunki, doświadczenie i chcieli je przekazać, mogli byli dużo z siebie dać. Ale nikt nas o to nie prosił. Nie byliśmy może odsuwani, ale na pewno nie proszeni. Dotyczyło to też wielu osób w kraju, należących do tej generacji.

S.K.: — *Pozostając przy emigracji — przykład Pana, który jest zapraszany do współpracy i odznaczany chyba zaprzecza tym zarzutom? A poza tym ludzie, o których Pan mówi mają dzisiaj około 70 lat i więcej i w większości przekroczyli już swoją „sell by date”. Ilu z nich ma coś do dania i chęć, by nie czekając na zaproszenia, nie dla ubiegania się o zaszczyty, bez wystawiania rachunku za zasługi, które były obowiązkiem, włączyć się czynnie w życie kraju, jak to zrobił Jan Nowak Jeziorański, Pan i paru innych? I wielu młodszych fachowców, którzy — nie słyszałam — by napotkali w kraju na jakieś trudności.*

A.C.: — A ja słyszałem. To, że jestem zapraszany, jak Pani przypomina, to są na ogół „nominalne” dziedziny, powiedziałbym iż prawie tytularne, bez żadnego wpływu na przebieg wydarzeń. Chodzi o rady, o które nas nikt nie pytał. Cztery lata temu wielu z nas mogłoby dać więcej z siebie. Wielokrotnie pomoc nasza mogła być się bardzo przydać. Nie skorzystano z tego. I dzisiaj dalej z tego „kapitału” Polska nie korzysta.

S.K.: — *Prezydent Wałęsa mianował Pana i dr. Pełczyńskiego z Oxfordu swymi przedstawicielami fundacji „Polonia Aid Foundation Trust” w Londynie. Kapitał tej fundacji wynosi ponad dwa miliony funtów, na co złożyły się pieniądze byłego rządu emigracyjnego, w tym Skarbu Narodowego i dochód ze sprzedaży tzw. „Zamku”, czyli byłej siedziby tego rządu. Dysponują tym funduszem członkowie dawnego emigracyjnego establishmentu. Zgodnie ze statutem działalność PAFT ma być skierowana na cele kulturalne i społeczne poza krajem. Według powszechnej opinii należy do nich trwale zabezpieczenie istnienia dwóch najważniejszych instytucji, jakie stworzyła emigracja — Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego i Biblioteki Polskiej. Jak Pan widzi swoją rolę w rozporządzaniu tym funduszem? Czy głos Pana i dr. Pełczyńskiego jest tylko doradczy, czy mogą Panowie mieć także wpływ na decyzje?*

A.C.: — Według prawa angielskiego PAFT ma statut *charity* i ani dr Pełczyński ani ja nie mamy prawa weta. Niewątpliwie — zresztą na życzenie Prez. Wałęsy — tak Instytut Sikorskiego jak i Biblioteka Polska będą otrzymywać duże dotacje. Kapitał posiadany przez PAFT wydaje się kolosalny, ale przy dzisiejszej stopie procentowej dochody nie są takie duże.

Dotąd współpraca w gronie powierników układa się bardzo harmonijnie. Głos przedstawiciela Prezydenta nie jest głosem decydującym, ale na pewno brany jest poważnie pod uwagę przez radę wykonawczą PAFT i plenum powiernicze. Odkąd jestem w tym gronie, nie wydaje mi się, byśmy wydawali pieniądze źle.

S.K.: — *Należy Pan także do Rady Kultury, również zaproszony przez Prez. Wałęsę. Czy w ogólnych ramach reprivatyzacji przewidziany jest zwrot dzieł sztuki, odebranych prywatnym właścicielom? W większości wypadków te zbiory znalazły się w muzeach i oddanie ich byłym właścicielom czy ich potomkom mogłoby grozić wywiezieniem ich z Polski. Jakie rozwiązanie jest przewidziane w tej sprawie?*

A.C.: — Obiektom zabytkowym w Polsce nie grozi wywóz za granicę, chyba gdyby ktoś to robił nielegalnie. Prawa polskie są niesłychanie surowe, za surowe nawet, bo w zasadzie nie może z Polski wyjść nic, co było stworzone przed 1945 r. Dotyczy to również książek. Nawet niektórzy malarze, którzy zmarli po 45 r. są objęci tym zakazem, co jest nonsensem. Bo jak pokazywać współczesną sztukę polską za granicą, jeśli jej nie można z kraju wywieźć? Są próby znowelizowania i uelastycznienia tej ustawy.

Wiemy, że wojna okrutnie obeszała się u nas z dziełami sztuki. Mamy mało i musimy to chronić. Pierwsza koncepcja, dotycząca zbiorów prywatnych — to fundacje. Moja fundacja w Polsce stała się wzorcem dla innych rodzinnych fundacji — Czartoryskich z Krakowa, Raczyńskich, tworzymy teraz fundację Gołuchowską Czartoryskich, myślimy o fundacjach Tarnowskich, Branickich z Wilanowa, Potockich. Nie obawiamy się wywozu, jeśli zdarzy się jakiś przypadek, będą to drobiazgi. Mogą jednak być rzeczy ukradzione z muzeów, co też się zdarza i o zwroty się walczy. Są też jeszcze nie załatwione niezliczone sprawy rewindykacyjne, wynikające z ostatniej wojny, oraz z dawniejszych grabieży przez naszych sąsiadów historycznych.

S.K.: — *Jeśli komuś przywrócono tytuł własności, czy może zbiory zachować prywatnie u siebie, czy musi je oddać do muzeum?*

A.C.: — Ustawa o reprivatyzacji będzie dopiero rozpatrywana w nowym sejmie w jesieni. Są różne koncepcje, w które byłem wciągnięty nie z ramienia Rady Kultury, ale moich osobistych stosunków jako historyk sztuki. Na przykład Adam Karol Czartoryski przekazał całość swego Muzeum założonej fundacji, chociaż to była jego prywatna własność, przyznana mu w styczniu 1991. Andrzej Potocki odzyskał część zbiorów krzeszowickich i z Pałacu pod Baranami i rozważa teraz stworzenie fundacji.

Pracujemy nad koncepcją podzielenia zbiorów prywatnych, będących w muzeach na trzy kategorie: a) dzieła sztuki o znaczeniu międzynarodowym, które pozostają własnością państwa bez odszkodowania; b) dzieła sztuki o znaczeniu mniejszym, ale jednak muzealnym, które pozostają jako własność prywatnych właścicieli i znajdują się jako depozyty w muzeach, przy czym państwo podejmuje się wykupywania tego powoli w miarę swoich możliwości finansowych; c) inne pamiątki rodzinne, fotografie, mebelki, często graty włącznie z garnkami, platerą, jakieś porcelanki etc., które np. w wypadku wyposażenia Wilanowa też zostały skonfiskowane. Te powinny być zwrócone i taka jest tendencja, ale jeszcze ustawa nie przeszła. Jeśli będą zwroty prywatnym właścicielom, to bardzo skromne — za skromne nawet — co na pewno naszego dorobku kulturalnego nie uszczupli. To są tendencyjne „strachy na Lachy”.

S.K.: — *Jakie, według Pana, jest najważniejsze zadanie Rady Kultury?*

A.C.: — Nie bardzo wierzę w te wszystkie nowo powstałe Rady. Zadania, które stoją przed nami, to przede wszystkim utrzymanie ciągłości naszej tradycji kultury, tolerancyjnej i światłej, kultury Rzeczypospolitej Obojga Narodów, albo raczej teraz nawet Trojga Narodów. Musimy blisko współpracować z naszymi sąsiadami — z Litwą, Białorusią, Ukrainą.

Nie mówmy zawsze, że „to jest polskie”. To jest *wspólne*. To powstało na tamtych terenach. Mamy przecież takie same problemy na terenach zachodnich. My krzyczymy o „nasze” Kresy, ale jak Niemcy słowo powiedzą na temat tego co jest dzisiaj na Ziemiach Odzyskanych, to się podniecimy. Bądźmy logiczni i wierni prawdzie naukowej.

Dzieła sztuki są *glebae adscripta*. Należą do danego terenu, są częścią spuścizny ziem, na których powstały i ludzi, którzy tam kiedyś mieszkali.

Jest teraz znakomita wystawa portretów w Warszawie, która obejmuje portrety nie tylko z rdzennej Polski, ale też z Prus Wschodnich, Litwy, Łotwy (powiedzmy — z Kurlandii i Inflant), z Białorusi i Ukrainy, a więc tego, co powstało na terenie dawnej Rzeczypospolitej. Do tego dorobku musimy dziś włączyć, patrząc na to rozsądnie, to co powstało na terenach niemieckich, które dzisiaj stanowią część Polski. Geografia historyczna się zmienia, sztuka natomiast się nie zmienia, tradycja kultury nie powinna też się zmieniać. Patrzmy na te problemy rzeczowo i po europejsku, a nie zaściankowo.

Rozmawiała Stefania KOSSOWSKA

KWARTALNIK LITERACKI „K R E S Y”
Istnieje od 1989 roku

Jest pismem poświęconym literaturze i sztuce współczesnej
W ostatnich numerach m. in.:

POEZJA: Adam CZERNIAWSKI, Kazimierz NOWOSIELSKI,
Witold WIRPSZA, Janusz PASIERB, Krzysztof KARASEK, Wiktor
WOROSZYLSKI, Maciej CISŁO

PROZA: Erwin KRUK, Zbigniew MACHEJ, Włodzimierz ODOJEWSKI,
Kazimierz ORŁOŚ, Janusz ANDERMAN

SZKICE: Wł. Bolecki o J. MACKIEWICZU i W. GOMBROWICZU
J. M. Rymkiewicz o Adamie MICKIEWICZU
A. Zawada o Jarosławie IWASZKIEWICZU
P. Czaplński o Aleksandrze JANTA-POLCZYŃSKIM

BLOKI o SCHULZU, HERLINGU-GRUDZIŃSKIM, CZAPSKIM

ROZMOWY z Jackiem TRZNADLEM, Tadeuszem KONWICKIM,
Adamem ZAGAJEWSKIM

„Kresy” podają wartościowy materiał literacki przeznaczony
dla zaawansowanej publiczności czytelniczej. Każdy zeszyt liczy ponad
250 stron druku. W Polsce ukazuje się wiele pism literackich. Jeśli wybrali
Państwo właśnie „Kresy”, zachęcamy do zaprenumerowania naszego
kwartalnika dla siebie, dla szkoły, dla biblioteki.

Warunki prenumeraty w kraju: 120 tys. zł za rok 1994 (4 numery)
za granicą: pocztą lotniczą 40 USD

Konto: Stowarzyszenie Literackie „KRESY” w Lublinie
Bank PKO BP II Oddz. Lublin, nr 43528-126175-132

Adres redakcji: ul. Chopina 5, II piętro
20-950 Lublin 1, skr. poczt. 383

O religii bez namaszczenia

Brak zaufania, który rani*

Po starannym przeczytaniu nowej encykliki papieskiej, ręce mi opadły. W kilka godzin później ogarnęła mnie na dłuższy czas jakaś drętwość mózgu i zapragnąłem bardzo przenieść się z Kościoła na ziemi do Kościoła w niebie. Gdy mój mózg zaczął znów normalnie pracować, wróciła mi moja dawna ufność, ale bez zamykania oczu i serca na ból i mózgowy konwulsje, jakie mnie zapewne czekają w najbliższej przyszłości.

Wiele jest bardzo pięknych rzeczy w encyklice *Veritatis Splendor*. Ale prawie cały ten splendor gaśnie z chwilą, gdy jasne się staje, że jest to dokument, który ma jeden tylko cel na oku: wymusić absolutną zgodę i uległość wobec wszystkich wypowiedzi papieża, i to zwłaszcza w jednym kluczowym punkcie: że stosowanie sztucznych środków regulacji urodzin jest *intrinsece malum* czyli zawsze i bez wyjątku grzeszne, nawet w sytuacji w której antykoncepcja byłaby mniejszym złem.

Papież jest absolutnie przekonany, że jest jego obowiązkiem głosić tę swoją naukę, bez brania pod uwagę choćby w najmniejszym stopniu, przewidywalnych praktycznych konsekwencji, jakie ona za sobą pociąga dla zainteresowanych i dla całego Kościoła. Jego zdaniem takie względy są nieprawnomocne i niebezpieczne, bo wyważanie wartości oznacza, że stają się one przez to relatywne. Uważa on, że niezależnie od wszelkiego ryzyka czy niebezpieczeństwa z tą jego nauką nie wolno się nie zgadzać i jedyną możliwą odpowiedzią jest posłuszeństwo.

* Artykuł ten ukazał się w *The Tablet*, 23.X.93.

Wydany niedawno z nakazu papieża nowy „Katechizm Kościoła Katolickiego” stanowi dowód, że papież uznaje, że negatywne przepisy dopuszczają pewne wyjątki. Na przykład zakaz zabijania może być uchylony w przypadku samobrony, w przypadku prawnego wyroku śmierci czy nawet sprawiedliwej wojny. Dla papieża (zatem) zakaz antykoncepcji jest bardziej absolutny niż przykazanie „Nie zabijaj”. Mamy także negatywny przepis dany przez samego Chrystusa Pana jego uczniom: „Nie przysięgajcie w ogóle” (Mat. 5,34). W tym przypadku papież nie tylko dopuszcza wyjątki, ale wprost je nakazuje jako obowiązujące dla określonych kategorii członków Kościoła.

Istnieje uderzająca różnica między obecnym papieżem a Janem Pawłem I, który przed wyniesieniem na Stolicę Piotrową był przez wiele lat wybitnym profesorem teologii moralnej. Jako kardynał Albino Luciani był rzecznikiem zmiany doktryny o antykoncepcji, a gdy papież Paweł VI ponowił zakaz antykoncepcji w encyklice *Humanae Vitae*, Luciani po prostu zamilkł. Ale wkrótce po wyborze na papieża dał wyraźnie do zrozumienia, że ma zamiar zaproponować pewne zmiany, w oparciu zresztą o zasadę konsultacji (zob. Camillo Bassoto, *Il mio cuore è ancora a Venezia*, Albino Luciani, Venezia 1990). Jakkolwiek sam od wielu lat zajmował się tym problemem, nigdy nie przecenił swoich własnych kompetencji na tyle, by rezygnować z wysłuchania opinii wszystkich zainteresowanych i podjęcia dialogu z teologami i biskupami. Jan Paweł I w pełni podzielał przekonanie ogromnej większości specjalistów teologii moralnej, dawnych i współczesnych, że nie wolno na ludzi nakładać ciężkich obowiązków, jeśli nie ma całkowitej pewności, że taka jest wola Boga.

Umysłowość Jana Pawła II jest inna. Charakteryzuje ją wysokie poczucie obowiązku w połączeniu z absolutnym zaufaniem do swych kompetencji i wiarą w szczególną pomoc Ducha Świętego. I w parze z zaufaniem we własne siły idzie brak zaufania do teologów (zwłaszcza w sferze teologii moralnej), którzy mogą nie całkiem się z nim zgadzać.

Z tekstu *Veritatis Splendor* wynika, że papież od lat nosił się z zamiarem wydania encykliki, która zmusiłaby teologów do przyjęcia jego nauk dotyczących moralności seksualnej, w tym zwłaszcza zakazu antykoncepcji. Natomiast papież darzy zaufaniem takich teologów jak Carlo Caffarra, który na zwołanej specjalnie konferencji teologów „godnych zaufania” wystąpił z niewiarygodnym twierdzeniem, że Kościół

do roku 1917 uważał antykoncepcję, w małżeństwie czy poza małżeństwem, za „morderstwo”. Caffarra powoływał się na *Codex iuris Canonici*, który powiadał tylko, że „kto mężczyźnie albo kobiecie aplikuje środki magiczne lub truciznę, tak że stają się oni bezpłodni (...), i czynią to powodowani nienawiścią lub wrogością, powinni być uważani za morderców”. Jaskrawe nadużycie kościelnego dokumentu nie przeszkadza, że Caffarra nadal jest szefem rzymskiego Instytutu Jana Pawła II.

Stanowisko papieża znalazło wyraz w całym szeregu przemówień i podjętych przez niego kroków dyscyplinarnych. Między innymi:

1. Nowy kodeks prawa kanonicznego klasyfikuje nieakceptowanie pewnych nauk papieskich jako przestępstwo (kanon 1371, nr.1). Kto po napomnieniu za niewłaściwą wypowiedź wypowiedzi tej nie odwoła, popełnia karalne wykroczenie. Nie ma żadnej możliwości podtrzymania swego twierdzenia, nawet w najlepszej wierze. Ten punkt został wprowadzony do kodeksu w ostatniej chwili na życzenie papieża, bez żadnej konsultacji z międzynarodową komisją, która opracowała nowy kodeks.

2. Nominacje na stanowiska profesorów teologii, w tym teologii moralnej, we wszystkich wyższych uczelniach kościelnych podlegają ścisłej centralnej kontroli. Nie ulega wątpliwości, że warunkiem nominacji jest wyrażenie przez kandydata całkowitej zgody na każde orzeczenie papieskie dotyczące antykoncepcji i podobnych spraw.

3. Podobnej kontroli podlegają w dużej mierze nominacje na biskupów i inne wyższe stanowiska kościelne.

4. Gdy okazało się, że wspomniane wyżej środki nie są bez reszty skuteczne, następnym krokiem było wprowadzenie nowej formy wyznania wiary, które deklaruje między innymi całkowitą akceptację nie-nieomylnych (a zatem omylnych) nauk papieskich, oraz specjalnej przysięgi na wierność Ojcu św. *Acta Apostolicae Sedis* stwierdzają, że *Sanctissimus* (Najświętszy) zatwierdził to zarządzenie. Papież w tym tekście jest nazwany również *Beatissimus* (najbardziej błogosławionym)... Czy ma to jakieś szczególne znaczenie? Czy te tytuły nie sakralizują za bardzo władzy papieża?

5. Powszechnie wiadomo, że urzędy watykańskie nie szczędzą wysiłków, by stwierdzić kto w administracji kościelnej jest „godny zaufania”, a kto nie. Czyj głos jest tu decydujący? I jaką rolę w tym gra akceptacja papieskiej etyki seksualnej?

6. I teraz do tego dochodzi encyklika *Veritatis Splendor*. Będzie ona wywierać nie lada presję na sumienia wszystkich zainteresowanych, pomimo to, że papież i jego specjalny doradca najwidoczniej nie mają właściwego obrazu dzisiejszego stanu teologii moralnej. Padły bardzo ciężkie zarzuty. Ale jaki szanujący się i szanowany w Kościele teolog moralny rozpozna siebie w malowanym przez encyklikę obrazie?

W ten sposób papież w swym mniemaniu wywiązuje się z zadania powierzonego przez Chrystusa Piotrowi i jego następcom: „Utwierdzaj braci swoich” (Łuk. 22,32). Ale te słowa trzeba czytać w ich bezpośrednim kontekście. Piotr właśnie zapewnił Pana i swoich współuczniów: „Choćby wszyscy zwątpili, ja nie zwątpię” (Mk. 14,29). Pan na to ostrzega Piotra przed nadmiernym zaufaniem we własne siły: „Prosiłem za tobą, żeby nie ustała twoja wiara. Ty ze swej strony, nawróciwszy się, utwierdzaj swoich braci”. Widać z tego, na czym polega nawrócenie Piotra. I widać, jak ma utwierdzać swoich braci.

Słabość Piotra jest wynikiem tego, że nie zdołał jeszcze uwierzyć w pokornego cierpiącego Mesjasza. Po nawróceniu głównym zadaniem Piotra i jego towarzyszy jest całym swoim życiem głosić, że Ojciec wzbudził do życia i uwielbił swojego cierpiącego Sługę Jezusa Chrystusa. Nie ma w tekście Ewangelii niczego, co by kazało Piotrowi nauczać swych braci, że istnieje absolutna norma zakazująca w każdym przypadku wszelkiego rodzaju antykoncepcji. Nie kazał też Jezus Piotrowi głosić jakiegoś pełnego zestawu norm i praw obowiązujących wszystkich ludzi, w tym także negatywnych praw obowiązujących we wszystkich okolicznościach. Czyż Piotr nie pomylił się, gdy chodziło o to, czy nawróceni poganie powinni przestrzegać religijnych przepisów żydowskich? Czy Paweł nie musiał stanąć mu do oczu i skierować na właściwą drogę?

Papież wie oczywiście, że ogromna większość ludzi żyjących w małżeństwie nie jest w stanie zastosować się całkowicie do zakazu antykoncepcji, że stawiają opór wywieranej na nich moralnej presji i że nie przekonują ich argumenty, jakimi się ten zakaz uzasadnia. I chyba większość kompetentnych w tej sprawie teologów jest tego samego zdania. Reakcja papieża na ten głos opinii publicznej Kościoła nie jest nowością, ale ta reakcja przybrała obecnie szczególnie natarczywy ton: Kościół (słyszymy) nie jest instytucją demokratyczną, lecz hierarchiczną. Zapytajmy papieża: czy pewny jesteś, Ojcze św., że Twoje zaufanie do siebie jako naj-

wyższego ludzkiego, profesjonalnego i religijnego autorytetu w sprawach teologii moralnej i zwłaszcza etyki seksualnej jest naprawdę usprawiedliwione?

Nie ma na temat antykoncepcji ani jednego słowa na całej przestrzeni Bożego Objawienia. Jest to sprawa należąca do tak zwanego prawa naturalnego, prawa zapisanego głęboko w sercach ludzkich, mężczyzn i kobiet, i tam musimy i możemy znaleźć właściwe rozwiązanie problemu. Skoro prawo naturalne jest „dostępne dla ludzkiego rozumu”, powinniśmy wspólnie rozumować, oglądając problem spokojnie i cierpliwie „z obu stron” (zob. List do Rzymian, 2, 14-16). Hierarchiczna struktura Kościoła żadną miarą nie przekreśla możliwości dialogu w każdej sprawie, w której wchodzi w grę prawo zapisane w naszych sercach i domagające się responsu naszych sumień.

Precz z tą nieufnością w naszym Kościele! Pozbądźmy się postaw, mentalności i struktur, które je szereg. Powinniśmy powiedzieć papieżowi, że te liczne objawy nieufności z jego strony nas ranią, że martwią nas różnorakie struktury nieufności, którym pozwolił wyrosnąć. Potrzeba nam łagodniejszej ręki, potrzebuje tego cały Kościół. Wymaga tego nasze świadectwo wobec świata. Wymaga tego pilna sprawa efektywnego ekumenizmu.

Pozwolę sobie na początek zasugerować jeden uzdrawiający i dodający otuchy krok. Niech Watykan zniszczy wszystkie listy — jedną taką listę miałem w ręku — tych, którzy są uważani za „godnych zaufania” (*affidabili*) i tych, którzy jakoby godni zaufania nie są, tylko w tej jednej sprawie absolutnej niedopuszczalności sztucznej antykoncepcji. Kościół ma poważniejsze troski, ma pilniejsze zadania: głosić ludziom dobrą nowinę i zachęcać ich do wejścia na drogę do świętości.

I może zasłużymy sobie na łaskę Bożego przebaczenia, wybacząc sobie wzajemnie szkody, któreśmy sobie wzajemnie wyrządzili i gniew, jaki w sobie mogliśmy z tego powodu żywić.

O. Bernhard HAERING

Za zgodą Autora i Redakcji *The Tablet* przełożył z angielskiego Antoni Pospieszalski.

Ojciec Bernhard Haering, redemptorysta, b. profesor Uniwersytetu Gregorianum w Rzymie, jest jednym z najwybitniejszych autorytetów w dziedzinie teologii moralnej. Autor wielu książek (ostatnia wydana w 1989 r. *Meine Erfahrung mit der Kirche*) ma obecnie 80 lat i mieszka w klasztorze redemptorystów w Niemczech.

Veritatis splendor

Wcale nie jestem pewny, czy powinienem w sprawie tej encykliki cokolwiek napisać. Czy jeszcze raz mam dać wyraz moim licznym zastrzeżeniom i krytycznemu nastawieniu do całego obecnego pontyfikatu? Za każdym razem jest to bolesna operacja. Ale jest to encyklika, która miała nas olśnić blaskiem prawdy, encyklika na temat fundamentalnego problemu dobra i zła w oczach Kościoła i w oczach świata. Czy można obok takiego problemu przejść obojętnie?

Waga problemu sprawiła chyba, że encyklika spotkała się zrazu ze zdumiewająco przychylnym przyjęciem w prasie światowej. W Polsce nawet *Polityka*, nie mówiąc już o *Gazecie Wyborczej* i *Życiu Warszawy*, dała nacechowane respektem streszczenie, a w londyńskim *Independent* znakomity biolog i złoćciowy ateista Richard Dawkins, który zna się na religii jak ślepy na kolorach, wyraża podziw dla papieża jako dla człowieka, który przynajmniej wie, czego chce. Prasa katolicka pełna jest człołobitnych zachwyków (choć zdaje mi się, że w artykule ks. Bonieckiego w *Tygodniku Powszechnym* przebijają tu i ówdzie nuta pewnego zażenowania tekstem encykliki). Nawet liberalny zwykle *The Tablet* uznał za stosowne poprzedzić swą krytyczną ocenę pontyfikatu Jana Pawła II w 15-tą rocznicę jego wyboru stwierdzeniem, że „jest on wielkim papieżem”, chociaż z „mocną odwrótną stroną swoich zalet”. Ten respekt dla świętej osoby jest charakterystyczny. Amerykański jezuita Richard McCormick winą za wadliwą jego zdaniem teologię encykliki obarcza nie samego papieża lecz jego doradców. Ale, także w *Tablecie*, Peter Hebblethwaite, autor dwóch wielkich biografii Jana XXIII i Pawła VI, stwierdza bez ogródek, że ostatnia encyklika Jana Pawła II ze swą skłonnością do ogólnikowych potępień jest dokładną kopią postaw Kurii Rzymskiej, z którymi walczył Jan XXIII w okresie bezpośrednio poprzedzającym otwarcie II Soboru Watykańskiego w r. 1962. Uderzyła mnie krytyczna uwaga jednego z wysokich przedstawicieli hierarchii, kardynała Hume. Komentując mianowicie centralne w kontekście encykliki pojęcie *intrinsece malum*, tego co jest złe samo w sobie, kardynał uważa, że można by pod to pojęcie podciągnąć czyny tak różne jak ukradzenie pięciu funtów i ludobójstwo; nie należy więc do tego pojęcia przywiązywać nadmiernej wagi.

Kardynał stwierdził z wyraźną ulgą, że wśród wymienionych w encyklice konkretnych grzechów stosowanie sztucznych środków antykoncepcyjnych nie jest wyraźnie zakwalifikowane jako *intrinsece malum* i wyciąga z tego optymistyczny wniosek, że celem encykliki nie jest podkreślenie raz jeszcze wagi tego kontrowersyjnego papieskiego zakazu.

Innego zdania są dwaj wybitni teologowie, Bernhard Haering, który swój respons na encyklikę ogłosił w *Tablecie*, i Jean Valadier piszący na łamach *Le Monde*; z górą 80-letni O. Haering, redemptorysta, jest nestorem katolickich teologów, Jean Valadier jest jezuitą. Obaj sądzą, że dla papieża zakaz antykoncepcji stał się niejako kamieniem probierczym ortodoksji i lojalności teologicznego *establishment* u Kościoła, i że celem encykliki jest stworzenie teoretycznej platformy, z której zakaz antykoncepcji, wraz z całą strukturą katolickiej teologii moralnej, miałby bezapelacyjnie wynikać. Co do szczegółowych przepisów moralnych encyklika odsyła do wydanego niedawno nowego „Katechizmu Kościoła Katolickiego” (który jednak w wielu językach, także angielskim, jest wciąż niedostępny) i dlatego także zakaz antykoncepcji figuruje w niej tylko jako przykład. Jednak wbrew wcześniej wyrażanym obawom (tę encyklikę, przygotowywaną podobno od sześciu lat, poprzedziły liczne przecieki i pogłoski) — encyklika nie kwalifikuje orzeczeń papieskich w sprawie antykoncepcji i w innych sprawach jako nieomylnie i nie grozi nieposłusznym teologom bezpośrednimi sankcjami. W ten sposób uniknięto groźby otwartego rozłamu w Kościele Katolickim. Niemniej rozłam w sferze doktrynalnej faktycznie istnieje i encyklika, jak zobaczymy, raczej go pogłębiła niż załagodziła.

We wstępnym rozdziale papież stwierdza, że powstała w społeczności chrześcijańskiej całkiem nowa sytuacja polegająca na tym, że pojawiło się mnóstwo wątpliwości i sprzeczności wobec nauki moralnej Kościoła. „Nie chodzi już tylko o ograniczone okazyjne sprzeczności, lecz o globalne i systematyczne kwestionowanie całego dziedzictwa doktryny moralnej w oparciu o określone koncepcje antropologiczne i etyczne” (4). I gros encykliki jest poświęcony rozprawieniu się z tymi kontestacyjnymi tendencjami współczesnej myśli teologicznej, głównie katolickiej, które jednak odzwierciedlają, zdaniem papieża, podobne tendencje w myśli świeckiej i ateistycznej. Dwie linie obrony nauki moralnej Kościoła stanowią dla papieża prawo naturalne i Objawienie w postaci kościelnej Tradycji i Pisma św. Obrona ma charakter wysoce abstrakcyj-

nych rozważań na temat wzajemnego stosunku wolności i prawa, sumienia i prawdy, możliwości i konieczności odróżnienia moralnego dobra i moralnego zła. Rzecz sprowadza się do tego, że istnieją jakoby nowoczesne szkoły teologiczne, które usiłują zatrzeć wyraźne rozróżnienie między czynem dobrym i złym. Encyklika identyfikuje je jako „teologizm, konsekwencjalizm i proporcjonalizm” (75). Krótko mówiąc, chodzi papieżowi o to, że cel (grecki *telos*) nie uświęca środków, że ewentualne dobre konsekwencje nie usprawiedliwiają złego czynu i że wyważenie proporcji między mniejszym a większym złem zawsze jest związane z pewnym moralnym ryzykiem. Czyn zły sam w sobie zawsze pozostanie sam w sobie zły, *intrinsicè malum*.

Wszystko to oczywiście prawda, ale niezmiernie trudno się dopatrzeć, jak się te abstrakcyjne rozważania mają do praktycznej sytuacji moralnej Kościoła i świata. Jeśli naszą współczesność istotnie charakteryzuje pewien relatywizm moralny, to jest on chyba w równej mierze wynikiem odwiecznej ludzkiej skłonności do zła jak i całkiem rzetelnych przemyśleń w obliczu nowych wyborów, jakie ta współczesność przed ludźmi stawia. Prawo naturalne (jeśli przyjmiemy tę tradycyjną koncepcję w sensie wrodzonego człowiekowi poczucia moralnego dobra) niekoniecznie i nie we wszystkich sprawach dyktuje dzisiejszemu człowiekowi dokładnie te same nakazy moralne, jakich dosłuchiwali się w nim nasi dziadowie. Dotyczy to na przykład takich zagadnień moralnych jak równouprawnienie kobiet, pewnych zachowań seksualnych, metod regulacji urodzin, praw genetycznie uwarunkowanych, homoseksualistów i kluczowych problemów bioetyki. Także Pismo św. na wiele tych zagadnień moralnych albo nie daje żadnej odpowiedzi albo daje odpowiedzi uwarunkowane realiami i stanem wiedzy epok, w których te księgi powstawały. Wymaga to rzetelnego egzegetycznego i hermeneutycznego wysiłku teologów. Ciekawa rzecz, że nie są poruszane te tematy w encyklice zupełnie. W rzeczy samej, tekst encykliki rzadko schodzi z wysokiej sfery teoretycznych rozważań na twarde gruntu konkretnych etycznych problemów i przykazań. Odniesienia do Dekalogu koncentrują się wyłącznie na przykazaniu piątym („Nie zabijaj”, zwłaszcza niewinnego życia) i szóstym („Nie cudzołóż”). W interpretacji innych cytatów z Pisma św. papież wykazuje dużą tendencję do fundamentalistycznej dosłowności. W interpretacji prawa naturalnego tylko to uznaje za normę, co Kościół w przeszłości za normę uznał. Nie pozostawia to żadnego marginesu na jakieś *aggiorna-*

mento oficjalnej doktryny moralnej w świetle postępów wiedzy, nowych możliwości technicznych, nowego doświadczenia społecznego, a nade wszystko ewolucji wrażliwości moralnej człowieka.

Nie pozostawia to również wiele miejsca na jakąkolwiek rolę indywidualnego ludzkiego sumienia. Papież ma oczywiście rację, gdy przypomina, że sumienie nie stwarza normy moralnej, a tylko przymierza indywidualną wolę osoby ludzkiej do normy istniejącej niezależnie od niej i poza nią. A jednak właśnie sumienie decyduje o tym, co podmiot moralny za tę niezależną normę uważa. Nawet akt wiary i przynależność do społeczności religijnej Kościoła podlega ostatecznie decyzji osobistego sumienia. Nie można być członkiem Kościoła i akceptować jego normy moralne wbrew swojemu sumieniu*. Natomiast papież zdaje się przyznawać sumieniu pewną rolę tylko w odniesieniu do niezmiennych norm aprobowanych przez Kościół.

Niepokojące są również słowa papieża na temat zagrożeń, jakie dla porządku moralnego rzekomo niesie w sobie demokracja. Papież obawia się mianowicie, że po upadku komunizmu może powstać „niebezpieczeństwo sojuszu demokracji z relatywizmem etycznym”, i że następnie „demokracja bez wartości [moralnych] łatwo może się przekształcić w otwarty albo tylko z lekka zawołowany totalizm” (101). Londyński *Tablet* w związku z tym zwraca uwagę, że w myśli papieża najwyraźniej nastąpił pewien odwrót od przychylnego do demokracji nastawienia, jakiemu dał wyraz w encyklice *Centesimus Annus* w roku 1991. W niedawnym przemówieniu w Rydze miał nawet (po raz pierwszy) dobre słowo dla marksizmu (prawda, że tylko tego najwcześniejszego) i ostre słowa potępienia dla zachodniego liberalizmu i kapitalizmu (nie tylko tego najwcześniejszego). Niebezpieczeństwo totalizmu powstaje zdaniem papieża wtedy, gdy zostaje naruszone prawo naturalne wypisane w sercu człowieka. Papież nie mówi, jakiego ustroju pragnąłby dla świeckiego

* Dowiedziałem się niedawno, że jednym z doradców papieża przy pisaniu encykliki miał być profesor KUL ks. Tadeusz Styczeń. Kilka lat temu w *Tygodniku Powszechnym* z 11 listopada 1990 ukazał się artykuł ks. prof. Styczenia domagający się wprowadzenia w Polsce ustawowego zakazu wszelkiej aborcji. Jedno zdanie w tym artykule wprost mnie przeraziło. „Próba poddania prawdy sumieniu — pisał ks. Styczeń — to jego (człowieka) samobójstwo, jego najbardziej radykalna dewiacja”. Napisałem wtedy rozpaczyliwy list do red. Turowicza. Niestety, nie doczekałem się żadnej reakcji.

państwa, ale stwierdza wyraźnie, że żadna godna tego miana „doktryna moralna nie da się ustanowić przez zastosowanie przepisów i procedury deliberacji typowych dla demokracji” (113). Polski czytelnik dosłucha się w tym echa wypowiedzi polskiej hierarchii o niedopuszczalności referendum w sprawie ustawowego zakazu aborcji. Encyklika przypomina, że ustrojem właściwym dla Ludu Bożego jest hierarchiczna struktura Kościoła. Z czego wynikałoby, że najlepszą formą ustrojową w ogóle jest teokracja.

Jak wspomniałem, encyklika nie grozi „dysydenckim” teologom bezpośrednimi sankcjami, stwierdza jednak, że „jest rzeczą biskupów, w łączności ze Stolicą Świętą, przyznawanie związanym z Kościołem szkołom, uniwersytetom, zakładom zdrowotnym i organom doradczym miana „katolickich” i w razie niestosowania się do wymagań tego miana wycofanie go” (116). A więc możliwość stosowania sankcji, wobec całych instytucji podobnie jak wobec jednostek, istnieje. O ile trudno sobie wyobrazić, by ta nader akademicka encyklika wywołała jakiegokolwiek realne następstwa natury intelektualnej czy moralnej, to następstwa natury dyscyplinarnej są całkiem możliwe. A i to w obecnej delikatnej sytuacji mogłoby pociągnąć za sobą zgola nieobliczalne konsekwencje.

Cokolwiek encyklika mówi nam, albo nie mówi, na temat kryzysu moralnego ludzkości, jest ona nade wszystko przejawem kryzysu w łonie Kościoła rzymskokatolickiego; ściśle mówiąc, tylko w łonie jego ultramontańskiego skrzydła (czy centrum), które reprezentuje Watykan Jana Pawła II. Kościół Katolicki w swym ogólnym wymiarze historycznym i geograficznym niezmiernie przerasta chwilowy kształt, w którym prezentuje się on dziś zdumionemu światu. A historyczne i geograficzne chrześcijaństwo w swym wymiarze nadprzyrodzonym niezmiernie przerasta także tę jedną, wielką ale nie jedyną, jego strukturę. Z tego punktu widzenia może nawet dobrze się stało, że encyklika całkowicie pomija eklezjalne implikacje poruszonych w niej kwestii. Pomija również implikacje wynikające z istnienia innych religii i innych kultur. (Nawet w swej europejskości ogranicza się do cytowania św. Tomasza, Juwenala i Stoików). W wielkich sprawach moralnego dobra i zła Kościół Chrystusowy i ludzkość cała mają zgola inne problemy do rozwiązania niż te, którymi się zajmuje encyklika. Teologia chrześcijańska, w tym katolicka, od lat daje do tej problematyki swój cenny wkład. Żle by było, gdyby administracyjne represje miały ten wkład zahamować lub zniweczyć.

Wspomniany wyżej artykuł O. Bernharda Haeringa w *Tablecie* nosi tytuł „Brak zaufania, który rani”. Z tekstu wynika, że rani nie tylko teologów, ale cały Kościół. Autor domaga się, by Watykan natychmiast zlikwidował listy ludzi „godnych zaufania” (*affidabili*) i tych, którzy jakoby godni zaufania nie są. To byłby pierwszy krok na drodze do przywrócenia zdrowej atmosfery w Kościele. W zakończeniu artykułu O. Haering wzywa do wzajemnego wybaczenia sobie urazów i gniewów, jakie w sobie mogliśmy żywić.

Antoni POSPIESZALSKI

Sąsiedzi

Ukraina sam na sam

Nie ziszcili się sny o szlachetnej i hojnej Ameryce. Nie przyhołubiła nas zachodnia Europa, chociaż wielu ziomków w Kijowie i Lwowie myślało, że w Bonn i Paryżu tylko czekają na chwilę ogłoszenia niepodległości, aby ruszyć z pomocą „przedmurzu” starego kontynentu. Zawiodła miłość do Polski, oparta na naiwnej wierze, że podziwiany przez wiele lat za niesłychaną odwagę, tupet i kunszt rozwinięcia opozycyjnej mozaiki, zachodni sąsiad zgnębionego i stłamszonego narodu stanie się jego druhem i jeśli nie sojusznikiem to przynajmniej powiernikiem lub choćby przyjaznym adwokatem ukraińskiej sprawy tam gdzie Polska już zdobyła jakiś status, na przykład w Niemczech albo we Francji, może i w Ameryce. Byłem wówczas czymś w rodzaju stręczyciela między Kijowem a Warszawą, i wcale się tego nie wstydzę, a że z ożenku nic prócz zawiedzionej miłości nie wyszło nie poczuwam się do winy. Po prostu przeceniłem gotowość moich polskich przyjaciół do poświęcenia aktualnych przyziemnych i narodowo-regionalnych zadań w imię stworzenia wizji przyszłości w szerszym niż tylko nadwiślańsko-nadodrzańskim aspekcie. Zaliczam to do porażki naszej wspólnej koncepcji grupy *Kultury* w jej planach ziszczenia drugiego etapu w stosunkach polsko-ukraińskich. Nie nazywam tego — dla mnie osobiście i dla moich ukraińskich przyjaciół aktualnie niefortunnego rozdziału w dziejach naszych krajów i narodów — klęską naszej koncepcji, ponieważ ten pierwszy etap wykoncypowany przez Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego o uznaniu powojennych granic i pogrzebaniu wzajemnych roszczeń terytorialnych jest naszym wspólnym historycznym sukcesem. Na tym fundamencie rozwijają się współczesne związki pomiędzy Warszawą i Kijowem i na

nim będą bazowały przyszłe stosunki polsko-ukraińskie. Układ warszawski z 18 maja 1991 roku regulujący stosunki międzypaństwowe między obydwojma państwami jest niejako ukoronowaniem długoletnich wysiłków redaktora i zespołu *Kultury*.

Obydwu rządów i działaczom politycznym w Warszawie i Kijowie zabrakło w decydującym momencie historycznego instynktu i spojrzenia w przyszłość, by wykorzystać wyjątkową szansę w postaci upadku imperium. Szansę tę przegrała przede wszystkim Warszawa, bo w Polsce były bardzo wyraźne i ukształtowane przesłanki do wystąpienia z inicjatywą stworzenia — broń Boże — nie federacji polsko-ukraińskiej, ale regionalnego systemu współpracy ekonomiczno-politycznej od krajów bałtyckich poprzez Białoruś i Ukrainę do Rumunii i Węgier i ówczesnej Czechosłowacji. Rosja byłaby może z cichym pomrukiem — ale na pewno nie z liczącym się protestem — taki nieformalny ale jakże ważny regionalny system bezpieczeństwa i kooperacji zaakceptowała. Zachód choć z dąsami ale bez jakichkolwiek sankcji byłby również przyjął ów nowotwór do wiadomości. Tym bardziej, że dotychczasowe struktury międzynarodowe w postaci NATO, czy KBWE i Wspólnoty Europejskiej nie były — i wciąż jeszcze nie są — zdadne do wypełnienia powstałego *vacuum* na wschodzie kontynentu. W rok po idealnej dacie do tego rodzaju inicjatywy polskiej z projektem systemu kolektywnego bezpieczeństwa między Rosją a Niemcami wystąpił prezydent Ukrainy, Leonid Krawczuk w nadziei, że go poprą prezydenci czy premierzy Polski i Węgier. Pozostał sam ze swym planem. Rozmaite mądrale nad Wisłą przykryły strach własną odwagą mało przekonywającymi — a gdyby tak było istotnie to kompromitującymi głośno deklamowaną suwerenność — zastrzeżeniami Stanów Zjednoczonych, a potem względami na Rosję. Zresztą w ogólnym podsumowaniu takie czy inne przyczyny zmarnowanej szansy są nieważne, chyba tylko jako ostrzeżenie i przestroga dla następnych pokoleń naszych polityków, bo taka okazja jak w latach 1991-92, już tak rychło nie nastąpi.

Ale mimo że nie mam na to dowodów, uważam, że interwencje amerykańskie, a tym mniej rosyjskie, nie były powodem polskiego braku wyobraźni i inicjatywy. Prawdziwym źródłem było to, że idea stworzenia wokół ich państw centrum przyciągania innych potencjalnie słabszych partnerów okazała się równie obca jak ongiś plany Piłsudskiego i Petlury współczesnym im społeczeństwom. Z tą różnicą, że warun-

ki tym razem były o całe nieba korzystniejsze, właściwie bajecznie wygodne i proste. Po stronie polskiej zadziałały — zdaje się, że podobnie jak dawniej — tendencje nacjonalistycznego egoizmu połączonego z zupełnym niezrozumieniem sensu partnerstwa z Ukrainą. Wówczas były to prądy endeckie, dziś są to popłuczyny postdmowszczyzny zmieszane z postpeerelowskim lekceważeniem wschodniego sąsiada będące rezultatem duchowej sowietyzacji. Nie przeczy temu owczy pęd części inteligencji polskiej na Zachód lecz jest właśnie konsekwencją tych procesów, swego rodzaju odtrutką na zniechęcony Wschód, który był w prymitywnej formie narzucany i jednocześnie zupełnie niezrozumiały. Przecież nie było poważnej krytycznej publicystyki, sięgającej do korzeni pojęć i zjawisk, nie mówiąc o braku naukowych Instytutów Wschodnich. Stąd też pojawienie się nowych państw na wschodnich granicach Polski wywołało nie tylko zdziwienie ale i sceptycyzm, a nawet nieufność, a w ślad za tym tendencje izolacjonistyczne. Jest to rezultat duchowego zubożenia, zapoczątkowanego po pierwszej wojnie światowej, kiedy to problem polsko-ukraiński w polityce narodowościowej i w publicystyce — z małymi wyjątkami — sprymitywowano do kwestii „Małopolski Wschodniej”, a znajomość ukraińskiego, czyli języka najważniejszego sąsiada na wschodzie i ówczesnej najliczniejszej mniejszości w Polsce zredukowano do znikomej grupy naukowców lub niepoważnie traktowanych dziwaków.

Nie chcę wywołać wrażenia, że po stronie ukraińskiej wszystko było cacy-cacy. Wcale nie, a może nawet jeszcze gorzej, jeśli się uwzględni prześladowania tych Ukraińców za Zbruczem, którzy po zmianie polityki narodowościowej Stalina w roku 1934 usiłowali w dalszym ciągu, jak dotąd, poświęcić się sprawom polskim, i systematycznie postępującą likwidację polonistyki na uczelniach Ukrainy. Ale z drugiej strony takie zjawiska jak polska odwilż w październiku w 1956 roku a przede wszystkim ruch Solidarności wywołały masowy pęd do uczenia się polskiego, aby móc słuchać audycji radiowych lub czytać sporadycznie docierające zza Buga wydawnictwa polskie. No a w Galicji i na Wołyniu było — i w ułamku istnieje jeszcze — sporo starszych ludzi, którzy nauczyli się przymusowo polskiego ponieważ przed wojną był to język urzędowy. Ale to wszystko jest tylko kroplą w morzu powszechnej i wzajemnej niewiedzy. Konkludując należy stwierdzić, że i Polska i Ukraina — pierwsza bardziej niż druga — zaprzepaściły wyjątkową szansę na ścisłe part-

nerstwo. Dziś kiedy Rosja okrzepla i będzie przy cichym poparciu Zachodu bacznie uważać, by nie dopuścić do zbliżenia na linii Warszawa-Kijów, można tylko studentom polecać prace na temat utraconych możliwości. A urządzenie bezpośrednich linii telefonicznych między Belwederem i rezydencją prezydenta Ukrainy w ramach prezydenckiej Rady Konsultacyjnej, jest na tle klapy politycznej w naszych stosunkach, niczym innym jak dokumentem nicości tej instytucji.

Oko w oko z Rosją

Machnąwszy ręką na Ukrainę Polska nie przysporzyła sobie przyjaźni czy prestiżu w Rosji. Za popełnione błędy można liczyć tylko na ironiczne uśmieszki, nawet nie na solidną nagrodę. Tak się już zresztą stało jeśli chodzi o polskie natowskie zachcianki. Wątpię też czy wyszehradzkie porozumienie stanie się kiedykolwiek skutecznym sojuszem. Zarówno Czesi jak i Węgrzy traktują tę umowę z coraz większym dystansem. Można to zauważyć przy każdej okazji w spotkaniach z premierem czeskim Klausem lub z ministrem spraw zagranicznych Budapesztu, Gezą Jeszenszkym. Muszę jednak stwierdzić, że ukraińskie nadzieje pokładane w Węgrach również skończyły się fiaskiem z tym wyjątkiem, że współpraca na linii Kijów-Budapeszt jest żywsza niż na osi Kijów-Warszawa. Lepiej też wyglądają stosunki Ukrainy ze Słowacją niż z Czechami.

Ale wszystko to mało znaczy. Ukraina jest zdana sama na siebie i musi ze wspomnianych porażek dyplomatycznych wyciągnąć wnioski. W praktyce sprowadza się to do stosunków z Rosją. Wielkie plany niektórych kręgów opozycji dotyczące Bloku Bałtycko-Czarnomorskiego są bez sensu. Ani państwa bałtyckie, ani Białoruś o tym nie myślą. Zaś alternatywne koncepcje naddunajsko-czarnomorskiej współpracy z Mołdawią, Rumunią, Bułgarią, Gruzją, Azerbejdżanem i Turcją — rozbiły się częściowo z winy Kijowa, który dał się wyprzedzić Moskwie, wbrew życzeniu Kiszyniowa i Tyflisu, ale również z powodu opieszałości dyplomacji tureckiej wciąż jeszcze nie gotowej do podjęcia nowych koncepcji.

Cóż więc będzie obecnie w obliczu powstawania innej Rosji? Uda się jakoś ułożyć stosunki w przyzwoity sposób wbrew temu co zaszło na początku września w Jałcie? Czy pycha i zarozumiałość nowego cara Borysa Jelcyna stanie się jeszcze bardziej ewidentnym czynnikiem ukraińskiej polityki

Moskwy? Większość polityków ukraińskich postawiła na niego ale nie z sympatii, lecz jak to się mówi z braku laku. Tylko komuniści zarzucili mu pogwałcenie konstytucji. Wielu demokratów w Kijowie, którzy zapowiadali długą wojnę domową albo przewlekłą „smutę”, woli raczej o tych wypowiedniach nie wspominać. Konserwatyści żądają wzmocnienia bezpieczeństwa, umocnienia granic. Nacjonaliści wymagają wystąpienia ze Wspólnoty Niepodległych Państw i utrzymania potencjału broni nuklearnych. Zwracają uwagę na uroczystość odsłonięcia przez Borysa Jelcyna pomnika Jarosława Mądrego z Rusi Kijowskiej w rosyjskim Jarosławiu, w atmosferze nawrotu do historiografii Rosji carskiej czyli tezy o kontynuacji Rusi Kijowskiej w postaci państwa moskiewskiego. Owe uroczystości w połączeniu ze skreśleniem fundamentalnych postanowień w projekcie nowej konstytucji rosyjskiej w dziedzinie federalizmu zrodziły nowe odruchy zagrożenia z północy, a ogłoszenie nowej rosyjskiej doktryny wojskowej wywołało dodatkowe obawy. Wreszcie Andriej Kozyriew, rosyjski minister spraw zagranicznych, przyczynił się też do przypiływu fali nieufności wobec zwycięzców w Moskwie. Praktykując swój stary styl podważania tajnych rokowań denuncjowaniem w przeddzień rozmów swego kontrahenta, tym razem w Odessie w kwestii rakiet Kozyriew nie zdołał zatrzeć negatywnego wrażenia, chociaż się zmytował i zmienił taktykę.

Ale są też optymiści, którzy widzą w zwycięstwie Jelcyna pozytywną zmianę, rzutującą na przyszłość wzajemnych stosunków. Pierwszym, który się tak odezwał, był Ihor Juchnowski, były wicepremier i wybitny naukowiec ze Lwowa, w 1991 roku jeden z kandydatów na urząd prezydenta. Juchnowski przypomina, że już 24 sierpnia 1991 roku w debacie o sytuacji po nieudanym puczu moskiewskim oświadczył w parlamencie Ukrainy, że „powstaje nowa Rosja a będzie nią Rosja Jelcyna”. Ta Rosja wstąpiła na szlak narodowego samookreślenia, co nie oznacza izolacji, bo dziś żadne państwo nie może się odgrodzić od innych. Ale wszelki imperiaлизм niweluje narodowe kultury i zuboża nie tylko jego ofiary ale i panujące nacje. Jelcyn to rozumie, a jego zwycięstwo oznacza również kres ideologii marksizmu-leninizmu jako ideologii lumpów, żyjących cudzym kosztem. Jest to również zwycięstwo gospodarki rynku, a to leży w interesie Ukrainy. Takie, na ogół niepopularne, credo na rzecz Jelcyna wydaje mi się częściowo podyktowane sympatiami do autorytaryzmu prezydenta Rosji. Ihor Juchnowski kreuje bowiem

model „demokracji sterowanej” dla Ukrainy. Trochę inaczej i ciekawiej argumentuje inny „optymista”, poseł do parlamentu, członek Akademii Nauk, Borys Mokin. Sukces Jelcyna to nie tylko definitywna porażka sowieckiego systemu ale też ostateczne utwierdzenie niepodległości Ukrainy, bo zwycięzca w próbie sił moskiewskich jest przecież sygnatariuszem umowy białowieskiej o likwidacji ZSSR i jest rzeczą nieprawdopodobną, aby się z tego miał wycofać. Jeszcze ważniejszym elementem jest jednak likwidacja rosyjskich formacji komunistycznej orientacji. Dzięki temu pokrewne ukraińskie ugrupowania tracą sojuszników w Moskwie a tym samym grunt pod nogami we własnym kraju, gdyż część ich zwolenników świadoma tego, że ci panowie nie znajdą partnerów w Rosji, prawdopodobnie przestanie ich popierać.

No dobrze, miną wybory w Rosji a po nich zacznie się natarcie nowych władz na Kremlu w kierunku integracji „bliższej zagranicy” z moskiewskim centrum — prorokuje pismo *Republika* i zapytuje jakie wnioski wyciągnie rząd Ukrainy z dramatycznych przemian u potężnego sąsiada północnego, przypominając, że nieudany pucz moskiewski w sierpniu 1991 przyniósł niepodległość państwa ukraińskiego. Cóż przyniesie druga nieudana rewolta w Moskwie obecnie Ukrainie — zapytują za *Republiką* obserwatorzy w Kijowie i nie znajdują przekonywającej odpowiedzi.

Własną drogą, ale jak?

Osamotniona na zewnątrz i skonfrontowana z nową Rosją oficjalna Ukraina jakby przykucnęła nad miedzą i tkwi jak ogromna, przestraszona kuropatwa w bezruchu, drepcząc od czasu do czasu w miejscu. Niektórzy kompatrioci chwają sobie spokój i ciszę na ukraińskim chutorze jako kontrast do krwawych wydarzeń w Moskwie, mrugając znacząco, że kiedy Moskale z tanków walą w swój parlament, Ukraińcy załatwiają konflikty fortem i intrygą. Nie można im zaprzeczyć, sęk jednak w tym, że nie wiadomo do czego to doprowadzi. Na skutek takiego powszechnego kumoterstwa zacierają się wszelkie granice pomiędzy wczorajszą i dzisiejszą nomenklaturą, rządem i opozycją, mafią i policją, anarchią i odpowiedzialnością. Wszystkie przepisy dotyczące zwalczania korupcji, płacenia zysków walutowych z eksportu do kasy państwa, zmuszania urzędników do wykonywania służbowych czynności bez łapówek pozostają martwą literą. Dzisiejsza Ukraina

— to wczorajsza Rosja z czasów Gorbaczowa: ustawiczna walka na górze w formie przepychanki i potworny bałagan na dole. Za czasów komunistycznych urzędnicy bali się wyrzucenia z partii i interwencji u przełożonych, zwłaszcza sekretarzy partyjnych. Dzisiaj nikt się nikogo nie boi a miarą jakichkolwiek akcji jest wysokość łapówki.

Nic dziwnego, że upadł gabinet premiera Kuczmy. Legendarny szef największej wytwórni rakiet na świecie, który działał w systemie zwartej dyscypliny przemysłu zbrojeniowego, okazał się w świecie mafii i korupcji niezdatnym dzieckiem. Utonął w lawinie papierków, zaplątał się w labiryncie intryg rozmaitych lobby i na koniec został pogrzebany przez swych konkurentów — prezydenta Krawczuka i przewodniczącego parlamentu — Pluszcza. Żegnając się już po dymisji z prasą 22 września oświadczył z gorczyczą, że przyjmując stanowisko szefa rządu, nie wiedział, że czyni fatalny krok w swym życiu. Ale Kuczma nie wycofuje się zupełnie z polityki. Jako fachowiec z dziedziny kosmicznych pojazdów powiada: „jeszcze mnie nie wyrzucono z orbity i nie zbieram się też do roli meteorytu, co się spala”. Jego popularność wśród społeczeństwa pozostaje w kontraście do słabych wyników w rządzeniu. Ale wśród ludu krąży wersja o tym, że „Kuczma — to nasz chłop. Chciał się rozprawić ze złodziejami, ale mafia rządzi krajem i go powaliła”. Zgorzkniały szykuje się do odwetu i wystartuje chyba w przyszłym roku w wyborach prezydenckich.

Władzę nad gabinetem przejął prezydent Krawczuk tworząc coś w rodzaju superrządu ponad Radą Ministrów i wciągając do tej instytucji kilka reprezentacyjnych figur, w tym również szefa parlamentu Pluszcza, jakby się ubezpieczając na dzielenie odpowiedzialności za nowe klęski gospodarcze. Prezydent rządzi przy pomocy dwóch wicepremierów z lobby „czerwonych dyrektorów” Zagłębia Donieckiego, Juchyma Zviahilskiego, byłego dyrektora jednej z największych kopalń węgla, a potem burmistrza metropolii zagłębia, miasta Donieck i Walentyna Łandyka, przewodniczącego populistycznej Partii Pracy, również stamtąd. Taka struktura nowej władzy jest z wielu względów znamienita. Ograniczmy się do dwóch: przesunięcia punktu ciężkości z zachodu na wschód, które zostało poprzedzone dymisją przedstawicieli zachodnich regionów w gabinecie: Juchnowskiego, Herca i Pynzenyka z Galicji, Zakarpacia i Wołynia. Jest to niezwykle doniosła decyzja, gdyż przenosi dotychczasowe priorytety i orientację, ustawia politykę kijowskiego centrum władzy na odmiennym

poziomie. Jest to jednocześnie manewr, odzwierciedlający troskę Krawczuka o sytuację w przeważnie rosyjskojęzycznych okręgach ciężkiego przemysłu. Ale krok ten ma jeszcze inną wymowę. Kuczma opierał się na lobby przemysłowego okręgu Dniepropietrowska i Krzywego Rogu. Polakom okolice te znane z „Ogniem i Mieczem” Sienkiewicza jako barwne stopy, dziś są to najbardziej zadymione regiony Europy, podobnie jak Górny Śląsk, gdzie skoncentrowane są koncerny chemiczne, budowy maszyn i przemysłu kosmicznego, zakładów zbrojeniowych. Przełożone na język polityczny takie przesunięcie oznacza zwrot w kierunku konserwatywnym — a zatem uderzenie w obóz reformatorski. Wciąż jeszcze prezydent Krawczuk nie zaprezentował narodowi solidnej koncepcji wychodzenia z katastrofy gospodarczej. Jego oświadczenia są mgliste i niekonsekwentne, a w otoczeniu prezydenta nie ma ekonomistów z prawdziwego zdarzenia. Krawczuk występuje ostatnio z niejasnym programem „własnej drogi” do reform pomiędzy gospodarką planową i rynkową. Wydaje mi się, że jest to kolejny unik głowy państwa, gra na zwłokę, w myśl zasady byle do wiosny, byle do wyborów. Ale tak jak sprawy stoją, można przypuszczać, że ani wybory do parlamentu w dniu 27 marca, ani głosowanie na nowego prezydenta w dniu 26 czerwca 1994 roku nie zmienią radykalnie dotychczasowych układów politycznych.

Bohdan OSADCZUK

Notatki rosyjskie

Czas skacze galopem. Miesiąc temu głównym tematem był pucz, obecnie — przygotowanie do wyborów parlamentarnych i projekt nowej konstytucji. Nie będziemy się śpieszyć. Zatrzymajmy się na chwilę na pucz. O nim jeszcze mówi się w Rosji, no ale tak, jakby zgadzając się, że było, przeszło, a prawdy o tym, co zaszło, i tak nigdy się nie dowiemy. Jest w tych odczuciach zmęczenie historią, wydarzeniami, chęć przeprowadzenia grubej, czarnej kreski nad dniem wczorajszym. Jak wiadomo, takie nastroje są nie tylko w Rosji. Zawsze uważałem, że decyzja zamknięcia przeszłości to ciężki błąd polityczny. W

tych dniach odkryłem, że tak myślą również w Niemczech. W rocznicę „kryształowej nocy” niemieccy polityczni działacze odrzucili „czarną kreskę” i wzywają, by nie zapominać o przeszłości nazistowskiej. W Rosji, jak i w innych krajach, idzie o przeszłość komunistyczną. Chcą o niej zapomnieć. Chęć zapomnienia o puczu — wczorajszym — to jeden z przejawów idei, że komunizmu więcej nie ma i nie warto o nim mówić. Historia puczu zademonstrowała osobną formę „zapomnienia”. To, co zaszło — na powierzchni — to wszyscy wiedzą. Ale też wszyscy wiedzą, że są także ukryte tajemnice sekretu. Rosyjskie *mass-media* próbują je wyjaśnić. Jak wiadomo najlepszym wyjaśnieniem wszystkich tajemnic jest spisek. Dlatego szuka się spiskowców. Wszyscy są zgodni, że spisek był. Ale jedni mówią, że spiskowcami są Ruckoj i Chasbułatow, a drudzy, że spiskowcem jest Jelcyn.

Amerykane używają określenia: „Dziwni partnerzy w łóżku” (*strange bedfellow*). W łóżku przeciwników Jelcyna rzeczywiście znaleźli się dziwni partnerzy. Położyli się razem komuniści, naziści, monarchiści i (niektórzy) demokraci. Pewne zdziwienie w Paryżu wywołał ogłoszony w *Libération* (6.9.93) list Andrzeja Siniawskiego, Władimira Maksimowa i Piotra Jegidies. Dwóch pierwszych autorów nie ma potrzeby przedstawiać a trzeci, Jegidies — dysydemt, marksista — to zaskakujące: dwóch odwiecznych przeciwników Siniawski i Maksimow podpisują wspólnie z nim list. Jak wyjaśnia *Libération*, to właśnie Jegidies zebrał ich przy jednym (okrągłym?) stole. Autorzy listu żądają dymisji Jelcyna i izolowania go w klasztorze. Klasztor, żeby się pokajał. Myśl wysłania Borysa Jelcyna do klasztoru jest sama w sobie niezła (na pewno ma się z czego spowiadać). Przypomniałem sobie, że w moskiewskiej Rusi był taki zwyczaj, że pretendentów do tronu zmuszano do wstąpienia do klasztoru. Czyżby dwaj wybitni pisarze, wykorzystując literackie podobieństwo, chcieli, tak jak księżę duński Ofelię, zmusić prezydenta Rosji do modlitwy?

To bardzo dobrze. A cały list jest pełny najszlachetniejszych uczuć, broni demokracji przed tyranem. Wydało mi się jednak dziwne, że w dzienniku *Prawda*, zaraz pod tytułem, gdzie — po dawnemu — figurują dwa ordery Lenina i jeden Rewolucji Październikowej, ukazały się listy Piotra Jegidies i wspólny list „Emigrantów z Rosji”, mieszkających w Paryżu, podpisany przez Władimira Maksimowa oraz Jegidies (niezależnie od jego osobistego listu) i jeszcze dziesięciu innych emigrantów. Wydaje się więc, że demokraci najpierw poskarżyli się na antydemokratę Jelcyna właśnie w *Prawdzie*, a dopiero później w *Libération*.

13-go października Andrzej Siniawski ogłosił osobne pismo

w *Niezawisimój Gazietie* — „To wszystko już było, dlaczego ja obecnie jestem przeciwko Jelcynowi”. Okazuje się, że pisarz jest przeciwko Jelcynowi a za Gorbaczowem.

W *Moskowskich Nowostiach* (nr 42 z 17.10.br.) znalazłem najbardziej jaskrawe przedstawienie spisku przeciwko Białemu Domowi. Tygodnik zwrócił się o wyjaśnienia do „specjalisty od puczów” — anonimowego KGB-isty, organizatora przewrotów w Ameryce Południowej, Afryce, itd. który wszystko dokładnie wyjaśnił. Kto co robił, i czego nie robił. Jedyny kłopot, że nie mógł powiedzieć, czy pucz się udał, czy nie. Autorzy artykułu (Natalia Gieworkian i Aleksander Żylin) wyciągają wniosek: „Wydarzenia były tak zaplanowane, aby zmusić mieszkańców „Białego Domu” do pierwszego gwałtownego kroku. I wpadli w pułapkę. Pytanie polega na tym, kto opracował model sytuacji. Jelcyn? A może pułapka była przeznaczona jednocześnie i dla Chasbułatowa z Ruckojem i dla Jelcyna?” Jak się okazało „istniały rzeczywiście dostatecznie wpływowe siły, którym bezradność Jelcyna mogła pomóc w opanowaniu sytuacji”. Co to za tajemnicze siły? „Wybór był niewielki — odpowiadają dziennikarze — taką władzą mógłby być albo rząd, albo Rada Federacji”. Odpowiedź bezsensowna. Zarówno rząd jak i Rada Federacji, rozdzierane personalnymi interesami, nie reprezentowały siły, mogącej wziąć władzę w ręce. Pozostaje tylko — ponieważ był zwycięzcą — prezydent.

Dziennik *Izwestia* (13.10.br.) zamieścił artykuł Otto Łacisa, swego czasu znanego partyjnego ekonomisty, który stał się potem znanym demokratą. Zatytułował on swój artykuł bardzo pięknie: „Smok ma niejedną głowę — o naturze spisku rozdzierającego Rosję”. Dla niego nie ma wątpliwości, że spisek był przygotowany od dawna, spisek „aktywnej mniejszości” byłych komunistów. Łacis cytuje opowiadanie finlandzkiej dziennikarki, która przedostała się do Białego Domu w końcu września. Gdy zobaczyła komunistę Ziuganowa razem z faszystą Barkaszowem, zapytała go: „Jesteście komunistami, jak wam nie wstyd iść razem z faszystami”. Odpowiedziano jej: „My mamy wspólny cel”. Otto Łacis przedstawia schemat spisku, który miał na celu „powrót do przeszłości”.

Wszyscy demokraci byli oburzeni decyzją rządu po puczu, zamknięcia 15 gazet i niektórych partii biorących udział w puczu. Obecnie wszystkie partie — (szło przede wszystkim o komunistów) i większość pism — (szło przede wszystkim o *Prawdę*) są dozwolone. Zamknięcie pism, to brzmi nieprzyjemnie. Czytałem wszystkie gazety od *Prawdy* i *Dnia* do nazistowskich ulotek, które nawet Goebbelsowi wydawałyby się zbyt radykalne. Są wśród nich i takie, na które żaden demokratyczny rząd by nie pozwolił.

Wszyscy wiedzą, przynajmniej teoretycznie, że demokracja to władza narodu. Naród może się podobać albo nie podobać, ale jeśli przyjąć założenia demokracji trzeba się liczyć z jego opinią. 2-go listopada 1993 *Niezawisimaja Gazieta* opublikowała wyniki kolejnego sondażu. Na jego podstawie gazeta opracowała spis stu politycznych działaczy rosyjskich i określiła stopień ich popularności w skali od 1 do 10. Pierwsze miejsce zajmuje Borys Jelcyn — 8,8 (we wrześniu 9,02). Na drugim miejscu premier Czernomyrdin — 8,28 (7,98), potem idzie burmistrz Moskwy, Jurij Łużkow — 7,48 (6,37), pierwszy wicepremier, Jegor Gajdar — 7,06 (6,24), minister obrony, Paweł Gracow — 6,96 (5,67), wicepremier, Siergiej Szachraj — 6,94 (6,59). Siódme i ósme miejsce zajmują wicepremier Władimir Szumiejko i minister spraw wewnętrznych, Jerin. Na dziewiątym miejscu jest szef administracji prezydenta, Siergiej Filatow, na dziesiątym patriarcha, Aleksiej — 6,52 (3,74). Na dwudziestym drugim miejscu jest Aleksander Ruckoj, a na dwudziestym trzecim, Rusłan Chasbulatow. Sześćdziesiąte drugie miejsce zajmuje komunistyczny lider, Giennadij Ziuganow. Na siedemdziesiątym szóstym — siedemdziesiątym siódmym znajdują się Aleksander Sołżenicyn i ojciec Gleb Jakunin, na siedemdziesiątym dziewiątym — Michaił Gorbaczow, itd.

Od razu rzuca się w oczy, że pierwsza dziesiątka (dziesiątka jeśli wyłączyć patriarchę) to ludzie prezydenta. Zwraca uwagę drugie miejsce premiera, który w czasie puczu okazał się człowiekiem odpowiedzialnym, poważnym, unikającym skrajności. Jak również trzecie miejsce burmistrza Moskwy. Moskwickanie (wśród nich przeprowadzono sondaż) polubili go za to, że korzystając z wydarzeń, wysiedlił ze stolicy Rosji, bez żadnej dyskusji, dużą ilość (podaje się że 10 tysięcy ludzi) „kaukazczyków”, których powszechnie nazywa się czeczeńcami, a są to mafiosi. Do dziesiątki weszli dwaj „silni” ministrowie: spraw wojskowych i wewnętrznych. Trzeci „silny” minister bezpieczeństwa, Goszuszko, zajmuje dziesiąte miejsce prawdopodobnie dlatego, że został niedawno mianowany; co prawda Ukraińcy — był do niedawna jednym z przywódców KGB — powinni go pamiętać.

Biorąc pod uwagę te nastroje mieszkańców stolicy, można w przybliżeniu zorientować się w nastrojach ludności Rosji w przeddzień wyborów parlamentarnych. Sondaże przeprowadzone w kraju w różnych sprawach pozwalają stwierdzić, że do 40% ludności krytykuje politykę rządu, co w obecnych warunkach raczej nie jest dużo. Sondaże przeprowadzone zaraz po puczu stwierdzały, że 7% pochwała działalność buntowników. To niewątpliwie dużo i niebezpieczne dla państwa.

Sondaże ludności nie są jednak dokładną fotografią. Taką fo-

tografią będą wybory. 6-go listopada zakończyło się zbieranie podpisów przez partie, które wystawiły swych kandydatów. Konieczne było zebranie 100 tysięcy podpisów, przy czym nie więcej niż 15% mogło być zebranych w jednym rejonie; gdyż wymaga się, by partia miała zwolenników i w innych dzielnicach kraju.

Do wyborów zgłosiło się 21 partii (albo bloków). Osiem z nich nie potrafiło zebrać odpowiedniej liczby głosów, albo dopuściło się falsyfikacji i ich spisy nie zostały zakwalifikowane. Wśród nich Rosyjski Ogólnonarodowy Sojusz — narodowi komuniści — którego przywódcą był popularny poseł Rady Najwyższej Siergiej Baburin, oraz skrajnie nacjonalistyczna Narodowo-Republikańska Partia, której leaderem był Nikołaj Łysenko, itd.

Pozostało partii trzynaście. Jak przypuszczają obserwatorzy najwięcej szans ma blok „Wybór Rosji”, którego przywódcą jest Jegor Gajdar oraz „Demokratyczna Rosja”. Oblicza się, że ten blok zbierze 25-27% głosów. Obok „Wyboru Rosji” znajduje się „Partia Rosyjskiej Jedności i Porozumienia”, której leaderem jest wicepremier Siergiej Szachraj. W obozie partii prorządowych ruch, któremu przewodzą ekonomista Jawliński i b. ambasador w Stanach Zjednoczonych Łukin, organizowany przez burmistrza Petersburga A. Sobczaka i b. burmistrza Popowa.

Zbieranie więcej niż 100 tys. podpisów nie miało sensu, ale partia Agrarna Rosji Michaiła Łapszina zebrała pół miliona podpisów. Partia ta występuje w obronie kolchozów i sowchozów i jest przeciwna prywatyzacji ziemi. W obozie antyprzezydenckim jest „Komunistyczna Partia Rosji”. Najwięcej kandydatów wysuwa blok „Sojusz Obywatelski” w imię stabilizacji, sprawiedliwości i postępu — jego przywódcą jest Arkadij Wolskij. Wśród kandydatów jest kwiat sowieckiej nomenklatury. Zwolennicy niezarejestrowanych bloków łatwo znajdą miejsce w partiach, które reprezentują nieprzejednane i antyreformatorskie poglądy. Poprzednio wymieniałem Partię „Narodowo-Republikańską” Rosji. W niczym jej nie ustępuje „Partia Konstytucyjno-Demokratyczna”, wśród jej kandydatów są Igor Szafarewicz, autor książki „Rusofobia”, dziennikarz telewizyjny Aleksander Niewzorow i pisarze Jurij Bondarew i Piotr Proskurin.

Pozostało jeszcze sporo partii i bloków, ale ich programy są bardzo ogólnikowe. Najłatwiej jest przeciwnikom prezydenta. Ci mówią prosto i wyraźnie: Trzeba powrócić do przeszłości — jedni kładą nacisk na scentralizowaną gospodarkę, inni — na odtworzenie ZSSR, a sprawę wrogów stawiają jasno: Amerykanie, czeczeńcy i Żydzi (kolejność może się zmieniać).

Bardziej skomplikowaną sprawą są programy zwolenników demokracji i reform, zwłaszcza, że nie mogą obiecywać poprawy

warunków życiowych w najbliższej przyszłości. Dlatego też demokratyczno-reformistyczne partie również poszukują oparcia w nastrojach nacjonalistycznych. I to jest ich słabością, gdyż ich przeciwnicy dawno te nastroje wykorzystali i doprowadzają je do najbardziej skrajnych poglądów, a nawet je przekraczając. Dlatego też dziwne wrażenie wywołała decyzja „Wyboru Rosji” wzięcia jako symbolu pomnika Piotra I z Petersburga. Co ma symbolizować pierwszy rosyjski imperator, który w określeniu Puszkina „żelazną ręką” poderwał Rosję do skoku — nie wiadomo. Nie mówiąc o tym, że Piotr zlikwidował Dumę (nazywała się wówczas Bojarską) i zamienił ją na senat.

Wybory przeprowadza się pospiesznie, nerwowo, nie są przygotowane. No, ale jest podstawa do przypuszczeń, że dalsza zwłoka, dalsze trwanie anarchii jeszcze bardziej pogorszyłoby położenie państwa. Wrażenie pośpiechu jest jeszcze podkreślone, tym, że jednocześnie obywatele Rosji wyrażą swój pogląd o nowej konstytucji, która przed chwilą została opracowana. Tymczasem wiadomo tylko, że konstytucja daje szerokie uprawnienia prezydentowi. Jego przeciwnicy już teraz obwiniają Jelcyna o dyktatorskie zamiary i chęć ustanowienia autorytarnego ustroju.

Borys Jelcyn nie nadaje się na dyktatora — to nie ten charakter. Niewątpliwie jest obawa, że szerokie pełnomocnictwa, które daje konstytucja prezydentowi, wpadną w ręce innego człowieka. Ale tymczasem do tego daleko. Borys Jelcyn, jak dotąd, zrezygnował z obietnicy ogłoszenia wyborów prezydenckich w czerwcu 1994 r., oświadczając, że chce pozostać na swym stanowisku do końca mandatu, tj. do czerwca 1996.

Chęć pozostania w fotelu prezydenckim do końca mandatu nie wywołuje specjalnych zastrzeżeń. Zastrzeżeniem jest tylko sam fakt naruszenia prezydenckiego słowa. Jelcyn złożył swoje oświadczenie w chwili kiedy liczył na załatwienie konfliktu z Radą Najwyższą na drodze pokojowej. Teraz, kiedy to się nie udało, cofnął swoją zapowiedź. To wywołało bardzo złe wrażenie w Rosji i możliwe, że odbije się na wyborach. Sprzeczne analizy wydarzeń w Rosji czy spory o stanowiska różnych odłamów według mnie wynikają z mylnego przedstawiania sytuacji. W Rosji idzie walka nie o tworzenie demokracji, ale tworzenie państwa. Możliwe, że będzie ono demokratyczne. W każdym razie, w pierwszym rządzie, musi powstać państwo.

Adam KRUCZEK

Kronika kulturalna

Pisarz emigracyjny?

W październiku br. w Państwowym Instytucie Języków i Cywilizacji Wschodnich (Institut National des Langues et Civilisations Orientales — INALCO) w Paryżu odbyła się międzynarodowa sesja naukowa poświęcona „Literaturze i emigracji krajów Europy Środką (1945-1993)” zorganizowana pod auspicjami Ministerstwa Edukacji Narodowej i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jak z samego sformułowania tytułu wynika, organizatorom sesji chodziło nie tylko o historiograficzny opis poszczególnych literatur emigracji, ile o zdefiniowanie roli emigracji w kształtowaniu się osobowości pisarskiej, poglądów, postaw i inspiracji twórczych.

W ożywionych dyskusjach powracało pytanie o wspólny paradygmat pisarza emigranta, na które, jak się okazało, nie da się odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. W ciągu trzydniowych obrad, w których wzięli udział wybitni specjaliści zarówno francuscy jak i zagraniczni uwydatniły się nie tylko cechy wspólne, które siłą rzeczy łączą pisarzy skazanych na wygnanie, ale również różnice związane z odmiennymi tradycjami historycznymi i kulturowymi. Liczne konfrontacje postaw pisarskich ujawniły niezwykle złożoność samego pojęcia emigracji, które wywołuje odmienne konotacje w zależności od kontekstu społeczno-ideologicznego, momentu historycznego czy też danej tradycji narodowej. Przywołano cały zespół nazw-wariantów takich jak „wygnanie”, „emigracja wewnętrzna”, „wychodźstwo”, „petchalba”, z których każde wskazuje na pewien specyficzny aspekt emigracji będący odpowiednikiem konkretnej rzeczywistości kulturowej. W pięknym eseju „Dziedzictwo i emigracja” poświęconym pisarzom emigracyjnym *ex-Jugosławii* prof. Predrag Matviejewicz z Uniwersytetu w Zagrzebiu, autor niedawno nagrodzonej książki *Brewiarz śródziemnomorski*, podkreślił rolę literatury

emigracyjnej w przewycięzaniu partykularyzmów narodowych: o ile dążenie do tożsamości kulturowej jest, zdaniem referenta, wyrazem samoobrony przed wykorzenieniem, które grozi całej kulturze europejskiej, tożsamość kulturowa nie może być równoznaczna ze świadomością „jedyności”: (*Idem nec unum*), której przeciwstawić należy pluralizm kulturowy.

Jednym z głównych tematów sesji była sprawa zaangażowania politycznego pisarzy emigracyjnych. W licznych i wnikliwych analizach uwydatniły się odmienne postawy i strategie, wprowadzone zostały nowe odcienie do utartych schematów pojęciowych dotyczących modelu emigranta-dysydenta, który, w poszczególnych krajach, nadal wywołuje kontrowersje. Doskonale to uchwyciła prof. Catherine Durandin (INALCO) w referacie poświęconym rumuńskiej elicie intelektualnej („Krytyka, autokrytyka i legalizacja po przełomie 1989”). Zgodnie z opinią referentki rehabilitacja inteligencji emigracyjnej w kraju bynajmniej nie jest jednoznaczna, ponieważ natrafia na opór ze strony emigracji wewnętrznej to znaczy „tych, co wytrwali”.

Trudny problem „powrotu” literatury emigracyjnej do kraju został przedstawiony przez dr. Władysława Peškę (INALCO) na przykładzie literatury czeskiej. Wiąże się on bezpośrednio z uwikłaniem pisarza emigracyjnego w skomplikowaną dialektykę zdrady i bohaterstwa, która wyłoniła się także w studium Hany Jechowej (Paryż IV) pt. „Niemożliwy wybór wygnania”. Analizując różne fazy rozdarcia kulturowego w twórczości Hrabala, Vaculika, Kundery autorka położyła nacisk na stronę negatywną wygnania, powodującą zubożenie wewnętrzne, zanik odpowiedzialności moralnej i przynależności duchowej emigranta do konkretnej kultury.

Ale i tu wnioski nie są jednoznaczne. Emigracja może doprowadzić zarówno do autodestrukcji osobowości, jak i wprost przeciwnie wpłynąć na jej pogłębienie. Inaczej mówiąc doświadczenie emigracyjne „samo w sobie” nie ma jeszcze znaczenia ani negatywnego, ani pozytywnego. Jego wartość zależy od tego w jaki sposób się je wykorzysta. Pod tym kątem rozpatrywana była także i polska literatura poświęcona świadectwom literackim z czasów wojny i stalinizmu. Jej wymiar etyczny został podkreślony w nawiązaniu do tradycji romantycznej np. w twórczości Włodzimierza Odojewskiego. Nowe światło na romantyczne reminiscencje u autora *Zasypie wszystko, zawieje* rzuciła dr Grażyna Królikiewicz (Uniwersytet Jagielloński) zwracając uwagę na obecność Natury (przestrzeni sakralnej) jako źródła samoobrony przed zagładą.

Perspektywa porównawcza zbliżyła tutaj tak skądinąd odmienne dzieła jak *Inny Świat* Herlinga-Grudzińskiego — które przedstawił dr Włodzimierz Bolecki (PAN) — oraz powieść autobiograficzną „Ogród Oliwny” ukraińskiego pisarza Ivana Bahrianego (1907-1963), o którym mówiła dr Olga Camel (INALCO). Konfrontacja dwu spojrzeń na przeszłość obozową pozwoliła wyakcentować istotne różnice kulturowe u obu pisarzy. Świadectwo Bahrianego wpisuje się w wizję eschatologiczną świata, w którym sacrum jest jeszcze obecne; Herling, jak to doskonale uchwycił Włodzimierz Bolecki, staje twarzą w twarz wobec pokusy nihilizmu („Czy po doświadczeniu oświecimskim pisanie może mieć jeszcze jakikolwiek sens?” — zapytuje także Adorno). W takim świetle emigracja staje się, zdaniem Boleckiego, swoistym ocaleniem, stworzyła bowiem niezbędny dystans, dzięki któremu Herling zdołał przekazać własne doświadczenie egzystencjalne przezwyciężając wszelkie pułapki dyskursu ideologicznego.

Wygnanie jako przeżycie egzystencjalne stało się przedmiotem wielu bardzo wnikliwych referatów. Jest rzeczą charakterystyczną, że najczęściej miejsca poświęcono Gombrowiczowi, jako modelowi pisarza, dla którego emigracja jest swoistą predestynacją. Wyjazd do Argentyny to spełnienie (lub przedłużenie) metaforycznej ucieczki Józia zamykającej powieść *Ferdynurke*. W takim świetle, *Ślub* i *Trans-Atlantyk* ukazują się jako kolejne etapy inicjacyjne, w których zerwanie z rodzimością staje się paradoksalnie warunkiem powrotu do niej, autodestrukcja prowadzi do ciągle ponawianej rekonstrukcji (referat Marii Delaperrière, INALCO). Nową perspektywę analizy twórczości Gombrowicza zaproponowała także Małgorzata Smorąg (Paryż IV) w bardzo wnikliwej analizie porównawczej dzieł Gombrowicza i Nabokowa, u których same mechanizmy twórcze łączą się ściśle ze zjawiskiem wygnania. Innym doskonałym planem porównawczym okazał się teatr; odkrywczej analizy Gombrowiczowskiej *Operetki* i *Zrobaczywiałego futra* Határa dokonał znany polonista węgierski George Gömöri w referacie pt. „Historiozofia w teatrze Gombrowicza i Határa”, podkreślając u obu pisarzy ostrość spojrzenia i dystans w stosunku do schyłkowych ideologii Zachodu.

Wśród sylwetek pisarskich, dla których emigracja stała się przygodą nie tylko egzystencjalną, ale także metafizyczną przywołany został Iwan Bunin w doskonałej interpretacji dr Claire Hauchard (INALCO) pt. „Emigracja, miejsce rekonstrukcji: wybory Bunina 1920-1953”. Autorka zastanawiała się

nad rolę odosobnienia jako czynnika pogłębiającego dialog twórcy z samym sobą. Jest to możliwe w wypadku bardzo silnych osobowości. Podobne kwestie powracały w referacie wybitnej czeskiej pisarki Sylwii Richterowej poświęconym twórczości poetyckiej Błatnego, Mareša, Krála, Linhartowej, Součkovéj, Brouska. Autorka poruszyła istotny problem dwujęzyczności jako czynnika powodującego rozdwojenie osobowości, oraz wpływu dwu odmiennych kontekstów kulturowych na kształtowanie się nowej wrażliwości poetyckiej.

Analiza literatury polskiej i tutaj prowadziła do wniosków nieco odmiennych. W przeciwieństwie do twórców czeskich polscy pisarze emigracyjni pozostają na ogół wierni językowi ojczystemu. Co więcej, uwarunkowania kulturowe są w wypadku polskim wyjątkowo silne i decydują o tożsamości indywidualnej nawet wtedy, gdy jest ona podważana. Zależność od tradycji rodzimych ciągle negowanych bardzo ciekawie zanalizował doc. Aleksander Fiut (Uniwersytet Jagielloński) na przykładzie twórczości Mariana Pankowskiego i częściowo Gombrowicza. Strategia szyderstwa i prowokacji występuje u obu autorów, ale Gombrowicz unikał jednostronności, zmagania z polskością doprowadziły do pozytywnego przewartościowania tradycji szlacheckiej. U Pankowskiego natomiast szyderstwo łączy się z nieokiełznanym biologizmem, uleganiem własnym popędom, co sprawia, że dążąc do pełnej wolności poprzez prowokacje Pankowski paradoksalnie uzależnia się na nowo od jej formy.

Inną, odmienną i mało dotąd znaną osobowością twórczą, która w pełni rozwinęła się na emigracji, jest Sándor Márai, pisarz węgierski, którego sylwetkę nakreślił prof. André Boiron (Paryż III) oraz prof. János Szávai (obecny ambasador Węgier we Francji). Podobnie jak Határ i Gombrowicz, Márai charakteryzuje się dużą dozą sceptycyzmu w stosunku do cywilizacji zachodniej.

Bogaty zestaw osobowości pisarskich zaprezentowany na sesji pozwolił wykazać pewną zbieżność tematyczną i podobieństwa postaw, które wskazywałyby na to, że z pewnego konkretnego punktu widzenia można mówić o paradygmacie pisarza-emigranta czerpiącego gorzką wiedzę o świecie z doświadczeń wygnania. Pisarzy tak odmiennych jak Gombrowicz, Miłosz, Határ, Kundera, Herling-Grudziński, Zagajewski, Mrożek (listę można by przedłużyć) zbliża szczególna przenikliwość sądów, którą rozwinął w nich podwójny dystans wobec własnego narodu i wobec kultury zachodnioeuropejskiej.

Tu chyba należy szukać odpowiedzi na pytanie o rolę i sens pisarstwa emigracyjnego dzisiaj, kiedy straciło ono już

wprowadzie charakter dysydencki, ale nadal pełni rolę mediacyjną w europejskim dialogu kulturowym. W momencie, kiedy pojęcie uniwersalizmu europejskiego zaczyna się rozmywać w nihilizmie postmodernistycznym, nabiera znaczenia literatura „małych ojczyzn” jako nowa gwarancja uniwersalizmu pluralistycznego.

Są to chyba najistotniejsze wnioski, które zostały wysunięte w ważkich wypowiedziach prof. Jana Błońskiego i dr. Jerzego Jarzębskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesor Błoński dokonał wnikliwego przeglądu postaw najwybitniejszych polskich pisarzy na emigracji, których zróżnicowanie wymyka się próbom włączenia ich we wspólny paradygmat. Ich uniwersalizm przejawia się właśnie w pełnej realizacji wolności indywidualnej, którą ułatwiła im w dużej mierze emigracja. W tym samym kierunku podążała refleksja Jerzego Jarzębskiego, który szczególnie wnikliwie przeanalizował pisarstwo emigracyjne pod kątem uniwersalizmu i partykularyzmu zastanawiając się nad powiązaniem poszczególnych pisarzy z ich podłożem kulturowym, wyjaśniając w ten sposób bardzo subtelne różnice powołań poszczególnych pisarzy, m.in. Marii i Józefa Czapskich, Andrzeja Bobkowskiego, Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, Stanisława Cata-Mackiewicza, Konstantego Jeleńskiego, Stanisława Vincenza.

Refleksja nad nowym, „pluralistycznym” uniwersalizmem, którego korzenie sięgają do poszczególnych kultur partykularnych stanowiła punkt kulminacyjny rozważań nad znaczeniem pisarstwa emigracyjnego, w pokonywaniu dystansu między Wschodem i Zachodem, nie na drodze powszechnej unifikacji, ale poprzez sięganie do źródeł kulturowych zarówno wspólnych jak i partykularnych. Toteż sesja zakończyła się niezwykle oryginalnym i symbolicznym referatem dr Frosy Pejoski-Bouchreau poświęconym macedońskim rytuałom inicjacyjnym związanym z odejściem i powrotem do kraju („Emigracja *«petchalba»* jako nowa forma inicjacji”).

Międzynarodowa sesja o „Literaturze i emigracji krajów Europy Środkowo-Wschodniej” zapoczątkowała nowy cykl badań nad literaturą emigracyjną*, które nadal będą prowadzone przez Ośrodek Studiów Europejskich w INALCO.

Maria DELAPERRIERE

* W latach ubiegłych Ośrodek prowadził badania nad barokiem europejskim (cf. *Le baroque en Pologne et en Europe*, Publications Langues'O, 1990) oraz nad świadomością narodową i europejską (cf. *Convergences européennes*, Publications Langues'O, 1992).

Czapski z Matejką w tle

W dniach od 26 do 28 maja br. w Lublinie odbył się cykl imprez pod nazwą *Józef Czapski: życie i dzieło*. Był hołdem złożonym zmarłemu w styczniu tego roku malarzowi i pisarzowi. Spotkania zorganizowali: Teatr NN (inspirator całości), Muzeum Lubelskie „Zamek” i Muzeum Archidiecezjalne. Co złożyło się na uroczystości poświęcone Czapskiemu? Przede wszystkim wystawy — większa, biograficzna w Domu Kultury im. Vetterów, eksponująca fotografie malarza, książki, czasopisma z jego publikacjami. Wystawa druga, skromniejsza, w hallu Biblioteki Uniwersyteckiej KUL zbierała również książki pisarza, przedruki podziemne (były tu białe kruki, których nawet bibliografie druków podziemnych nie uwzględniają) oraz fotokopie z dziennika artysty. Dodać warto, że ponad 160 skopiowanych tomów już znajduje się w Bibliotece Uniwersyteckiej, a reszta trafi tam niebawem.

Trzecia wystawa na Zamku obejmowała 80 rysunków i 5 obrazów malarza ze zbiorów Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Żałować można, że organizatorom nie udało się dotrzeć do innych rysunków i obrazów, ale prawdopodobnie przeszkodą były tu wysokie stawki ubezpieczenia. Na podstawie pokazanych rysunków można było przekonać się, jak ciekawym jest Czapski rysownikiem. Niektórzy twierdzą, że lepszym, niż malarzem. Pokazanych zaś w Lublinie 5 obrazów nie dawało o jego malarstwie żadnego wyobrażenia.

Brak ten można było nadrobić oglądając pokazy slajdów z obrazami artysty, które zgromadził jego kuzyn z Warszawy, Janusz Przewłocki. Pokazał on ponad 200 prac Czapskiego, często zupełnie nieznanymi. Marek Sikorowski z Towarzystwa Przyjaciół J. Czapskiego w Szwajcarii zaprezentował z kolei ponad 40 przezroczy z obrazami, które trafiły do marszanda Richarda Aeschlimanna. Jak unikalna to była dokumentacja (wszak obrazy te obecnie znajdują się u różnych właścicieli na całym świecie) niech świadczy fakt, że wielu pokazywanych prac nie znał nawet zaprzyjaźniony z malarzem i mieszkający w Paryżu Wojciech Karpiński. Usłyszeć nawet można było głosy, że mówienie o malarstwie Czapskiego bez obejrzenia tych ostatnich slajdów jest nieporozumieniem.

Oprócz wspomnianych wystaw i pokazów, wyświetlono trzy

filmy poświęcone artyście: najbardziej znany Agnieszki Holland z paryskiego „Video-Kontaktu”, który w drugiej połowie lat 80-tych krążył w podziemiu i był dostępny przynajmniej dla grona „wtajemniczonych”. Drugi film „Podziemna korona” zrealizował niedawno malarz i krytyk sztuki z Poznania Janusz Marciniak. Film trzeci Andrzeja Wajdy dopiero powstaje, w Lublinie pokazano tylko surowy, częściowo zmontowany materiał, wymagający jeszcze obróbki.

Obok wernisażu rysunków i obrazów J. Czapskiego najważniejsza chyba była jednodniowa sesja, w czasie której ogłoszono 6 referatów. Sesję otworzył ks. Jacek Bolewski (SJ) odczytem *J. Czapski „złym katolikiem”?*, w którym analizując teksty publikowane autora *Czytając*, zajął się problemami religijnymi w jego twórczości. Omawiał przemiany w postawie malarza, od skrajnego idealizmu, bliskiego Tołstojowi (religijny falanster, A. Marylski), której zwieńczeniem, jakby się zdawało, powinna być droga zakonna. U Czapskiego stało się inaczej, ks. Bolewski mówił o doświadczeniach, które doprowadziły u artysty do przewartościowań, do odejścia od Boga, by po „skosztowaniu” życia, wolności i miłości, powrócić na „drogę mistyczną”. Mowa również była o wpływie przemyśleń religijnych na malarstwo Czapskiego. Nie malował scen o tematyce sakralnej, nie odpowiadały mu. Ale ks. Bolewski zwrócił uwagę, że tylokrotnie powtarzające się na płótnach martwe natury, „piłowane” jak mawiał artysta, mają również swe źródło religijne. Stwierdzić to jednak można dopiero po przeczytaniu dziennika malarza.

Omawiana wypowiedź była tak skondensowana i poruszała tak poważne problemy filozoficzno-teologiczne, że nie sposób ich tu omówić. Na podkreślenie zasługuje fakt, że referent mówiąc o katolicyzmie Czapskiego nie miał na myśli rzymskiego odłamu chrześcijaństwa, lecz odwoływał się do greckiego źródłosłowa, zgodnie z którym katolicki znaczy powszechny, wszechobejmujący. Zaznaczał, że począwszy od lat gimnazjalnych przyszły malarz przełamywał nakazy obowiązującej wówczas ortodoksji i swoją postawą jakby wyprzedzał przemiany w samym kościele.

Tomasz Gryglewicz zajął się Czapskim — *Artystą malarzem*, pytał m.in. o jego stosunek do modelu „artysty wyklętego”. Wszak Czapski w Paryżu przebywał przed wojną w środowisku bohemy artystycznej. Jak odnalazł się tam on — człowiek wrażliwy, wykształcony, religijny wśród ludzi, którym bliskie były zupełnie inne postawy? Podobnie nieco później było z Tadeuszem Makowskim. T. Gryglewicz wskazy-

wał na wspólne cechy polskich artystów przebywających w dwudziestoleciu międzywojennym w Paryżu. Choć reprezentowali różne nurty, wspólne im było to, że łagodźli „dzikość” i „agresywność” nowych kierunków i byli zdecydowanie bardziej poetycy w swoich wypowiedziach. J. Czapski w Paryżu był na tle mu współczesnych zupełnym anachronizmem — ustawicznie mieszał sprawy sztuki i moralności. Wg. T. Gryglewicz jest to typowe dla krajów Europy Środkowej aż do dziś.

Referent zastanawiał się także nad wpływem Cézanne'a na twórczość polskiego artysty. Czapski widział w Cézannie poszukiwacza prawd uniwersalnych, a nie przodownika malarstwa nowoczesnego, kubistycznego. Nie interesował go styl francuskiego artysty, ale jego postawa. Malarz dla Czapskiego to prawdziwy rzemieślnik w najlepszym tego słowa znaczeniu, który wyteżoną pracą dąży do prawdy. Czy przemysłenia dotyczące osobowości Cézanne'a miały jakikolwiek wpływ na autora *Patrząc*, czy też była to tylko mitologizacja? Samo malarstwo nie miało przecież wpływu zbyt dużego. W referacie T. Gryglewicz było znacznie więcej interesujących myśli, sygnalizując tylko wybrane.

Wspomniany już Janusz Marciniak przedstawił opatrzone komentarzem *Trzy listy J. Czapskiego* z lat 1986-1989. Pochodziły z większego zbioru korespondencji do poznańskiego malarza. W listach tych Czapski zmusza do przemyśleń nad rolą kapistów, podważając trwałość stereotypów z nimi związanych, pisze o tematyce religijnej w malarstwie, o samotności wysiłku twórczego i o śmierci. J. Marciniak podkreślał u Czapskiego dar zachwytu i mądrości: „Czapski pokazał nam, że celem sztuki nie jest silenie się na oryginalność, ale odwaga podtrzymywania wiary w istnienie piękna obiektywnego i prawdy rzeczy. Dla autentycznego artysty nie jest ważna kwestia pierwszeństwa w mówieniu tej prawdy, lecz dawanie jej osobistego świadectwa”.

Wypowiedź Ryszarda Miłka, malarza, twórcy wystawy artysty w Nowym Sączu i przeniesionej później do warszawskiej Nowej Kordegardy, była bardzo osobistym świadectwem przeżywania malarstwa Czapskiego i jego eseistyki poświęconej sztuce.

Wojciech Karpiński z kolei w swoim odczycie zatytułowanym *Siła pisarstwa J. Czapskiego* skupił się na szczególnym darze lektury autora *Czytając*. Wyróżnił kilka stron językowych zainteresowań pisarza i malarza, zaczynając od strony francuskiej. Omawiał tu autorów szczególnie bliskich Czapskiemu na czele z Proustem, który towarzyszył mu całe życie.

Wymieniał również Paula Valéry, Amiela, Maine de Birana czy Simone Weil.

Strona rosyjska to m.in. Tołstoj, Mereżkowski, Rozanow, a niemiecka to Goethe, Nietzsche (czytany za radą Mereżkowskiego) czy Hugo von Hofmannsthal. W *Listie lorda Chandosa* Hofmannsthal pisał o kryzysie świadomości i o bogactwie rzeczywistości, wobec której język zawsze pozostanie ułomny. Lord Chandos wybiera milczenie oznajmiając o tym w liście napisanym kunstownym językiem. W. Karpiński podkreślał, jak bliski był Czapskiemu utwór Hofmannsthala, widząc w nim jeden z kluczy do twórczości malarza.

W dyskusji dodawano jeszcze szczegóły, mowa była o stronie angielskiej z Henry Jamesem i Thomasem Hardy na czele, w tle zaś wciąż powracała w różnych kontekstach strona polska z Norwidem i Brzozowskim (listę nazwisk można tu oczywiście rozszerzać). W. Karpiński interesująco mówił również o niemal nie znanym w kraju krytyku i eseście — przez długie lata współpracowniku *Kultury* i przyjacielu J. Czapskiego — Konstantym Jeleńskim.

Kończącą sesję wypowiedź Andrzeja Oseki *Kim był J. Czapski dla mnie i dla takich jak ja* można żartobliwie nazwać „spowiedzią dziecięcia wieku”. Dla Oseki i jego kolegów, którzy po latach socrealizmu i odcięcia od sztuki Zachodu znaleźli się w 1957 roku w Paryżu, Czapski był „mistrzem epoki mijającej”. Nie mieli wątpliwości, że przyszłość należy do „malarstwa wielkiej dynamiki form”, interesował ich de Staël, Poliakoff, abstrakcja geometryczna. Pragnęli pełną piersią „czerpać powietrze nowoczesności”. Awangarda artystyczna była dla Oseki i jego kolegów najbardziej atrakcyjna. Czapski interesował ich jedynie jako człowiek, który żyjąc w Paryżu mógł ułatwić dostęp do marszandów. Nie sprawdził się w tej roli wcale, zapewne nie miał takich ambicji. Drażnił przy tym swoim uporem wobec Katynia, krytycyzmem wobec awangardy, drażnił swoją bezpośredniością i prostolinijnością. Jego gorzkie słowa o „skundleniu” myśli krytycznej w PRL, o tym że słowo raz skłamane nie może mówić prawdy irytowały, gdyż nie było w nich cienia relatywizmu. I za to nie lubili go nawet. Dopiero później, jak wyznał A. Oseka, Czapski zaczął mu się jawić (jego kolegom również) jako odrębny i bardzo interesujący artysta. Wypowiedź Andrzeja Oseki mogła bulwersować i takie głosy słychać było w dyskusji, lecz dodać warto, że był to cenny przyczynek do recepcji malarza w PRL. Zarówno wspomniany głos jak i inne wybrane wypowiedzi sesji drukować ma

niebawem lubelski kwartalnik literacki *Kresy*.

Omawiając *Spotkania z Józefem Czapskim* nie sposób pominąć potknięć, które przy tego typu przedsięwzięciach są nieuniknione. Jednym z punktów programu było spotkanie z redakcją *Zeszytów Literackich* i promocja pisma. Jest to tym dziwniejsze, że J. Czapski od lat czterdziestych był związany z *Kulturą* i Instytutem Literackim. Przez wiele lat był ambasadorem *Kultury*, jak go żartobliwie nazywano, do lat osiemdziesiątych pisywał głównie w paryskim miesięczniku i dopiero w ostatnim dziesięcioleciu jego publikacje ukazywały się również w *Zeszytach Literackich*. Wprawdzie organizatorzy zaprosili do udziału w *Spotkaniach* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, przyjaciela Józefa Czapskiego i Jerzego Giedroycia oraz najbliższego współpracownika *Kultury*, lecz stan zdrowia nie pozwolił mu na przyjazd do kraju. Sprawilo to, że zabrakło jakiegokolwiek mocniejszego akcentu, który by tę współpracę choćby zasygnalizował. Sprawiedliwie jednak trzeba zaznaczyć, że brak ten starała się nadrobić redaktorka *Zeszytów* — Barbara Toruńczyk, która w czasie spotkania z młodą głównie publicznością mówiła o redaktorze Giedroyciu, współpracy malarza z *Kulturą* i o znaczeniu pisma. Niemniej wrażenie zachwiania proporcji pozostaje.

Spotkania kończył „okrągły stół” — rozmowa o autorze *Patrząc* z uczestnikami sesji i zaproszonymi gośćmi. I tu również nie sposób nie mieć wątpliwości. Już sam fakt, że przy jednym stole miałyby dyskutować 24 osoby choćby z przyczyn technicznych wydaje się niefortunny. Połowa dyskutantów nie mogła z różnych przyczyn wziąć udziału w dyskusji, ale i wypowiedzi pozostałych, znakomitych przecież uczestników budziły mieszane uczucia*. Szkoda, że Michał Komar nie wykorzystał przywileju prowadzącego i nie „pociągnął rozmówców za język”, nie drążył omawianych kwestii. Całość robiła wrażenie dość przypadkowego i niespójnego wielogłosu. Wielogłosu, w którym były też bardzo ciekawe wypowiedzi, jak te o dzienniku malarza. Poruszano konteksty filozoficzne i literackie w piśmarstwie Czapskiego, zupełnie nieobecny był zaś Czapski — malarz czy krytyk sztuki. Najbardziej chyba żałować trzeba, że nie wykorzystano wspaniałej okazji, by w tak liczny i szacowny gronie trochę uwagi poświęcić sprawom spornym. Wszak w tzw.

* W dyskusji udział wzięli: A. Bałajewski, ks. J. Bolewski, T. Gryglewicz, W. Karpiński, M. Komar, E. Kuryluk, J. Marciniak, R. Miłek, A. Osęka, Wł. Panas, J. Przewłocki, M. Sikorowski i A. Tyszczyk.

„środowisku” usłyszeć można głosy, że Józef Czapski wcale nie był ani tak dobrym pisarzem, ani tak ciekawym malarzem. A swój rozgłos zawdzięcza jedynie legendzie i wpływowym przyjaciółom (sic!). Tych spraw nie omawiano, choć sugerowali to tak wierni admiratorzy Czapskiego, jak J. Marciniak i R. Miłek. I zupełnie nie przekonuje mnie argument, że dystans czasowy jest zbyt mały i najpierw trzeba artyście oddać sprawiedliwość. Bohater *Spotkań* był tak interesującym pisarzem i malarzem, że sam się obroni. Czapski nie potrzebuje laurów!

Chciałbym jednak, by te uwagi malkontenta nie dały fałszywego świadectwa: uważam lubelskie *Spotkania*, mimo niedociągnięć organizacyjnych, za ciekawe, potrzebne i udane. Niewątpliwym ich atutem była wielość rozmaitych inicjatyw w różnych miejscach (Muzeum „Zamek”, DK im. Vetterów, Biblioteka Uniwersytecka KUL, lubelskie szkoły, wystawy również w innych bibliotekach). Towarzystwo im audycje telewizyjne i radiowe, zaś lubelski dodatek *Gazety Wyborczej* wydrukował specjalną wkładkę poświęconą Józefowi Czapskiemu. Sprawilo to, że zasięgiem *Spotkań* objętych została spora grupa ludzi, którzy często o malarzu nie wiedzieli nic. Tłumy na wernisażu i duże zainteresowanie „okrągłym stołem” potwierdzają to. Świadczą o tym również spotkania z redakcją *Zeszytów Literackich* czy uczestników sesji z uczniami szkół średnich. Nie były to przymusowe „spędy” i trudno było nie zauważyć, że uczniowie zadawali pytania z autentycznym zainteresowaniem, a nieraz i z pasją.

Jednak ceną za wybór tak szerokiego adresata *Spotkań* niewątpliwie było spłylenie poruszanych zagadnień, świadomie podjęty wysiłek popularyzatorski. Ceną, którą mimo wszystko warto było zapłacić.

Sesja, wernisaż i dyskusje odbywały się na Zamku Lubelskim, w dużej sali muzeum. Na ścianach eksponowane były różne obrazy, a w centrum ogromne płótno Matejki przedstawiające *Unię Lubelską*. Przypadek sprawił, że w Lublinie o Czapskim mówiono właśnie na tle Matejki, z którym on sam tyle „wojował” w młodości, będąc godnym następcą Witkiewicza-ojca. Wypowiadał o Matejce słowa gorzkie i mocne. Po latach, nie pozbywając się wątpliwości, swój sąd skorygował i zobaczył w Matejce geniusza, który potrafił zawładnąć wyobraźnią narodową. Czy nie ma w tym przekory losu, albo „zbiegu okoliczności”, którym nie rządzi zwykły przypadek?

Ps. Na koniec parę zdań o inspiratorze i współorganizatorze *Spotkań z Józefem Czapskim* — Teatrze NN. Powstał w maju 1990 r. Jest jednym z kilku lubelskich teatrów, które wywodzą się z dawnych studenckich grup teatralnych, działających przy Centrum Kultury. Ma na koncie cztery spektakle wyreżyserowane przez kierownika Teatru Tomasza Pietrasiewicza. Nie ogranicza się tylko do działalności teatralnej. W Galerii NN organizowane były (i są nadal) wystawy artystów z Kijowa, ze Lwowa (m.in. Myroslawa Jahody — zob. omówienie w *Kulturze* 1993 nr 4), z Danii, z Polski. Teatr organizował także spotkania autorskie m.in. z Grigorijem Kanowiczem z Wilna, Bohdanem Osadcukiem z Berlina Zach., Mykołą Riabcukiem z Kijowa, z ks. Janem Twardowskim, Włodzimierzem Paźniewskim, Jackiem Woźniakowskim, Adamem Kulikiem. Spektaklom często towarzyszą promocje książek czy koncerty kameralne.

Teatr NN był współorganizatorem Tygodni Kultury Ukrainkiej w Lublinie, *Spotkań* poświęconych pamięci Brunona Schulza (Lublin-Lwów-Drohobycz, listopad 1992) i Bohumila Hrabala (kwiecień 1993). Ostatnio spektakle *Inwokacja* i *Ziemskie pokarmy* nagrodzone zostały na przeglądach teatralnych w Toruniu i w Szczecinie, zaś kierownik zespołu T. Pietrasiewicz otrzymał doroczną nagrodę Polcul Foundation.

Teatr NN obok Fundacji na Prowincji i kwartalnika literackiego *Kresy* należy do najciekawszych inicjatyw kulturalnych ostatnich lat (nie tylko Lublina) i zasługuje na więcej uwagi.

Z. K.

Ogród kolonialny Jana Dybowskiego

W podparyskim Nogent sur Marne, zaledwie sto metrów od stacji R.E.R. znajduje się Jardin Tropical. Ogród tropikalny jest wydzieloną częścią lasu Vincennes. Przed spacerowiczami chroni go płot z tablicami zabraniającymi wstępu osobom nie należącym do personelu. W ogrodzie mieści się obecnie Międzynarodowe Centrum Współpracy dla

Rozwoju Badań Agronomicznych (CIRAD) i Instytut Badań Agronomii Tropikalnej (IRAT). Już kilka metrów za bramą odkryć można, że ogród jest miejscem jednocześnie pełnym uroku i bardzo dziwnym, jakby nie pasującym do pejzażu Ile de France. W iglastym lasu widać minaret, chińską bramę, a także budowle typowe dla tradycyjnej architektury Środkowej Afryki, Indochin, Francuskich Antyli.

Najbardziej znana, Buddyjska Świątynia, w 1917 roku przekształcona w pomnik-miejsce pamięci 200 tysięcy pochodzących z Indochin żołnierzy francuskiej armii, poległych na frontach Wojny Światowej, niestety spłonęła kilka lat temu.

Spacerując po ogrodzie odnosi się wrażenie jakby czas zatrzymał się tutaj kilkadziesiąt lat temu w okresie kolonialnej wielkości Francji. Egzotyczne budowle stanowią pozostałość wystawy Exposition Nationale d'Agriculture Coloniale z 1905 i wystawy z 1907 roku. Dokumenty, zdjęcia i relacje prasowe, z którymi zapoznałem się w centrum dokumentacyjnym IRAT-u, przypominają okres świetności ogrodu. Wystawę zwiedzał prezydent Republiki i rządzący z wielu związanych wówczas z Francją krajów, wśród nich cesarz Khai-Dinch. W budynkach bądź przeniesionych z kolonii, bądź zbudowanych w stylu typowym dla poszczególnych regionów, pokazywano typowe dla zamorskich posiadłości produkty rolne. Dużą sensację wzbudzał pokaz egzotycznych technik agrarnych, a zwłaszcza wrywanie i transport drzew przez sprowadzone z Indochin słonie. Dostojnych gości oprowadzał po ogrodzie jego twórca i pierwszy dyrektor Jan Dybowski.

Jan Dybowski urodził się w 1856 roku w Charonne. Był trzecim z kolei synem polskiego emigranta, oficera z 1830 roku. Urodził się w rodzinie szczególnie zasłużonej dla polskiej nauki i przyrody. Benedykt Dybowski najwybitniejszy polski zoolog dziewiętnastego wieku, znany głównie ze swoich prac o faunie i florze Zabajkała i Kamczatki był kuzynem Jana. W swoich pamiętnikach wspomina on zresztą, iż w transporcie zesłańców podróżował wraz z nim w 1864 roku syn polskich emigrantów przyjaciel Jana i jego siostry Anny, nauczycielki polskiej szkoły w Batignoles. W 1874 Jan Dybowski ukończył Ecole d'Agriculture w Grignon. Zafascynowany podróżami, szybko stał się jednym z najważniejszych francuskich badaczy Afryki i jednym z najwybitniejszych twórców agronomii tropikalnej na świecie. Kolejne misje badawcze, w 1889 roku w południowej Algierii, w 1890 eksploracja Sahary, w 1895 roku w Gwinei Francuskiej przynosiły

slawę młodemu podróżnikowi odznaczonemu, w uznaniu prac badawczych w Afryce, Orderem Legii Honorowej. Największy rozgłos uzyskała wyprawa z 1891 roku do Konga. Miała ona na celu wzmocnienie ekspedycji Crampela. Dybowski dotarł do Brazzaville gdzie czekała na niego wiadomość o masakrze uczestników ekspedycji i śmierci ich dowódcy. W stolicy Konga podjął decyzję kontynuowania wyprawy w celu odszukania śladów i ewentualnego ratowania pozostałych przy życiu podróżników. Po trzymiesięcznym przemieszczaniu się przez dżunglę, odszukaniu śladów tragedii i wycieńczonego lekarza, jedyne go uczestnika ekspedycji Crampela, który przeżył, Dybowski dotarł do rzeki Kemo i stamtąd powrócił do Francji. Wyprawa zakończyła się dla niego wielomiesięczną chorobą ale i dużym sukcesem. Wśród roślin przywiezionych przez Dybowskiego znajdował się nowy gatunek drzewa kawowego i palmy daktylowej. Po powrocie do metropolii został powołany na stanowisko profesora w Katedrze Upraw Kolonialnych w Institut National d'Agronomie. Z instytucją tą pozostał związany przez następne 34 lata. W 1896 roku został dyrektorem rolnictwa i handlu Regencji Tunezji. W Tunisie założył szkołę rolniczą i ogród botaniczny. Pracował nad wprowadzeniem do rolnictwa północnoafrykańskiego nowych upraw i jednocześnie studiował przydatność wytworów gospodarki kolonialnej dla przemysłu francuskiego. Pod koniec dziewiętnastego wieku coraz popularniejsza stawała się we Francji idea powołania do życia instytucji mogącej wesprzeć wysiłki administracji dla lepszego poznania i wykorzystania rolniczych możliwości terytoriów zamorskich i kolonii. Zamierzenia te miały zresztą bogatą tradycję: w 1617 roku z Ogródu Królewskiego w Paryżu wysłano na Martynikę pierwsze sadzonki kawy. Aby zrozumieć znaczenie tego typu prac należy przypomnieć, że w owym czasie chemia syntetyków była praktycznie nie znana. Rozwinęła się ona później, głównie w Niemczech w wyniku pozbawienia tego kraju kolonii i odcięcia go od zamorskich surowców. Tropikalny las i rolnictwo krajów ciepłego klimatu stanowiły niewyczerpane i słabo poznane źródło surowców dla gospodarki europejskiej. Dostępność kauczuku, barwników, lekarstw, bawelnianych i jukowych włókien, kawy, herbaty, kakao, owoców, a do morskiej blokady Francji w okresie napoleońskim, także i cukru, miały decydujące znaczenie dla rozbudowy przemysłu w całej Europie. Założony przez Dybowskiego Ogród Kolonialny miał za zadanie badanie przydatności produktów kolonialnych dla przemysłu, zapozna-

wanie francuskich producentów z rezultatami badań, studia nad możliwością różnorodnych upraw w koloniach, aklimatyzacji roślin w Europie, a także próby upraw w koloniach roślin obcego pochodzenia np. upraw azjatyckich czy afrykańskich na Martynice. W 1902 roku Dybowski zorganizował także Ecole Supérieure d'Agriculture Coloniale de France przygotowującą inżynierów agronomów dla potrzeb pozaeuropejskiego rolnictwa. Był on także współpracownikiem Wielkiej Encyklopedii, autorem dziesiątków artykułów i publikacji książkowych. Najbardziej znane to podręczniki i poradniki agronomiczne „Guide de Jardinage”, „Jardin d'Essai Coloniaux”, „Traité de Culture Potagère”, „Traité Pratique des Cultures Tropicales” jak i oparte na własnych badaniach i przeżyciach opisy podróżniczo-geograficzne „La route du Tchad” i „L'Afrique Occidentale Française”. Po odzyskaniu niepodległości, Dybowski, przez całe życie silnie związany ze sprawą polską, wyjechał do Puław gdzie przez rok nauczał ogrodnictwa. W kraju odnalazł rodzinę i spotkał się z Benedyktem w owym czasie profesorem zoologii Uniwersytetu Lwowskiego. Jan Dybowski zmarł tragicznie w 1929 roku w Meandres. Jego grób znajduje się na cmentarzu w Nogent sur Marne niedaleko ogrodu tropikalnego, który uznawał za najważniejsze dzieło swojego życia.

Piotr DASZKIEWICZ

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Książki

O Polsce w Niemczech

Jest rzeczą zastanawiającą swoista nierównowaga między badaniami dotyczącymi Polski w Niemczech i podobnymi opracowaniami o Niemczech w Polsce. W szczególności zwraca uwagę przewaga poświęconych tej problematyce niemieckich publikacji. Dotyczy to zarówno opracowań naukowych, jak książek popularyzatorskich. Rokrocznie na rynku niemieckim pojawia się przynajmniej kilka tego rodzaju publikacji, przy czym w większości są to książki i opracowania niesłychanie kompetentne oraz doskonale udokumentowane. Dla przyładu tylko warto przywołać zestaw ważniejszych publikacji roku 1992: fundamentalna antologia polskiej poezji powojennej autorstwa Karla Dedeciusa w ramach znanej serii „Biblioteki Polskiej”, książka Lisawety von Zitzewitz „5 razy Polska” nakładem Piepera (obszerna praca poświęcona polskiej historii i współczesności, kulturze i życiu społecznemu) czy znakomity tom „Polacy i Niemcy. 100 kluczowych pojęć” opracowany przez Ewę Kobylińską, Andreasa Lawaty'ego i Rüdigerę Stephana (też w oficynie Pieper). W szczególności ta ostatnia książka warta jest uwagi (i może należałoby pomyśleć o jej publikacji po polsku): tom gromadzi krótkie eseje autorów polskich i niemieckich poświęcone na ogół, choć nie zawsze, tym pojęciom, które stały się swego rodzaju stereotypami, a które warto poddać rewizji — wśród autorów odnajdujemy Leszka Kołakowskiego, Stanisława Lema czy Jerzego Holzera, zaś ze strony niemieckiej Karla Dedeciusa, Heinricha Olschowsky'ego czy Ludwika Mehlhorna. To, oczywiście, jedynie wierzchołek góry lodowej. Nie sposób policzyć przewodników turystycznych po Polsce czy świetnie opracowanych samouczków języka polskiego, albo wreszcie książek kucharskich poświęconych polskiej kuchni. Zapewne nie są to wszystkie publikacje mogące liczyć na większą publiczność, niemniej ich ilość i stała dostępność na rynku sprawiają, że każdy,

kto się Polską interesuje, ma do dyspozycji sporo i na ogół kompetentnie opracowanych materiałów.

I tym razem mamy do czynienia z ważnym przedsięwzięciem. Nakładem Edition Temmen w Bremie ukazała się praca zbiorowa zatytułowana „Kultura w dobie przemysłu. Polska — Czechosłowacja — Rosja”*. Jest to pierwszy tom nowej serii wydawnictw istniejącego od dziesięciu lat przy Uniwersytecie Bremeńskim projektu badawczego poświęconego sprawom Europy Wschodniej, a kierowanego przez profesora Wolfganga Eichwede. We wstępie do tej pracy czytamy, że uwaga, jaką poświęca się problemom życia społecznego tej części kontynentu nie może być ograniczona wyłącznie do spraw ekonomii i polityki zagranicznej. Równie ważne są przemiany zachodzące w życiu kulturalnym, w szczególności zaś w literaturze i sztuce, ale także w stylu życia. Próba ich zrozumienia i opisu jest zadaniem niezwykle istotnym we wspieraniu procesów integracyjnych w Europie.

Część książki poświęcona Polsce jest najobszerniejsza. Napisała ją dwóch autorów — Wolfganga Schlotta oraz Andrzeja Szpocińskiego. Kompetentne i znakomicie udokumentowane opracowanie Schlotta (nawiasem mówiąc, jest to autor, który od lat systematycznie śledzi i omawia to, co się dzieje w literaturze polskiej) ukazuje przejście od systemu kultury podzielonego na trzy obiegi — oficjalny, podziemny i emigracyjny — do systemu jednolitej po przemianach 1989 roku kultury narodowej. W szczególności interesujące wydają się uwagi dotyczące przekształcenia znanej jedynie elitom literatury emigracyjnej w literaturę dostępną dla całego społeczeństwa. Przy czym nie jest to opracowanie dotyczące jedynie czasów najnowszych — nie bez powodu przywołuje w nim Schlott także doświadczenia ubiegłego stulecia ukazując tożsamość losu polskiej kultury narodowej i zarazem szansę, jakie się przed nią obecnie otworzyły.

Z kolei opracowanie Szpocińskiego, także odwołujące się do doświadczeń okresów wcześniejszych i zmierzające do opisu przekształceń tradycyjnego wzorca kultury polskiej, określa istotę przemian, jakie się obecnie dokonują. Zwraca szczególną uwagę na inwazję kultury masowej czy popularnej wskazując, że zasadniczej zmianie ulega sytuacja kultury określanej jako „wysoka” czy elitarna. W trakcie tych przemian pojawiają się pytania o kryzys tradycyjnego modelu kultury polskiej. Poddana prawom rynku i pozbawiona dotychczasowych dotacji wystawiona zostaje na szczególną próbę. Tu bez wątpienia przemiany

* *Kultur im Umbruch. Polen-Tschechoslowakei-Russland*. Autorzy: Ivo Bock, Wolfgang Schlott, Hartmute Trepper i in., Edition Themen, Bremen 1992, s. 232, ilustr., ISBN 3-86108-300-0.

zapoczątkowane w roku 1989 stanowią moment przełomowy. Elity kulturalne stanęły wobec problemu przemyślenia na nowo społecznego miejsca i roli sztuki. Relacjonując toczące się dyskusje autor podkreśla, że pojawiające się w nich pytania muszą pozostać otwarte. Obecna sytuacja może oznaczać załamanie się tradycyjnego modelu kultury, może też doprowadzić do jego przewartościowania. W tej chwili jednak wszystko jeszcze jest w trakcie przemian, których konsekwencji nie sposób przewidzieć.

Leszek SZARUGA

Trudności czytania po polsku

Gdy w połowie lat sześćdziesiątych Wiesław Paweł Szymański ogłaszał w *Tygodniku Powszechnym* cykl długich rozmów z pisarzami polskimi, dobór jego rozmówców, poczynając od Marii Dąbrowskiej, dowodził istnienia ogólnie uznanej hierarchii; ważnych czytelników pism literackich nie dziwiło pominięcie Putramenta czy Bratnego, zaś ci, którzy nie akceptowali działalności publicznej Jarosława Iwaszkiewicza nie kwestionowali jego rangi pisarskiej. W latach osiemdziesiątych pojawiły się rozbieżne nurty, nigdy już nie stykające się ze sobą. Osobno działali pisarze poza cenzurą, osobno dobijający się rang prorzadowi literaci od Auderskiej, Kuncewicza i Żukrowskiego. Całkiem osobno istniała szkoła Berezy, która zawładnęła *Twórczością*, nie tylko obojętna wobec jakichkolwiek wartości społecznych ale też jaskrawo naruszająca w przypadku autora nazwiskiem Marek Bukowski wszelkie elementarne rygory przyzwoitości. Pismo mogło być śmiało przenieśmowane do bibliotek garnizonowych, choć trudno przypuszczać, że budziło tam nadmierne zainteresowanie. Do tego jeszcze wydawnictwa o ambicjach literackich poświęcone medytacji Zen i filozofii pokarmów, unikające cenzury i niezbyt gorliwie ścigane.

Dziś już wielość nurtów jest ogromna lecz zarazem każdy z nich wydaje się wąty. Każdy ma jednak ambicje narzucenia własnej hierarchii wartości i tabeli rang. Skończyły się czasy, gdy każde nowo powstające pismo literackie zabiegało o rozmowę z Czesławem Miłoszem.

Lekturę nowych pism zaczynam zwykle nie od prozy i poezji nie znanych mi autorów lecz od części krytycznej, ocen książek i utworów, na temat których mam własną opinię lub przypuszczenia. Nie szukam potwierdzenia własnych gustów, inte-

resuje mnie w jaki sposób można je zakwestionować. Często jednak miewam trudności ze zrozumieniem tego, co czytam. W 4-tym (10-tym) numerze z r. 92 kwartalnika literackiego *Fa-Art* wydawanego w Bytomiu dzięki subwencji Zarządu Miasta Bytom, który redagują: Marcin Herich, Cezary K. Kęder i inni, utknąłem ostatecznie podczas próby czytania szkicu Marcina Hericha: „W Teatrze Witkacego, ujmując rzecz w 'dialogową' metaforę, dochodzi do próby zderzenia w teatrze z twarzy teatralnej maski, aby stanąć z widzem nagą twarzą w twarz. W ten sposób realizuje się tu implicytnie polemika z awangardą teatru Drugiej Reformy, która postulując otwartość separowała emocje intelektualizmem i zamiast przyjmować — zapraszała”. W numerze 11-tym (1-szym z r. 93) *Fa-Art* Bożena Stokłosa pytając „Czy koniec postmodernizmu?” konkluduje: „Co więcej, dopiero od kilku lat, to znaczy po pewnym 'uspokojeniu się' sytuacji w sztuce na skutek spadku zainteresowania nową ekspresją można, jak sądzę mówić o nastaniu lepszej koniunktury dla 'postmodernizmu', gdyż dowartościowano tendencje sprzed ekspansji nowej ekspresji”. Są w tym numerze rzeczy świadczące o jeszcze skromniejszych kwalifikacjach umysłowych, choć są równocześnie inne godne druku w każdym dobrym piśmie. Horst Bienek tłumaczony jest przez Andrzeja Pańkę niewymuszoną, swobodną polszczyzną, zdolną oddać najlżejsze poruszenia myśli. Już dla tego jednego tekstu nie ma mowy o wrzuceniu pisma do kosza.

W czerwcu 93 ukazał się 1-szy numer kwartalnika kulturalnego *Opcje*. Gdy *Fa-Art* redagował Cezary K. Kęder, to w nowym piśmie redaktorem naczelnym jest Konrad C. Kęder, Marcin Herich bardzo niedbale zajmuje się korektą a wydawcą jest Centrum Kultury w Katowicach. Podróż z Bytomia do Katowic nie została opisana. Krytyką teatralną zajmuje się Kajetan Piekarski: „W zasadzie wszystko jest w tym spektaklu marne (może z wyjątkiem urody młodziutkich aktorek...). Aktorstwo jest pospolite lub słabe, organizacja przestrzeni teatralnej banalna i wtórna... Całość wygląda tak, jak mężczyzna w ostatniej scenie”.

Magiel, miejsce w którym dokonywane czynności nie pochłaniają zazwyczaj całej uwagi a hałasy bywają umiarkowane, zawsze stwarzał okazje do rozwijania pewnego rodzaju aktywności umysłowej. Gdy w roku 1855 zmarł Józef Symeon Bogucki, autor „Pozoru szczęścia czyli rozpustnika salonowego”, „Klementyny, czyli życia sieroty” oraz „Wizerunków społeczeństwa warszawskiego” koledzy pisarza ze składki zakupili wdowie magiel, by mogła na skromnym poziomie zaspokajać swe potrzeby i aspiracje. Zamieszczona w *Opcjach* rozmowa „Spojrzanie zza kulis. Tadeusz Kantor, teatr Cricot 2 i inni” świadczy, że nawet gawęda z magla okazuje się dziś gatunkiem trudnym

do naśladowania. A przecież osiągnęli w niemałym stopniu tę umiejętność byli szefowie obstawy, generałowie policji oraz minister Urban. Minister Urban z równą łatwością może odbyć konferencję na temat problemów rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, co wygłosić prelekcję o zaletach gospodarki rynkowej, bądź przenieść swych czytelników do magła. Awangardysty wypadają w takiej sytuacji nieporównanie gorzej. Nie miałbym nic przeciw poddaniu krytycznej analizie działalności Kantora. Nigdy dotąd nie zajmowałem się twórczością z magła więc i dziś nie będę cytował. Ale nieudolne naśladowanie wydaje mi się naganne w każdej dziedzinie.

Jeśli jednak *Fa-Art* i *Opcje* są może zjawiskami marginalnymi to na zupełnie inny stosunek zasługuje pismo literacko-społeczne *Fraza*, wydawane przez Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Rzeszowie, Koło Naukowe Studiów Kultury Słowiańskiej. Spora część nr 3/4 z r. 93 poświęcona jest Ukrainie i stosunkom polsko-ukraińskim. Są tam teksty może nie porywające ale budzące zaufanie bogactwem informacji, pozbawione zaciętrzewienia.

Natomiast Marek Pękala zapisując swą pięciogodzinną rozmowę z rzeszowskim malarzem Alfredem Kudem, w której uczestniczył też Jacek Kawalek, nie zdołał nas w żadnej mierze przekonać, że Kud jest wielkim malarzem, ani nie dostarcza jakichkolwiek przesłanek by przypuszczać, że nim nie jest. Nie pomaga nam nawet wyobrazić sobie jak może wyglądać to malarstwo. Dwaj goście kolejno monologują przez pięć godzin w pracowni malarza i gdy drugi z nich pyta gospodarza, co sądzi o tym, co przed chwilą mówił kolega, artysta roztropnie odpowiada: „Nie wiem”.

Na dalszych stronach pisma następuje „Próba kosmologii” — „Poezja Dariusza Bugalskiego czerpie ze słownika, który jest tworzony przez niezaspokojone pragnienie korzystania z możliwie elementarnych znaczeń... Zbiór ten jest zbudowany jako całość na zasadzie progów poznawczych. Wraz z jego zamknięciem się ku końcowi zawężone zostaje pole widzenia (tak, dokładnie tak brzmi ten tekst — A.D.) poprzez stopniowe odrzucanie elementów „nieistotnych”. Nie jest to jedyna w tym numerze recenzja w podobnym stylu: „Trzydzieści dziewięć wierszy, wszystkie dojrzałe w warstwie egzystencjalnej”. Jeśli podobne rzeczy wypisują i puszczają do druku przyszli nauczyciele lub co gorsza wychowawcy przyszłych nauczycieli, to w następnym pokoleniu można się spodziewać kompletnego pluralizmu, całkowitego zatrzęsienia „Opcji”. Jest rzeczą złą wyśmiewanie nauczycieli, ale tolerancja wobec złych nauczycieli byłaby szkodliwym zaniechaniem.

Andrzej DOBOSZ

„Na początku nie było słowa”

Krótką historią pewnego żartu Stefana Chwina¹ pozwala przypomnieć sobie i lepiej zrozumieć jak kształtował się smak urodzonych po II wojnie. Ta próba „archeologii pamięci” stara się dotrzeć do najgłębszych jej warstw, odczytać znaki wśród których rodziła się tożsamość, odtworzyć jej pierwsze kroki. Autor eksploatuje pokłady swojej własnej biografii, ale tak, że dla czytelnika o podobnej co on metryce, książka ta może być też przydatna jako „krótki kurs archeologii pamięci”.

Stefan Chwin odtwarza proces etycznej i estetycznej inicjacji w świecie znaków i przedmiotów naznaczonych piętnem zwalczających się idei. Polsko-niemiecko-amerykańsko-wileńsko-sowiecki Gdańsk Chwina to poligon walki o dusze pierwszego powojennego pokolenia. Ale rekonstrukcja dziecięcej świadomości prowadzi do jakże znamiennego odkrycia: oto idee istnieją gdzieś na dalekim planie, a przedmioty mające je reprezentować nie zawsze są posłuszne powierzonej misji, zaczynają mówić własnym głosem, poza plecami idei nawiązują z dzieckiem poufny dialog, i w dialogu tym rodzi się niezależna więź, która nadaje otaczającej rzeczywistości kształt ojczyzny. Plan związków międzyludzkich jest tu niezwykle ubogi, wyciszony, jakby na potwierdzenie tezy, że komunizm powodował zerwanie więzi międzyludzkich. Rekompensuje ten niedostatek intensywność, z jaką dziecko nawiązuje kontakt ze światem rzeczy.

Poddane procesowi sowietyzacji, pokusom „karnawałowej” estetyki nowych czasów, dziecko reaguje inaczej niż dorośli wyposażeni w „przeciwcięża”, o których mówi „Potęga smaku” Herberta. Urodzeni po II wojnie nie posiadali od razu tego odruchu bezwarunkowego, który każe „wyjść, skrzywić się, wycedzić szyderstwo” (ani też innego: pragmatycznej akceptacji). Dziecko z *Krótkiej historii...* Chwina prowadzone było w milczeniu na spotkanie z nową estetyką i etyką, musiało stawić bez uprzedzeń czoła obietnicom utopii, nowym mitom i obrzędowi, zadomowić się w semiotycznym pejzażu swojej ojczyzny. Pałac Kultury fascynuje więc je na równi z Katedrą oliwską, a pochod pierwszomajowy konkuruje z procesją Bożego Ciała. To rozpoznawanie i osvajanie świata — świata w drodze do totalitarnego

1. Stefan Chwin, *Krótką historią pewnego żartu* (Sceny z Europy Środkowowschodniej, Oficyna Literacka, Kraków, 1991).

ujednoczenia, ale jeszcze wielobarwnego i pełnego sprzeczności — jest pracą samodzielną dziecka, zadaniem w którym jako „dziecko milczenia” może liczyć głównie na samego siebie.

Milczenie jest najstarszym wykopaliskiem tej „archeologicznej” eksploracji pamięci. Milczenie ojca — wymowniejsze niż wszystkie tyrady Hitlera i Stalina. Właśnie milczenie a nie Słowo było na początku tego prologu, i bez niego nic by się nie stało z tego co jest przedmiotem omawianej tu narracji:

„Więc właśnie brak słowa był przyczyną sprawczą, fundamentem mego istnienia i jeśli Pismo głosiło „na początku było Słowo i Słowo stało się Ciałem”, to w moim przypadku „na początku nie było Słowa i dzięki temu stałem się ciałem?” (s. 171)

Nieobecność słowa znaczy tu milczenie jako sposób na przeżycie w czasach dyktatury słowa, które stało się „jedyną prawdą”. Gdyby nie milczenie ojca — „we właściwym miejscu i we właściwym czasie” — ręka, która wskazała mu zburzone miasto nad brzegiem Bałtyku, mogłaby wskazywać „równiny rozświetlone blaskami polarnych zórz”. Dlatego ojciec nie lubił marnotrawców słowa, dlatego z taką lubością oddawał się „smakowaniu milczenia”. Było też milczenie Boga Ojca, którego oko w trójkącie nad wejściem do Katedry nawet nie zmrużyło powieki gdy ojciec musiał opuścić rodzinne Wilno i gdy tyle nieszczęść wkraczało w ludzkie losy.

W milczeniu Boga *fatum* kusiło dziecko swą potęgą. Milczenie ojca było też cichym przyzwoleniem na paktowanie z diabłem. Dwuznaczne więc było to milczenie i dwuznaczna potęga smaku, która za nim stała. Trzeba jednak przyznać, że — świadomie czy też nie — był to najlepszy sposób zawierzenia rozumowi, sumieniu i wyobraźni pogrobowców II Rzeczypospolitej. Musieli oni sami przejść ogniową „próbę smaku” i przekonać się, że jaki by on nie był, nie jest aż taką potęgą by miał odebrać „książętom naszych zmysłów” prawo do własnej, niezależnej degustacji świata.

Milczenie to, które było na początku, i które później towarzyszyło dziecku — jawi się w tej „archeologii pamięci” Stefana Chwina jako znak najbardziej wymowny. Nie tylko dlatego, że stało się ciałem, lecz również dlatego, że współtworzyło znaczenie wszystkich rzeczy, pozwalając im mówić własnym głosem i być słyszanych. Milczenie ojca pozwoliło ustanowić bezpośrednią łączność w świecie tak pełnym komunikacyjnych zakłóceń. Bez tej łączności niemożliwe byłoby ocalenie różnorodności rzeczy. Archeolog pamięci nie znalazłby dziś znaków ciągłości, i postkomunistyczna powieść nie byłaby możliwa.

Henryk SIEWIERSKI

Trwanie

*Trwanie w walce**, nowa książka wydana przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, opisuje los byłych polskich żołnierzy w Kanadzie. Jej autorzy, Edward Sołtys i Benedykt Heydenkorn, poddali „analizie” Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie, organizację skupiającą najliczniejszą grupę weteranów.

„Pokolenie polskich kombatantów osiadłych w Kanadzie po II wojnie światowej jest pokoleniem szczególnym. Jest częścią ciężko doświadczonego pokolenia wojennego. Wyróżnia się ono spośród innych tragizmem przebytej drogi, ogromem cierpień i wielkością dokonania”.

Przyjąwszy tę optykę, autorzy śledzą życie Stowarzyszenia, próbując dostrzec proces przekształcania się wojennych przeżyć i doświadczeń w symbolikę i mit oraz ocenić efekty zastosowanych ceremonii i rytuałów. Takie spojrzenie na dokumenty i nagromadzone archiwalia dało oryginalny i niecodzienny obraz. Jego ujęcie okazało się na czasie, gdyż w trakcie powstawania książki nastąpiło przekazanie wybranemu przez naród Prezydentowi insygnii Rządu Emigracyjnego z Londynu, symbolizujące jego rozwiązanie. Tym samym skończył się również okres „trwania w walce” Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

Stowarzyszenie to powstało z pilnej potrzeby, bo po likwidacji Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie zaistniała próżnia, którą starało się wypełnić. Za jego utworzeniem przemawiały racje polityczne, ale również psychologiczne, a nawet ekonomiczne. Dzięki niemu został utrzymany kontakt ze zdemobilizowanymi żołnierzami, zagubionymi i rozproszonymi po świecie, a oni z kolei poczuli się uczestnikami kontynuowanej akcji, zachowali swoją tożsamość a z racji zrzeszenia się reprezentowali pewną siłę przetargową.

Atmosferę beznadziei i rozczarowania, która zapanowała po rozwiązaniu armii polskiej, odmalowano w kluczowym rozdziale „Zal”. Były to czasy dla byłych żołnierzy bardzo dramatyczne; z szeregów zwycięskiego wojska niektórzy zdecydowali się na powrót do Polski, inni wstąpili do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w Wielkiej Brytanii, sporo zdemobilizowanych żołnierzy emigrowało do zamorskich krajów.

Kanada zgodziła się wówczas przyjąć cztery tysiące mło-

* Edward Sołtys, Benedykt Heydenkorn, *Trwanie w walce*. Canadian Polish Research Institute, Toronto 1992. Str. 247.

dych, samotnych żołnierzy, którzy mieli za czterdzieści pięć dolarów miesięcznie odpracować dwa lata na farmach tj. zastąpić miejsca opuszczone przez niemieckich jeńców wojennych. Za przykład doli tych ludzi może posłużyć los komandora Pławskiego, dowódcy łodzi podwodnych a później krążownika „Dragon”, który przez dwa lata pracował jako robotnik w tartaku.

Ideologią SPK było trwanie przy przysiędze żołnierskiej, co w parze z przyjmowaniem obcego obywatelstwa stwarzało pewną paradoksalną sytuację podwójnej lojalności. Tę postawę niepodległościową pielęgnowano i utrwalano przez przyjęcie ceremonialnego życia, przez regularne obchodzenie uroczystości, podczas których posługiwano się symboliką, mitami i rytuałem o źródłach zarówno polskich, jak i uniwersalnych. Do najważniejszych z nich należał mit o zwycięskiej bitwie o klasztor na Monte Cassino, przedstawianej niezwykle plastycznie z podkreśleniem wagi tej batalii dla żołnierza polskiego, którego zbiorowa świadomość porażona była takimi dotkliwymi ciosami jak Katyń i Jałta. W równym poszanowaniu była cześć dla bohatera poległego na polu walki. W tej aurze patriotyzmu nie brakowało elementów mesjanistycznych a wiele obchodów łączono z uroczystościami religijnymi.

Autorzy nie usiłują generalizować ani wysnuwać konkretnych wniosków, ale odwołują się do licznych wypowiedzi samych kombatantów, które ilustrują ich sposób myślenia i mówienia. Jest to próba uchwycenia ulotnych nastrojów, które z kolei pozwalają nam odczytać fakty. Książka zawiera fotografie oraz wybór znaczących tekstów, bibliografię i indeks osobowy.

Florian ŚMIEJA

Nadesłane nowości wydawnicze

- PANKOWSKI (Rafał). *Gdzie kończy się patriotyzm... Z dziejów polskich grup faszystowskich 1922-1992*. Str. 44. (Wyd. Kanalezja — Grupa Anty-Nazistowska, Bydgoszcz).
- GOMBROWICZ (Witold). *Bakakaj*. Str. 196 i 4 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Seria ABC, Kraków 1993).
- KRÓL (Franciszek). *Białe noce, czarne dni*. Wilno, Workuta, Warszawa 1939-1993. Str. 220. (Oficyna Liberalów i Dziennikarzy „Pod Wiatr”, Warszawa 1993).
- ŁAZOWSKI (Eugeniusz Sławomir). *Prywatna wojna*. Wspomnienia lekarza-żołnierza 1933-1944. Przemowa Jan Nowak-Jeziorański. Str. 268 i 6 nlb. (ilustracje). (Wyd. CiS — Cieślak i Szwejcer, 1993).

- Sarmacja*. Fragment dzieła Hartmanna Schedla *Liber chronicarum pt. O europejskiej Sarmacji* oraz Wawrzyńca Korwin-Nowotarskiego *Hortulus elegantiarum pt. Oda saficka o Polsce i jej stolicy Krakowie*. Tłumaczenie, komentarze, przypisy i przygotowanie do druku — Bogdan Deresiewicz, przedśłowiu Aleksander Janta. Tekst w języku polskim i angielskim. Str. 122 i 6 nlb. (Opracowanie i przygotowanie do druku w Oficynie Stanisława Gliwy w Londynie w 1970-1973, wydano w Oficynie Drukarskiej Książnicy Miejskiej im. M. Kopernika w Toruniu w 1992 r.).
- AFTANAZY (Roman). *Dzieje rezydencji na dawniejszych kresach Rzeczypospolitej*. Wydanie drugie przejrzane i uzupełnione. Tom 1 — *Województwa mińskie, mścisławskie*. Str. 335 i 3 nlb. Tom 3 — *Województwo trockie, Księstwo Żmudzkie, Inflanty Polskie, Księstwo Kurlandzkie*. Str. 409 i 7 nlb. (Zakład Narodowy im. Ossolińskich Wydawnictwo, Wrocław-Warszawa-Kraków 1991 i 1992).
- ŁUKASIEWICZ (Jacek). *Mali mistrzowie*. Wiersze. Str. 52. (Biblioteka Wrocławskiego Oddziału SPP, Wyd. Pluton, Świdnica 1993).
- MACHYNIA (Jan). *Przekazanie władzy*. Wstęp dr Edward Przychodaj. Str. 40. (Warszawa 1993).
- Żywią, bronią, gospodarują*. Dokumenty programowe. Str. 117 i 3 nlb. (Polskie Stronnictwo Ludowe, Warszawa 1993).
- KOWALEWSKI (Włodzimierz). *Cztery opowiadania o śmierci*. Str. 95 i 9 nlb. (Biblioteka Oddziału Bydgosko-Toruńskiego Pisarzy Polskich, Wyd. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1993).
- STEFANIUK (Franciszek Jerzy). *Chlebie niechciany*. Wiersze. Str. 80.
- Budowanie Arki*. Str. 36. (Biblioteka Wiedzy Potrójnej, Pracownia Doskonalenia Wewnętrznego „Arka”, Bielsko-Biała 1993).
- ŚMIEJA (Florian). *Przezorność czasu*. Wiersze z brulionu. Str. 32. (Wyd. Slican House, London, ON Kanada 1992).
- CHOJNACKI (Wojciech), JASTRZĘBSKI (Marek). *Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce*. Tom drugi (1. I. 1986 — 31. XII. 1987). Str. 328. (Wyd. Editions Spotkania, Warszawa).
- Między Wschodem a Zachodem — Rzeczpospolita XVI-XVIII w.* Studia ofiarowane Zbigniewowi Wójcikowi w siedemdziesiąt rocznicę urodzin. Praca zbiorowa. Str. 260 i 4 nlb. (Wyd. Fundacji „Historia pro futuro” i PAN Instytut Historii, Warszawa 1993).
- LACKO (Michael, S.J.). *Przymusowa likwidacja Unii Użhorodzkiej*. Przekład Tomasz Marek Leoniuk. Str. 62 i 2 nlb. Biblioteka Towarzystwa „Pomost” t. III. (Wyd. Międzymorze, Miensk 1993).
- AFTANAZY (Roman). *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Część I — *Wielkie Księstwo Litewskie*. Tom 4 — *Województwo wileńskie* (wydanie drugie przejrzane i uzupełnione). Str. 548 i 4 nlb. (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków 1993).
- Krasnogruda*. Jesień 93 nr 1 (pierwszy numer tego pisma poświęconego narodom Europy środkowowschodniej i ich kulturze). Str. 192. (Wyd. Fundacja „Pogranicze” i Ośrodek „Pogranicze sztuk, kultur i narodów”, Sejny - listopad 1993).
- DOENHOFF (Marion, Gräfin). *Dzieciństwo w Prusach Wschodnich*. Tłumaczenie Ewy i Jerzego Czerwiakowskich. Str. 168 i 16 nlb. — ilustracje. (Wyd. „Słowo”, Berlin 1993).
- DUNIN-WĄSOWICZ (Krzysztof). *Polski ruch socjalistyczny (1939-1945)*. Str. 338. (Wyd. Instytut Historii PAN, Warszawa 1993).
- NOWAK (Roman). *Rozpierzchnięcia*. Poezje. Szata graficzna Prze-

- sław Kornacki. Strony nienumerowane. (Wyd. Artystyczne book-art, Poznań 1993).
- Ethos*. Nr 21/22, 1993. (Numer kwartalnika poświęcony Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II w piętnastą rocznicę pontyfikatu. Str. 382 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Jana Pawła II, KUL, Lublin 1993).
- CZERNIAWSKI (Adam). *Poezje zebrane 1952-1991*. Str. 276 i 2 nlb. (Wyd. PPHU „Wist.Poligrafia”, Zgierz 1993).
- IWAŃSKA (Alicja). *Potyczki i przywiera*. Pamiętnik 1918-1985. Str. 520 i 16 nlb — reprodukcje fotografii. (Wyd. Gebethner i Ska, Warszawa 1993).
- MOSZKOWICZ (Michał). *Lithium*. Str. 102. (Wyd. Polonica Förlag, Tullinge, Szwecja 1993).
- ŁĘCKI (Wojciech). *Zamęt po firmament*. Wiersze. Rysunki Jacka Frankowskiego. Str. 76 i 4 nlb. (Wyd. nakładem autora, Łódź — wrzesień 1993).
- BOLECKI (Włodzimierz). *Prawdy niemiłe*. Eseje. Str. 212. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1993).
- Stulecie Polskiej Partii Socjalistycznej 1892-1992*. Materiały sesji naukowej Towarzystwa Miłośników Historii i Towarzystwa Naukowego im. Adama Próchnika, zorganizowanej w dniach 8-9 czerwca 1992 r. Zespół redakcyjny: Marian Marek Drozdowski, Jerzy Myśliński, Janusz Sujeci, Anna Żarnowska. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo Miłośników Historii w Warszawie, Instytut Historii PAN, Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”, Warszawa 1993).
- Z dziejów Polskiej Partii Socjalistycznej*. Str. 40. (Wyd. Komitet Obchodów Stulecia PPS, Towarzystwo Naukowe im. Adama Próchnika, Warszawa 1992).
- RATAJCZAK (Józef). *Czucie i wiara*. Wiersze. Str. 34 i 2 nlb. (Wydawnictwo WiS, Poznań 1993).
- LENCZEWSKI (Tomasz B.). *Józef Piłsudski w bibliografii* Str. 36. (Wyd. nakładem Autora. Łódź-Warszawa 1993).
- RYBCZYŃSKI (Aleksander). *Zmiany miejsca*. Wiersze. Str. 44 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo Zachęty Kultury, Katowice 1993).
- GRYNBERG (Henryk). *Dziedzictwo*. Str. 90 i 6 nlb. (Wyd. ANEKS, Londyn 1993).
- JEDLIICKI (Jerzy). *Żle urodzeni czyli o doświadczeniu historycznym*. Scripta i postscripta. Str. 178 i 2 nlb. (Wyd. ANEKS, Londyn-Warszawa 1993).
- KERSTEN (Krystyna). *Między wyzwoleniem a zniewoleniem*. Polska 1944-1956. Str. 196 i 2 nlb. (Wyd. ANEKS, Londyn 1993).
- BRANDYS (Kazimierz). *List do pani Z*. Str. 192. (Wyd. ANEKS, Londyn 1993).
- ŁAPTOS (Józef). *Dyplomaci II R.P. w świetle raportów Quai d'Orsay*. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1993).
- BUZURA (Augustin). *Chemin de cendres*. Z rumuńskiego przełożył Jean-Louis Couriol. Str. 352 i 8 nlb. (Wyd. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1993).
- BEAUVOIS (Daniel). *La bataille de la terre en Ukraine 1863-1914*. *Les Polonais et les conflits socio-ethniques*. Str. 346 i 6 nlb. (Wyd. Presses Universitaires de Lille, Lille 1993).
- MROŻEK (Sławomir). *Dessins humoristiques et satiriques 1. La Pologne en images. Vu par Sławomir Mrozek*. Tłumaczenie z polskiego André i Zofii Kozimor. Oeuvres complètes IV. Str. 362 i 6 nlb. (Les Editions Noir sur Blanc, Montricher, Suisse 1993).
- PANNÉ (Jean-Louis). *Boris Souvarine — Le premier désenchanté du communisme*. Str. 490 i 4 nlb. (Wyd. Robert Laffont, Paryż 1993).
- Innovation, Research & Development — Poland 1993*. Str. 434 i 6 nlb. (Wyd. Business Foundation, Warszawa 1993).

- SEMENOFF-TIAN-CHANSKY (Irene). *Le pinceau, la faucille et le marteau. Les peintres et le pouvoir en Union Soviétique de 1953 a 1989*. Przedmowa Basile Kerblay. Str. 328. (Wyd. IMSECO i Institut d'Etudes Slaves, Paris 1993).
- NOWOTNA (Magdalena). *Le sujet et son identité dans le discours littéraire polonais contemporain*. Analyse sémio-linguistique. Str. 344 i a do k + 3 nlb. Streszczenie w języku polskim. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves i Polska Akademia Nauk, Instytut Języka Polskiego w Krakowie, Paris 1993).
- MAREK (Edmond). *Du Bellay et Kochanowski — défenseurs et illustrateurs de la langue nationale*. Str. 40. (Wyd. Club Culturel „Polonia-Nord”, Lille 1993).
- MAREK (Edmond). *Le voyage de Jean Kochanowski en France*. Str. 28. (Wyd. Club Culturel „Polonia-Nord”, Lille 1993).
- Cahiers de l'émigration russe 2. Vladimir Nabokov et l'émigration* (sous la direction de Nora Buhks). Str. 120 i 8 nlb. (Wyd. Editions de l'Institut d'Etudes Slaves, Paris 1993).
- Sibérie III — Questions sibériennes — Les peuples du Kamtchatka et de la Tchoukotka* (sous la direction de Boris Chichlo). Str. 309 i 11 nlb. (Wyd. Ed. IRENCISE i Institut d'Etudes Slaves, Paris 1993).
- OSTROWSKI (Frank). *The Road and the Passer-by*. Str. 356 i 6 nlb. (Wyd. Roman Migocki i Wojtek Ihnatowicz w Australii 1992).
- JEDRKIEWICZ (Edwin). *The Pupets of Master Damian*. Tłumaczyła z polskiego Margaret N. Watson. Str. 288. (Wyd. Ergon Press, Londyn 1993).
- LAUB (Gabriel). *Mein lieber Mensch. Gespräche mit dem Vogel* wraz z 60 szkicami Mariana Kamensky'ego. Str. 298 i 6 nlb. (Wyd. Langen Müller, München 1993).
- CHMIELEWSKI (Stanisław i Zygmunt). *Due fratelli nel Gulag. Cronache di avventure non eroiche nell'URSS di Stalin*. Str. 274 i 6 nlb. (Wyd. Edizioni l'Arciere Cuneo, 1993).
- WOS (Jan W.). *Sulle Chiese dell'Est*. Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. Dipartimento di Scienze Filologiche e Storiche, Trento 1993).
- WITKIEWICZ (Stanisław Ignacy). *Onverzadingbaarheid*. Holenderskie tłumaczenie *Nienasyenia* — Karol Lesman. Str. 574 i 2 nlb. (Wyd. Meulenhoff Editie, Amsterdam 1993).
- KATZ (Janina). *Mit liv som Barbar*. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Vondrose, Kopenhaga-Valby 1993).
- Neohelicon. Acta comparationis litterarum universarum*. XX, 1. 1993. W językach angielskim, francuskim i niemieckim. Str. 364 i 4 nlb (Wyd. Akademiai Kiado, Budapest & John Benjamins B.V. Amsterdam 1993).
- Poland's Memorandum to the Peace Congress in Rome November 1891*. Redakcja Emanuel Halicz. Nadbitka z University of Copenhagen Institute of East European Studies. Str. VI + 24. W języku duńskim, angielskim i francuskim. (Wyd. Kobenhavns Universitets Osteuropainstitut, Kopenhaga 1993).
- BOCHENSKYJ (Ju.). *Sto Sufewierii*. Kratkij filozofskij słowar pieredrassudkov. Przekład z polskiego wydania *Sto zabobonów* M.M. Gurienko. Str. 186 i 4 nlb. (Wyd. Izdatielskaja Gruppya „Progriss-Via”, Moskwa 1993).
- MORETO (Augustin). *Antes morir que pecar (San Casimiro)* (tekst w języku hiszpańskim). Redakcja — Florian Śmieja. Str. 98. (Wyd. Studies in Modern Languages at Western, Seria II, London, ON Kanada 1992).
- JANIV (Wołodimir). *Narisy do istorii ukraińskoj etnopssihotohii*. Str. 128 i 8 nlb. (Wyd. Ukraiński Wilnyj Universitet, Seria: Pidruczniki cz. 13. Monachium 1993).

Polemiki

Warszawa, 21 października 1993 roku

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 9/552 *Kultury* opublikowany został list pana Jerzego Derenia wraz z komentarzem pana Andrzeja Kowalczyka pod łącznym tytułem „Sprawa KOLPAKU”. Sprawę można by uznać za bulwersującą, gdyby przedstawiona w publikacji sytuacja odpowiadała prawdzie.

Nowoczesna kolej, sprawnie zarządzana i elastycznie reagująca na potrzeby klientów nie może się obyć bez efektywnych systemów informatycznych. W przypadku przedsiębiorstw transportowych o dużym zasięgu terytorialnym podstawę takich rozproszonych systemów komputerowych stanowią rozległe sieci telekomunikacyjne, zapewniające wymianę informacji między komputerami. Na świecie rozwijane są w tej dziedzinie równoległe dwie technologie: sieci z komutacją pakietów i sieci cyfrowe z integracją usług (ISDN).

Sieci z komutacją pakietów, według standardu X.25 CCITT, są obecnie najbardziej rozpowszechnione tak dla świadczenia usług publicznych, jak i w sieciach tzw. prywatnych (banki, koleje, policja, wojsko, służby celne, uniwersytety). Ich zaletą jest możliwość oszczędnego, ale również bezpiecznego (poufność!) przekazywania danych po istniejących analogowych łączach telefonicznych.

Sieci cyfrowe z integracją usług (ISDN — Integrated Services Digital Network) są rozwiązaniem opartym na cyfrowych urządzeniach centralowych i transmisyjnych, zapewniającym transmisję zarówno mowy (łączność telefoniczną) jak i danych.

Technologia ISDN nie mogła i nie może stanowić alternatywy dla sieci z komutacją pakietów, ponieważ kosztowny proces „cyfryzacji” sieci telekomunikacyjnej PKP dopiero się rozpoczyna i będzie trwał kilkanaście lat. Dopiero wówczas technologia ta obejmie geograficznie obszar kolei możliwy do wdrożenia w technologii sieci pakietowej KOLPAK w ciągu zaledwie 2 lat.

W tej sytuacji oczywista i uzasadniona jest decyzja PKP o budowie sieci z komutacją pakietów, która to sieć od początku 1994 roku służyć będzie pierwszym zastosowaniom użytkowym takim jak Centralny System Rezerwowania Miejsc i Sprzedaży Biletów, a następnie sukcesywnie kolejnym etapom Systemu Kierowania Przewozami i Zarządzania Przedsiębiorstwem PKP. Tradycyjna sieć telefoniczna czy sprawnie działający telegraf mogą sprostać tym zadaniom tylko w wyobraźni pana Jerzego Derenia.

Podobną, jak PKP, strategię przyjęły również inne koleje w Europie, które równocześnie z budową sieci ISDN utworzyły w ostatnich latach sieci pakietowe, bądź są w trakcie ich realizacji (koleje niemieckie i austriackie). W ramach Międzynarodowego Związku Kolei (UIC — z siedzibą w Paryżu) zaawansowane są prace nad ujednoczeniem wymiany danych między kolejami europejskimi poprzez utworzenie międzynarodowej sieci, łączącej narodowe sieci pakietowe działające właśnie w standardzie X.25.

Przygotowanie specyfikacji technicznej, a następnie wybór dostawcy w otwartym przetargu, w którym uczestniczyło kilkanaście czołowych firm światowych, trwały kilkanaście miesięcy i stawały oferentom bardzo wysokie wymagania dla dostarczonego sprzętu i oprogramowania.

Nawiązując do zawartych w artykule uwag dotyczących nowoczesności rozwiązań technicznych sądzimy, że firma Sprint International samodzielnie ustosunkuje się do inwektyw pod jej adresem. Stwierdzamy jedynie, że dostawy sprzętu dla PKP pochodzą z bieżącej produkcji, referencje obejmują ponad 200 firm, w tym wielkie koncerny, zaś analogiczne urządzenia firmy Sprint instalowane były ostatnio w takich instytucjach jak: koleje holenderskie, koleje fińskie, Rabo Bank w Holandii, Telekurs (sieć obsługi banków) w Szwajcarii. Ewentualnym korzystaniem z sieci KOLPAK zainteresowane są liczne instytucje krajowe, m.in. Senat RP.

Niezależna firma Dataquest oceniająca zachodnioeuropejski rynek prywatnych sieci pakietowych w publikacji z marca 1992 na pierwszym miejscu wśród dostawców sieci pakietowych wymienia firmę Sprint z 14% udziałem w rynku.

Podziwiamy pewność siebie, z jaką p.p. Dereń i Kowalczyk bez sprawdzenia elementarnych faktów wprowadzają w błąd opinię publiczną na Waszych łamach.

Z poważaniem

Mgr inż Krzysztof CELIŃSKI

(Dyrektor Departamentu Kolejnictwa —
Ministerstwo Transportu i Gospodarki Morskiej)

28.10. 1993

Szanowny Panie Redaktorze,

(...) W sprawie sieci KOLPAK 5-go sierpnia byłem na rozmowie w Naczelnym Zarządzie Automatyki i Telekomunikacji w Warszawie. Mojego rozmówcę, pana Jana Maciejewskiego pytałem o uzasadnienie potrzeby posiadania przez PKP sieci KOLPAK i odpowiedzi nie otrzymałem. Ponad miesiąc czekałem na materiały zawierające uzasadnienie. Gdy pan Maciejewski nie spełnił obietnicy uznałem, że uzasadnienia nie ma i wysłałem do Najwyższej Izby Kontroli wniosek o kontrolę w tej sprawie. W ostatni poniedziałek inspektor, pan Koprowski, powiadomił mnie o podjęciu kontroli i prosił o pomoc w ukierunkowaniu prac Komisji.

Jerzy DEREN

OŚWIADCZENIE

Londyn, 27.10.1993

W czerwcu i we wrześniu br. opublikowałam w paryskiej *Kulturze* dwie wypowiedzi o prof. Józefie Garlińskim, które on uważa za oszczercze. Nie przypuszczałam, że moje uwagi mogły być wzięte za oszczerstwo, ale bez żadnych warunków przeproszam prof. Garlińskiego, jeśli poczuł się nimi dotknięty.

Stefania KOSSOWSKA

Cooma, 10 listopada 1993

Drogi Panie Redaktorze,

W styczniowym numerze *Kultury* (1993) zamieszczony był artykuł Sławomira Magali pt. „Przeciwko zbowidzeniu”, omawiający losy krajowego pisma *Student*. Ostatni paragraf brzmi:

„Dlatego szkoda mi *Studenta* raczej dlatego, że nie potrafiliśmy nim zainteresować młodszego od nas pokolenia i *czasopismo nie odkryło własnej formuły na przetrwanie (podobnie jak jej nie odkrył Giedroyc i chce paryską Kulturę zabrać do grobu)*”. (Podkreślenie moje — A.N.).

Można zaryzykować opinię, że p. Magala myli się pod oboma względami. Już powierzchowny przegląd wskazuje na to iż w ciągu dziesięciu miesięcy od twierdzenia/prognozy Magali uka-

zały się w *Kulturze*: imponująca ilość artykułów o Kraju pióra autorów krajowych; 21 krajowych listów do redakcji (na ogólną ilość 43-ch); 46 odpowiedzi na listy z Polski (na 86). Jediną dysproporcją były tylko dwie wpłaty na Fundusz *Kultury* (na 113) — ale to chyba da się wyjaśnić sytuacją ekonomiczno-walutową.

Reasumując, wygląda na to że zamiast perspektywy pochowania pisma — w oby jak najdalszej przyszłości — wręcz przeciwnie, jeszcze raz potwierdza się fenomen magnetyzmu miesięcznika z Maisons-Laffitte, który miesiąc w miesiąc, już od półwiecza przyciąga do współpracy śmietankę eseistów, od literackiego reportażu do analizy ekonomiczno-politycznej.

Ad multos annos!

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

PS: Dwa razy „dlatego” w pierwszym wierszu cytatu może być niedopatrzaniem stylistycznym lub drukarskim. (*Kultura* nr 1-2/93, str. 173).

Arlington, Mass., 27 października 1993 roku

Szanowny Panie Redaktorze,

Odnosnie „przedzalnicznej” zwrotki hymnu narodowego („Przedziem Wisłę, przedziem Wartę”, a już bez zgrywy „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę”), nad której znaczeniem zastanawiał się p. Włodzimierz Bolecki (w nrze 10/93 *Kultury*), słusznie kwestionując jej rozumienie przez dziś śpiewających ją rodaków, pragnę zwrócić uwagę na rzecz następującą, której Sz. P. autor rozważał na ten temat chyba nie dostrzegł.

Zwrotka ta jest na pozór niedorzeczna: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami” — więc jak to, czyżby śpiewający ją we Włoszech legionieści nie byli Polakami? Owszem, byli (w większości), ale w dzisiejszym, etnicznym znaczeniu. Sedno tkwi w tym, że słowo „Polak” użyte tu zostało w znaczeniu „obywatel Polski” w takim sensie, w jakim Polskę rozumiano za I Rzeczypospolitej, tj. jako synonim Rzeczypospolitej. Po upadku Rzeczypospolitej „Polacy” w takim znaczeniu przestali nimi być i mogli się nimi stać znowu dopiero po przekroczeniu Wisły (od strony Włoch, więc gdzieś w Małopolsce) i Warty i po odbudowaniu dzięki temu Rzeczypospolitej.

A co do barbarzyństwa artykułu prof. dra hab. W. Urbana — pełna zgoda i solidarność z *Kulturą*.

dr hab. Bohdan STRUMIŃSKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

30. 9. 93

30-osobowa delegacja Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy i Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie udała się na Górę Krzyży pod Szawłami i umieściła na niej, za zgodą biskupów litewskich, drewniany, trzymetrowy krzyż dębowy. Krzyż ten został wykonany bezinteresownie przez prof. Andrzeja Strumiłłę z Maćkowej Rudy pod Sejnamy.

9. 10. 93

Zmarł w Szczecinie w wieku 83 lat prof. Piotr Zaremba, pierwszy powojenny prezydent Szczecina, członek rzeczywisty PAN, rektor Politechniki Szczecińskiej, brat znanego historyka Pawła Zaremby.

22. 10. 93

Na Uniwersytecie Warszawskim Ogólnopolski Klub Miłośników Litwy i Towarzystwo Polska-Ukraina zainaugurowały roczny cykl wykładów o Europie Środkowo-Wschodniej referatem dr. Janusza Onyszkiewicza pt. „Problemy obronności Europy Środkowo-Wschodniej”.

23. 10. 93

Zmarł w Warszawie w wieku 77 lat prof. Wacław Felczak, historyk, w czasie ostatniej wojny szef kurierów tatrzańskich. Był wybitnym znawcą historii Węgier.

25. 10. 93

Staraniem Polskiej Akademii Umiejętności odbyła się w Krakowie Ogólnopolska Konferencja Historyków na temat „17-ty wrzesień 1939 r.”.

26. 10. 93

W pobliżu przejścia granicznego Choczołów — Sucha Hora, na zachód od Zakopanego, odsłonięty został głaz-pomnik ufundowany przez Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie, upamiętniający powrót Marszałka E. Rydza-Śmigłego do kraju po ucieczce z internowania w Rumunii.

31. 10. 93

Zmarła w Warszawie w wieku 89 lat prof. Lidia Winniczuk, redaktor naczelny miesięcznika *Meander*.

4. 11. 93

W Muzeum Narodowym w Warszawie została otwarta wystawa rzeźb Augusta Zamoyskiego w 100-lecie urodzin artysty.

6. 11. 93

Kapituła Nagrody Kisiela przyznała trzy Nagrody Kisiela za rok 1993: Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, Januszowi Lewandowskiemu oraz ks. prof. Józefowi Tischnerowi.

10. 11. 93

Polski Ruch Monarchistyczny nadał tytuły książęce Leonowi Jończykowi (artysta-plastyk, mieszkający w Monachium), Adamowi Michnikowi, Krzysztofowi Pendereckiemu, Zbigniewowi Relidze i Jerzemu Urbanowi. ■ Ogłoszono w Moskwie, że Polska nie otrzyma zgody na łowienie ryb na Morzu Ochockim. Oznacza to, że pracę utraciliby około 100 tysięcy osób w Polsce, a straty sięgnęłyby 2 bilionów złotych.

15. 11. 93

Uniwersytet Wrocławski nadał profesorowi P. Wandyczowi tytuł doktora *honoris causa* tej uczelni.

22. 11. 93

W Bibliotece Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk została otwarta wystawa Stanisława Gliwy (1910-1986) pt. „Żołnierz, artysta książki”.

ZACHÓD

11. 9. 93

Zmarł w Belgii w wieku 82 lat Stanisław Merło, przyjaciel *Kultury* i jej wierny czytelnik od 1949 r., działacz społeczny, prezes honorowy SPK oddział Belgia.

18. 10. 93

Zmarł w Genewie w wieku 75 lat Krzysztof Górski, prezes Fundacji im. Kościelskich.

21. 10. 93

Zmarł w Belgii w wieku 58 lat Henryk Kurta, dziennikarz polski i belgijski. Był jednocześnie wykładowcą College d'Europe w Bruges.

22. 10. 93

W ramach III Rapperswilskich Dni Literatury odbyło się spotkanie z pisarkami: Idą Fink i Hanną Krall.

23. 10. 93

W Domu Kombatanta w Paryżu została otwarta wystawa „Powstanie warszawskie”, zorganizowana przez Towarzystwo Historyczno-Literackie oraz SPK w Paryżu. Wystawa została otwarta przez prezesa SPK we Francji, Jerzego Ursyna Niemcewicza. ■ Staraniem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku oraz Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej Uniwersytetu Columbia odbyła się konferencja, której tematem było powstanie niepodległej Europy Środkowo-Wschodniej. Pierwsza sesja, pod przewodnictwem prof. Wandycza, dotyczyła Jugosławii, Węgier i Czechosłowacji. Następną sesją dotyczyła Polski. A trzecia i ostatnia sesja była poświęcona mocarstwom zachodnim.

26. 10. 93

Komitet Funduszu im. Jerzego Łojka przy Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku przyznał nagrodę w wysokości 1000 dolarów Romanowi

Aftanazemu za wspianą pracę „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej” wydaną przez Ossolineum we Wrocławiu.

4.11.93

W Modern Art Gallery w Paryżu staraniem Instytutu Polskiego została otwarta wystawa malarzy krakowskich. Wystawiano obrazy Gawina, Jakowlew-Stozka, Madej-Kruszelnickiej, Misiaka, Rodzińskiego, Sprychy, Wsiółkowskiego, Ząbkowskiego.

5.11.93

Staraniem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie odbył się wieczór, na którym dr Samuel Scheps wygłosił odczyt „Julian Tuwim — 40-lecie śmierci”.

8.11.93

Na uroczystej akademii 75-lecia odzyskania niepodległości redaktor Benedykt Heydenkorn został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej nadanym przez prezydenta Wałęsę.

11.11.93

Prof. dr Jan Ciechanowski został odznaczony przez Ministra Edukacji Narodowej Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

19.11.93

W Centre du Dialogue w Paryżu Jan Parys wygłosił odczyt „Krajobraz po bitwie”. Poprzednio: 5 listopada, miał miejsce wieczór dla upamiętnienia 20-jej rocznicy śmierci ambasadora, Kajetana Morawskiego. Przemawiali Krzysztof Rutkowski — „Kajetan Morawski — romantyczny klasyk, czyli paradoks błękitnej krwi” oraz Andrzej Dobosz — „Archiwum dyplomatyczne Kajetana Morawskiego”, zaś 12-go listopada prof. Jerzy Kłoczowski wygłosił odczyt „Polska a Europa Środkowo-Wschodnia”.

25.11.93

Na Uniwersytecie Paris VI — Sorbonne odbył się odczyt profesora Uniwersytetu Śląskiego, Aleksandra Wilkonia pt. „La typologie des styles dans la poésie polonaise contemporaine”. ■ W Studiu Sienko w Londynie została otwarta wystawa Konstantego Brandla (1880-1970).

29.11.93

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się tradycyjne zebranie dla uczczenia 163-jej rocznicy powstania listopadowego, na którym p. Zofia Stefanowska, profesor w Instytucie Badań Literackich w Warszawie, wygłosiła po francusku wykład „Geniusz poety, geniusz narodu: Adam Mickiewicz a powstanie listopadowe”.

30.11.93

Pierre de Villemarest, dyrektor Europejskiego Centrum Informacji, wygłosił w lokalu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Paryżu odczyt w języku francuskim pt. „Wpływ wyników wyborów w Rosji na sytuację polityczną w Europie”.

Listopad 93

W Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryżu miały miejsce następujące spotkania: 6-go listopada odbył się wieczór pod przewodnictwem p. Ewy Łętowskiej, poświęcony muzyce litewskiej wczoraj i dziś. Odczyt wygłosił p. Osvaldas Balakauskas, ambasador litewski w Paryżu oraz Giedrius Gapšys. 9-go listopada miał miejsce *table ronde* na temat „Kryzys filozofii historii” z wprowadzeniem prof. J. Topolskiego z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. 16.11. prof. Piotr Stonimski z Centre de Génétique Moléculaire CNRS wygłosił odczyt „Wspomnienia autobiograficzne”. Na początku zebrania Ambasador RP w Paryżu, Jerzy Łukaszewski, wręczył prof. Piotrowi Stonimskiemu Komandorię Orderu Zasługi z Gwiazdą. 26-go listopada miało miejsce *table ronde* na temat „Groby polskie we Francji — źródło historii emigracji XIX i XX wieku”. 30-go listopada prof. Michaił Nariński z Rosyjskiej Akademii Nauk wygłosił odczyt: „ZSSR, Polska i Plan Marshalla”.

Kronika kanadyjska

Na zaproszenie KPK Okręg Toronto i Polskiego Instytutu Naukowego ambasador R.P., prof. Tadeusz Diem, wygłosił 15 października br. w domu SPK prelekcję na temat „Założenia systemu edukacyjnego w Polsce a współpraca polsko-kanadyjska”. ■ W ostatniej kampanii wyborczej przywódcy stronnictw wypowiedzieli się na temat imigracji — narzucony im przez prasę i niektóre organizacje społeczne. Wszyscy opowiedzieli się za selektywnością, za przyjmowaniem imigrantów tylko według potrzeb rynku pracy i posiadających odpowiednie kwalifikacje. Niektórzy wypowiedzieli się za ograniczeniem ilości do 150.000 rocznie. W kilku ostatnich latach przybywało do Kanady rocznie do 250.000 imigrantów. Z Polski w 1991 r. przybyło 15.479 imigrantów, w pierwszym półroczu 1992 r. — 5.441, a według nieoficjalnych danych ogółem w 1992 r. — ponad 14.000. W ostatnich falach znajduje się spora ilość członków rodzin oraz osób przybyłych na zaproszenia. W okresie 1981-1991 przybyło ogółem 95.202 polskich imigrantów, a ponad 70 % osiedliło się w prowincji Ontario. Sytuacja na rynku pracy w Kanadzie jest trudna, a dla nowych imigrantów wręcz zła. Wielu utrzymuje się z zasiłków publicznych, które kurczą się. Notuje się powroty przybyszów ostatniej fali. Niektóre źródła utrzymują, iż w ubiegłym roku ponad 1.000 osób powróciło do Polski. Jeden z powracających po 5-iu latach stwierdził, że Kanada nie tylko nie jest rajem dla imigrantów, ale że napotyka

oni na przeszkody i trudności na wszystkich odcinkach. Jego zdaniem prasa polonijna winna przestrzegać przed emigracją do Kanady. ■ 24 października br. Witold Lutosławski wystąpił w Toronto z koncertem swoich utworów. Krytycy muzyczni zgodnie stwierdzili, iż jest on nie tylko znakomitym polskim kompozytorem, ale i jednym z najznakomitszych współczesnych muzyków światowych. W ramach programu obchodów 50-lecia Polskiego Instytutu Naukowego Lutosławski — jako gość honorowy — wygłosił w języku francuskim prelekcję o muzyce współczesnej. 27 października br. Uniwersytet McGill uczynił go doktorem *honoris causa*. ■ Na polonijnym rynku prasowym zaszły pewne zasadnicze zmiany. Ukazujące się w Toronto pismo *Gazeta* (trzy razy w tygodniu) przeszło na dziennik, ukazujący się 5 razy w tygodniu. Wydawcą i redaktorem naczelnym jest Zbigniew Bełz, wywodzący się z „Solidarności”. Pismo to ma biuro krajowe we Wrocławiu, które dostarcza mu informacje i materiały krajowe i międzynarodowe. *Związkowiec*, ukazujący się od 1933 r., od marca 1957 r. dwa razy w tygodniu, od października br. wychodzi trzy razy w tygodniu. Wskazuje to na wzrost zapotrzebowania na te pisma, ale również na walkę konkurencyjną na rynku prasowym. Tylko pisma — zresztą najstarsze — *Związkowiec* i *Głos Polski* są własnością społeczną, a mianowicie Związku Polaków w Kanadzie i Związku Narodowego Polskiego, a wszystkie inne wydawnictwa, tak w Toronto jak i innych prowincjach są własnością prywatną. ■ Związek Polaków w Kanadzie, Grupa 147 w Toronto, najstarsza i największa organizacja polonijna, przedstawiła organizacjom w Toronto projekt wzniesienia Domu Polonii-Centrum, w którym wszystkie organizacje znajdą pomieszczenie. Dom posiadać będzie sale na zebrania, występy artystyczne, wystawy, a ponadto znajdą się miejsca na przedsiębiorstwa handlowe. ZPwK ofiaruje teren pod budowę wartości 5 mln dolarów. Projekt przewiduje wkład finansowy wszystkich organizacji, a wielkość obiektu zależeć będzie od ich wkładów. Okręg Toronto Kongresu Polonii Kanadyjskiej popiera projekt i wzywa organizacje do udziału w jego realizacji. Wzniesienie wielkiego wspólnego obiektu polonijnego jest niejako nakazem „w obliczu sytuacji, w której większość organizacji, to instytucje jednopokoleniowe, których czas dobiega końca” — głosi KPK. ■ Wynik wyborów parlamentarnych, które odbyły się 25 października br., wydaje się więcej niż kłopotliwy dla zwycięzców i pokonanych. Rządząca 9 lat Partia Konserwatywna miała w rozwiązanej Izbie Gmin większość absolutną, dysponując 155 mandatami — użyła teraz 2 mandaty: przypadli (z wyjątkiem jednego) wszyscy ministrowie z przywódcą — premierem p. Kim Campbell na czele. Praktycznie więc zniknęła najstarsza historyczna partia kana-

dyjska. Niemal równą klęskę poniosła Nowa Partia Demokratyczna, stronnictwo lewicowe, rzecznik związków zawodowych, która jednak uratowała 8 mandatów z 43, które miała w poprzedniej Izbie. Liberalowie posiadali 79 mandatów, stanowili opozycję a obecnie odnieśli nienotowane dotąd zwycięstwo — 187 mandatów — w tym wszystkie (bez jednego) z Ontario. W Quebec przygniatające zwycięstwo odniósł separatystyczny Bloc Quebecois, który stanowi oficjalną opozycję. Na arenę polityczną wkroczyło nowe stronnictwo — Partia Reformy — podobnie jak Bloc Quebecois prowincjonalne na Zachodzie, zdobywając w Manitobie, Albercie i Brytyjskiej Kolumbii okręgi konserwatystów. Przywódca Liberalów, Jean Chretien, stanął na czele nowego rządu.

Toronto, 28 października 1993 r.

B. H.

Kronika norweska

Czerwiec 1993. Bezrobocie zbliża się do 200.000 osób (w skali Polski odpowiadałoby to 2 milionom). Wprowadzono ostre restrykcje w zatrudnianiu obcokrajowców. Nadal jednak obowiązuje 5-tysięczny kontyngent zezwoleń na pracę. Z tego większość przypada na Polaków. O zgodę musi wystąpić przyszły pracodawca na wiele miesięcy przed sezonem. ■ 10 czerwca zmarła śmiercią tragiczną mgr filologii Magdalena Wójcik urodzona w 1951 w Gdańsku. W latach 1980-1981 z-ca kierownika Działu Zagranicznego KK NSZZ Solidarność. Od 1982 zamieszkiwała w Norwegii. W okresie stanu wojennego współpracowała ściśle z biurem brukselskim Solidarność. ■ Mimo licznych *dementi* ambasady norweskiej w Warszawie w dalszym ciągu w prasie polskiej ukazują się ogłoszenia o pracy na platformach na Morzu Północnym, czy w innych zakładach norweskich. Cwaniacy biorą adresy z książek telefonicznych i podają je naiwnym. Ostatnio konsul RP w Oslo otrzymał plik podań o prace odesłany mu przez Philipsa. ■ Role myśliwych, mordujących stonie dla kości stonowej, przejęli obecnie norwescy wielorybnicy. Przynajmniej w mediach. Wbrew protestom omal całego świata Norwegia i Japonia zdecydowały się przeprowadzić próbny połów tych morskich ssaków. Kwota norweska choć niska, bo ustalona na 150 zwierząt, wzbudziła niesamowite emocje. Przeciwno harpunnikom

sprzysięgły się zgodnie media i organizacje ochrony środowiska, w tym Green Peace. Kilka zakładów norweskich jest na pograniczu bankructwa, gdyż niemieccy handlowcy z tego powodu zerwali kontrakty. ■ Norweski gaz i ropa naftowa zabezpieczają dziś 10 % potrzeb EWG. 60 % norweskich ryb łąduje na stołach mieszkańców Wspólnoty. ■ Za architekta podpisanego w Waszyngtonie 13 września br. porozumienia izraelsko-palestyńskiego uznaje się norweskiego ministra spraw zagranicznych J.J. Holsta. Norwegowie mając zaufanie obu stron doprowadzili po wielomiesięcznych tajnych rokowaniach do umowy. W chwili gdy porozumienie stało się faktem Holsta zgłoszono do pokojowej Nagrody Nobla. ■ 13 września w dniu wyborów parlamentarnych w Norwegii ogłoszono wyniki badania opinii publicznej dotyczące ewentualnego przystąpienia Norwegii do Wspólnoty Europejskiej. Przeciw było 58 %, za 31 %, reszta to niezdecydowani. ■ W wyborach Partia Pracy uzyskała 37 % głosów i powiększyła swój stan posiadania o kilka mandatów. Rządzący socjaldemokraci wygrali na pozytywnej koniunkturze gospodarczej, niskiej stopie procentowej i ostrożnej linii w stosunku do EWG. Zwycięzcą określa się też Partia Chłopska Centrum. Liczba posłów z tego ugrupowania zwiększyła się trzykrotnie. Partia ta wysunęła się na drugie miejsce w parlamencie. Chłopi sukces swój zawdzięczają zdecydowanej postawie w sprawie EWG. Dodajmy, postawie na bezwzględne NIE. Konserwatyści, którzy otwarcie walczą o miejsce Norwegii w Europie, przeżyli klęskę. W latach osiemdziesiątych mieli dwukrotnie więcej posłów niż obecnie. Bardzo słabo wypadła Prawicowa Partia Postępu i Lewicowi Socjaliści. Do nowego parlamentu wszedł w Oslo przedstawiciel maoistów. Premier kraju Pani Gro Harlem Bruntland dalej pozostaje na swym stanowisku. ■ Równocześnie z wyborami do parlamentu odbyły się w całym kraju wybory do Sametingu. Takiego sejmiku dla Lapończyków norweskich. Przy okazji rejestracji wyszło na jaw, że największe ich zgrupowanie mieszka w stolicy. Sejm Lapończyków składa się z 39 posłów. Prezydentem zgromadzenia jest Ole Henrik Magga 46-letni profesor Uniwersytetu w Oslo. Sameting został wybrany po raz drugi, na okres 4 lat. Zajmuje się sprawami kulturalnymi, społecznymi i gospodarczymi Lapończyków norweskich. ■ 15.09.93. Porwanie samolotu kursowego Aeroflotu z Baku do Permu skończyło się lądowaniem w Oslo. Po wielogodzinnych rokowaniach porywacze zwolnili wszystkich zakładników i oddali się w ręce policji. ■ W wyborach w ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Oslo głosowało 440 osób. 45 % głosów dostała Unia Demokratyczna. Na SLD głosowało 4 %. ■ Władze Rosji ostrzegły Norwegię przed zorganizowanym szmugłem ludzi. Ma on miejsce na półwyspie Kola, gdzie oba państwa bezpośrednio

ze sobą graniczą. Podobnie jak u nas również i tu przybysze z byłego imperium sowieckiego zadomowili się jako sprzedawcy uliczni. Są również prostytutki, handlarze alkoholi i narkotyków. Szmugiel towarów idzie przez granice w sposób prawie nie kontrolowany. Norwegowie z kilkoma celnikami są bezsilni. ■ Październik 1993. Giełda w Oslo przeżywa największy od 10 lat wzrost cen akcji. Większość banków, towarzystw ubezpieczeniowo-kredytowych i dużych koncernów wykazuje pozytywne rezultaty. Przemysł norweski przez ostatnie lata potrafił się dostosować do zagranicznych konkurentów. Wpływ na to miała między innymi polityka związków zawodowych, które potrafiły zrezygnować z istotnych podwyżek pensji na rzecz obrony miejsc pracy. Inną przyczyną jest spadek oprocentowania. Jest ono aktualnie prawie najniższe w Europie. Pożyczki mające pewne zabezpieczenie w nieruchomościach można otrzymać już w granicach 7-8 procent.

Oslo, 1.11.93

Paweł GAJOWNICZEK

Kronika szwedzka

Filmowcy polscy są bardzo popularni w Szwecji: „Dekalog” Kieślowskiego po raz kolejny emituje szwedzka telewizja; Agnieszka Holland pojawia się osobiście w Sztokholmie, promując swoje ostatnie filmy; ukazało się wiele wywiadów z Holland i Kieślowskim w szwedzkiej prasie. ■ Stowarzyszenie Polek w Szwecji zaprosiło 10 dzieci polskiego pochodzenia z Ukrainy — z terenów skażonych po katastrofie czarnobylskiej — na 3-tygodniowe wakacje do Białego Dunajca k/Zakopanego. Pieniądze uzyskano ze zbiórki oraz z dochodów z różnych imprez. ■ 3 września w Instytucie Polskim odbyło się spotkanie z Krystyną Zachwatowicz i Andrzejem Wajdą, którzy będą wystawiać na scenie królewskiego Teatru Dramatycznego „Sonatę widm” Strindberga. ■ Bezrobocie w Szwecji sięga 8 %. Należy pamiętać, że ten kraj jeszcze niedawno nie znał tego zjawiska. Bezrobocie szczególnie boleśnie dotyka młodzież i imigrantów, dotyczy to też Polaków. ■ Coraz więcej oznak niechęci do imigrantów, co trzeba wiązać z niepokojem Szwedów o własny los. Należy podkreślić, że dzieje się to w jednym z najbardziej tolerancyjnych krajów na świecie. Szwecja od czasów wojny przy-

jęła kilkaset tysięcy imigrantów, co stanowi niemal 1/8 populacji. Nic dziwnego, że dla kiedyś tak homogenicznego kraju jest to szok. ■ Ukazał się w *Svenskiej Dagbladet* artykuł o warunkach adopcji psów, z którego wynika, że adoptowanie bezpańskiego psa jest równie skomplikowane jak dziecka: dom przyszłych właścicieli jest wizytowany, nie wolno mieć innych zwierząt, ani dzieci do lat 6, a samemu trzeba posiadać więcej niż 23 lata, itp. Szwecja — jak widać — obok wielkich problemów ma też problemy luksusowe. ■ Z wielu imprez w Instytucie Polskim można wyróżnić występ 9 października ukraińskiego zespołu tanecznego „Switanok” oraz polskiego emigracyjnego zespołu folklorystycznego „Piastowie”. Przybyło wielu emigrantów ukraińskich mieszkających w Szwecji. To już po raz kolejny Instytut Polski udostępnia swoje sale dla kultury krajów z Polską sąsiadujących. ■ Ukazał się trzeci tom „Dzienników” Witolda Gombrowicza w przekładzie Andresa Bodegarda oraz „Imperium” Ryszarda Kapuścińskiego, w przekładzie tegoż tłumacza, ma bardzo dobre recenzje. ■ Wyniki badania opinii publicznej wskazują, że Szwedzi wykazują coraz mniej entuzjazmu do przystąpienia do Wspólnoty Europejskiej. Już około 60% mówi „nie”. ■ Na zaproszenie Instytutu Polskiego przebywał w Sztokholmie Marek Karp, dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich. Ta rządowa placówka zatrudnia około 60 osób i monitoruje duże obszary dawnego ZSSR, wydając bardzo profesjonalne biuletyny. Niezwykle ciekawe było spotkanie w Instytucie Polskim, gdzie Marek Karp opowiadał o rozpaczliwym stanie dawnego imperium. Mówił o tendencji powrotu dawnych republik pod skrzydła Rosji i o zupełnym załamaniu się wszystkich struktur na tym obszarze. Podczas pobytu w Sztokholmie Marek Karp spotkał się m.in. z Andresem Aslundem, znanym szwedzkim ekonomistą, doradcą prezydenta Jelcyna i dyrektorem Wschodnioeuropejskiego Instytutu Ekonomicznego w Sztokholmie. Można się domyślać, że rozmówcy nie byli w pełni zgodni co do oceny sytuacji w dawnym ZSSR. ■ Ukazał się pierwszy numer *Miljosambandet*, pisma wydawanego przez bardzo aktywne szwedzko-polskie Towarzystwo Ochrony Środowiska. Towarzystwo stara się wpłynąć na szwedzki rząd, by poszedł w ślad rządów USA i Szwajcarii, które zgodziły się na ekokonwersję polskiego zadłużenia.

T.T.

We wrześniu 1993 organizacje polonijne z Göteborgu wysłały do Polski wózki inwalidzkie, środki opatrunkowe, żywność do ośrodków dziecięcych w Otwocku i Piasecznie k/Warszawy.

Wartość tego transportu została oceniona przez Urząd Celný w Świnoujściu na 100 milionów złotych. ■ W dniu 2 listopada 1993 przed sądem w Sztokholmie rozpoczął się proces 43-letniego Polaka (od dawna mającego obywatelstwo szwedzkie) i 3 Rosjan (mających m.in. sfalszowane dokumenty polskie) o usiłowanie porwania Petera Wallenberga i wymuszenie okupu od rodziny znanego milionera i przemysłowca. ■ Prasa szwedzka przedstawiła sylwetkę p. Janiny Ludawskiej z Polski, która w grudniu 1991 r. w przeddzień swoich 70-tych urodzin obroniła na Uniwersytecie Sztokholmskim pracę doktorską na temat trzech szwedzkich wersji „Ślubu” W. Gombrowicza. P. J. Ludawska mieszka stale w Szwecji od 1968 r. ■ Wyd. Gedins wydało debiutancką książkę Louis Begley (Polki mieszkającej w Ameryce) pt. „Kłamstwa w czasie wojny”. Przekład C. Lundgren. ■ W dniu 4 listopada 93 r. w programie I telewizji szwedzkiej wyświetlono film dokumentalny pt. „Alarmujący raport z Polski” o znajdowaniu nowo narodzonych dzieci na wyspiskach śmieci, o śmierci ok. 60 kobiet w związku z usuwaniem niechcianej ciąży, o nowej ustawie aborcyjnej i powrocie do „średniowiecza”. Film nakręcony m.in. w Łodzi przez szwedzkich dziennikarzy, Hakana Pieniowskiego i Karla Olava Larssona. Film jest b. krytyczny wobec często dramatycznej sytuacji kobiet bez środków pieniężnych. W Szwecji aborcja jest dozwolona. ■ Obraz „Dama z łasiczką” Leonarda da Vinci został wypożyczony przez Szwecję na siedem miesięcy z Fundacji Książąt Czartoryskich w Krakowie. Obraz, obecnie w Malmö, jest tu prezentowany po raz pierwszy. Za wypożyczenie fundacja otrzyma dotację kilkuset tysięcy dolarów. Obraz jest ubezpieczony na miliard dolarów. ■ Rząd złożył propozycję zaostrzenia kary za przestępstwa rasistowskie, lecz w projekcie ustawy nie zabroniono organizowania stowarzyszeń i związków rasistowskich. Nie można zabronić poglądów — w ten sposób stanowisko rządu uzasadnia p. Daniel Andersson z departamentu kulturalnego. ■ Rząd proponuje podniesienie od nowego roku o 4% podatków m.in. od benzyny, tytoniu i alkoholu, a dalej, w miarę narastania inflacji, sukcesywne podnoszenie podatku aż do 1998 r. Równocześnie żeby zachęcić przedsiębiorstwa do angażowania nowych pracowników proponuje się obniżenie opłat pracodawców przy zatrudnianiu w 1994 roku nowych pracowników. Nakłady państwa na zmniejszenie bezrobocia są największe w dotychczasowej historii Szwecji; w ostatnim okresie utworzono 35 tysięcy nowych miejsc pracy. ■ Szwecja postanowiła — po wieloletniej przerwie — otworzyć ponownie ambasadę w RPA. ■ Alternatywną nagrodę Nobla zwaną *Right Livelihood* w wysokości 1,6 miliona koron przyznano w tym roku pięciu kobietom: Arnie Mer-Khamis z Izraela — za pracę na rzecz ob-

rony, pomocy i kształcenia palestyńskich dzieci — ofiar izraelskiej okupacji; Sithembiso Nyoni i jej organizacji ORAP z Zimbabwe, pracującej na rzecz ekologicznego rozwoju, w skład tej organizacji wchodzi 800 wiosek; Vandana Shiva z Indii — aktywistce ruchu ekologicznego pracującej na rzecz zachowania lasów tropikalnych i czystej wody; siostrom Mary i Cerie Dann z USA, Indiankom z plemienia Shoshone, przez 20 lat pracującym na rzecz powstrzymywania prób nuklearnych w stanie Nevada (próby zakończono). Nagroda zostanie wręczona laureatkom w dniu 9 grudnia 1993 w Sztokholmie.

Anna RIEDL

Z OSTATNIEJ CHWILI

15.11.93

Uniwersytet Wrocławski nadał tytuł doktora honoris causa prof. Daniewi Beauvois z Uniwersytetu Charles de Gaulle/Lille III.

16.11.93

Politechnika Wrocławska nadała tytuł doktora honoris causa inż. architektowi Zdzisławowi Pręgoskiemu w Szwajcarii.

20.11.93

W Domu Spokojnej Starości Polskiego Funduszu Humanitarnego w Lailly-en-Val (Francja) obchodzono uroczyste 35-tą rocznicę jego istnienia. Amb. RP Jerzy Łukaszewski oraz przedstawiciel władz departamentu, Claude Bourdin, odsłonili tablicę pamiątkową ufundowaną przez F.H.P.

W październiku br. Fundacja im. Wł. i N. Turzańskich przyznała następujące nagrody za rok 1992. Nagrodę w dziedzinie literatury otrzymał Janusz Krasiński za całość swojej twórczości, a specjalnie za najnowszą powieść „Na stracenie”. W dziedzinie dokumentu historycznego — Stanisław Kopf za prace dokumentujące walkę Armii Krajowej z Niemcami w latach drugiej wojny światowej. W dziedzinie teatru — Jerzy Kopczeński-Bułeczka. Poza tym Fundacja przyznała następujące dotacje: 1000 dol. kan. Bibliotece Polskiej w Montrealu; 1000 dol. redakcji kwartalnika *Kresy* w Lublinie; 500 dol. redakcji *Rocznika Lwowskiego* w Warszawie. Ponadto przyznano cztery stypendia po 150 dol. kan. dla studentów polskiego uniwersytetu w Wilnie.

Listy do Redakcji

Buenos Aires, 12.10.1993

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem ks. Z.M. w dziale „Ci, co odeszli” pt. Maria Winowska (*Kultura* nr 9/552, 1993) chciałbym dorzucić parę uwag i wyjaśnić nieścisłości.

Marię Winowską po raz pierwszy spotkałem na obozie harcerskim w Vigeois (Corrèze) południowa Francja, zona nieokupowana w sierpniu 1941. Dostłownie rok później to jest w 1942 spotkaliśmy się znowu, ale już w innych warunkach bo w więzieniu w Albi południowa Francja koło Tuluzy oskarżeni o akcję dywersyjną i sabotażową (*Mandat d'Arrêt: 18 Août 1942 inculpés: de menée anti-national et d'association de malfaiteurs* w moim posiadaniu). Znana afera organizacji „NURMI”.

W Albi przebywaliśmy aż do czasu rozprawy sądowej, która odbyła się w Tuluzie do końca lipca 1943.

Swoją „Akcję Apostolską” Maria Winowska kontynuowała nawet w więzieniu. A więc postarała się (w jaki sposób nie wiem), aby w niedzielę rano odbywały się msze św. które celebrował ks. francuski tylko dla Polaków, gdzie nawet pozwolono śpiewać pieśni kościelne po polsku („tylko nie za głośno”). Niezapomniane były nasze pogawędki po mszy bo było nas około 30 Polaków. W grudniu przed gwiazdką 1942 dostarczyła książkę „Pismo Święte Nowego Testamentu” a z początkiem stycznia 1943 Wandy Ładziny „Pójdźmy za Nim” — książka do nabożeństwa, którą dostarczyła dla Polaków z „NURMI”. Dzięki inicjatywie Marii Winowskiej na parę tygodni przed rozprawą jeden z naszych artystów narysował czarnym ołówkiem (bo kolorowych nie było) obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z podpisami wszystkich „albińczyków”, poświęcony i umieszczony w kaplicy więziennej. Gdy kilka lat po zakończeniu wojny odwiedziłem więzienie w Albi, obraz w dalszym ciągu znajdował się w tym samym miejscu, to jest w kaplicy.

Na rozprawie sądowej została uniewinniona i w konsekwencji wypuszczona na wolność, a w październiku 1943 wyjechała do Hiszpanii, jak mi wyjaśniła w innych okolicznościach. Dziwnym zbiegiem okoliczności (mały cud jak píše Gustaw Herling-Grudziński) już w Buenos Aires w latach osiemdziesiątych znalazłem w księgarni jej hiszpańskie tłumaczenie książki „Święci idą do piekła”. Jeżdżąc kilkakrotnie do Francji odna-

lazłem Marysię (bo tak ją nazywaliśmy na obozie harcerskim) na rue Vaugirard. Raz odwiedzając ujrzałem pobitą, posiniaczoną i z ręką na temblaku, bo jak mówiła: za to że pisała o tematach religijnych w Rosji, „Zbili powalili na ziemię i odeszli nic nie ukradli”. Innym razem mówiła: „Ja do Was 'złoczyńców' nie należałam, bo moje miejsce było w prasie kardynała Hlonda”.

Zasyłam serdeczne ukłony

Bogdan BLACHNIEREK „NURMI”
Michał WOJCIŃSKI „MONIKA”

Sydney, 14. 11. 1993

Drogi Panie Redaktorze,

Byłem na odczycie prof. Jana Karskiego, który zaproszony został do Australii przez Australijski Instytut Spraw Polskich. Tematem były „Tajne zabiegi dyplomatyczne Roosevelta, Stalina i Churchilla w sprawie Polski” w czasie II Wojny Światowej.

Prof. Karski w swojej wypowiedzi zilustrował nam smutną prawdę, iż sprawa Polski nie liczy się na arenie polityki światowej. Podkreślił, iż już sama wielkość narodów niemieckiego i rosyjskiego, w porównaniu do polskiego, będzie zawsze wyznacznikiem ich większego znaczenia. Mowa więc była o tym, iż trzeba się z tym pogodzić i że Polska Anno Domini 1993 znajduje się w najlepszej sytuacji międzynarodowej od kilkuset lat.

Z sali padło logiczne i ważne pytanie: jak więc powinni zachowywać się obecnie Polacy, jaka jest polska racja stanu? Na co Karski powiedział, iż powinniśmy w zasadzie „siedzieć cicho”, a więc nie wysuwać żadnych roszczeń czy pretensji. Powinniśmy dbać o rozwój gospodarczy i kulturalny kraju oraz o dobre stosunki z sąsiadami.

Odczyt, o którym mowa odbywał się w jednej z sal Klubu Polskiego w Ashfield w Sydney. Na ścianie, pod którą siedział Jan Karski znajdowały się duże herby czterech miast. Były to: Warszawa, ...Lwów Wilno, oraz ...Koszalin.

Wyobraźmy sobie uczucia naszych ukraińskich lub litewskich przyjaciół, którzy z tej czy innej okazji znaleźliby się w Klubie Polskim.

Panie Redaktorze, kiedy wreszcie zrozumiemy, że jesteśmy w dużym stopniu kowalem własnego losu? Czy zdobędziemy się po tylu doświadczeniach na potrzebny do przeżycia zasób narodowej mądrości?

Najlepsze pozdrowienia

Jerzy BONIECKI

Londyn, 15.11.1993

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim zdziwieniem i niedowierzaniem przeczytałem notatkę na 153 stronie listopadowej *Kultury* zapowiadającą, na podstawie niezidentyfikowanych informatorów, że *Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza* zostanie zawieszony, a *Tydzień Polski* ma słabe szanse przetrwania.

Ta nieprawdziwa i złośliwa „rewelacja” przychodzi akurat w miesiącu, w którym pierwszy raz od 3 lat podnieśliśmy cenę obu gazet i gdy po wysłaniu 20 tysięcy kwestionariuszy otrzymujemy tysiące pochwał, wyrazów uznania i zachęty od naszych wdzięcznych czytelników na emigracji i w Kraju.

Wrócimy do tego tematu wkrótce, a dziś na ręce Pana Dyrektora składamy nasz protest i wyrazy ubolewania z powodu tendencyjnego i niezgodnego ze stanem faktycznym paragrafu w dziale „Zachód”.

Z wyrazami szacunku

Lucjan KINDLEIN
Dyrektor Naczelny
Polskiej Fundacji Kulturalnej

Przepraszamy za nieporozumienie — wiadomość przedrukowaliśmy z prasy krajowej.

Redakcja

Edmonton, 20. 10. 1993

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze październikowym Włodzimierz Bolecki cytuje „prof. dra hab.” Wacława Urbana (s. 4). Polskę zachodnią mają zalać bezrobotni z byłej NRD, „którzy mnożą się zupełnie planowo”.

Niemiecki *Der Spiegel* z 20 września 1993 (s. 54) donosi, że rozdrożność od czasu połączenia spadła katastrofalnie: z 200.000 urodzin rocznie na 70.000. Z trojga dzieci dwoje już się nie rodzi, za pięć lat nie pójdą do szkoły, za 17 lat nie staną na rynku pracy. Społeczeństwo się starzeje i „Wschód wymiera”, czytamy w artykule zatytułowanym „Lepiej mieć pieska”. Autor ogranicza swój artykuł do wschodu, ale wiadomo, że Niemcy zachodnie też wymierają.

Niemieccy demografowie na światowym zjeździe w Montrealu, sierpień 1993, przyznawali, że nie mogą sobie wyobrazić odwrócenia spadku urodzin. Taktowni rozmówcy nie podkreślali, że napływ imigrantów, jest w takiej sytuacji nieodzowny, z południa, raczej niż ze wschodu, bo wschód, na dłuższą metę, też nie ma ludzi na zbyciu. *Der Spiegel* podkreśla niepewność jutra, liberalizację zwyczajów, powstanie nowych, wy-

godnickich przyzwyczajęń, cytuję studentki, których jedynym celem w życiu jest pohulać.

Wbrew temu co „prof. dr hab.” mówi nie zanosi się ani na planowe mnożenie, ani na nie-planowe.

Z poważaniem

Karol J. KRÓTKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

S.D., Polska — Sympatyczna jest Pana nota o tomie Szymborskiej, ale świetna poetka zasługuje na głębsze spojrzenie. Wiersz zatytułowany *Lipiec* wydrukujemy.

G.F., Polska — Pani *Spowiedź janczara* nie nadaje się do druku. Szczerze mówiąc, dziwimy się nawet że chciała Pani opublikować tak intymne wspomnienia rodzinne. Oba wiersze są bardzo słabe.

A.Ś., Niemcy — W pewnym sensie można Pana uznać za wynalazcę: wynalazł Pan połączenie załotów miłosnych z opisem gospodarki za czasów Gomułki. *Trzy Gracje* są całkowicie chybione.

K.L., Polska — Wiersz *Biedny Orfeusz* wydrukujemy.

M.G., Polska — Prosi Pan o szczerą ocenę swych wierszy. Są niedobre.

M.J.J., Polska — Ma Pan bardzo okrutne zamiary wobec „mojej następnej kobiety”. Wiersze nie nadają się do druku.

M.M., Francja — Bardzo dziękujemy za miłe słowa o Redaktorze. W Pana wierszach za mało jest poezji, natomiast za dużo drętwej sztuczności.

S.S., Polska — Z wierszy nie skorzystamy. Nie może Pan liczyć na żadną opinię na podstawie jednego tylko, trzeciego aktu sztuki.

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1993

Spis autorów

BAKUŁA Bogusław, BALCEROWICZ Leszek, BARAN Józef, BARAŃCZAK Stanisław, BAKOWSKI Adam Tadeusz, BENDER Ryszard, BERBERYUSZ Ewa, BERLINCZYK, B.H., BIEREZIN Jacek, BLACHNIEREK Bogdan, BOBOWICZ Zofia, BOCHENSKI Józef M., BOGDAŃSKI Jan, BOLECKI Włodzimierz, BONIECKI Jerzy, B.O., BORKOWSKI Andrzej M., BRONSKI M. — CELIŃSKI Krzysztof, CHABROWSKI Tadeusz, CICHOCKI Marek, CIECHANOWIECKI Andrzej, CIOŁKOSZOWA Lidia, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZECH Mirosław, CZERNIAWSKI Adam. — DAKOWSKI Mirosław, DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DAROWSKI Jan, DASZKIEWICZ Piotr, DELAPERRIERE Maria, DEREN Jerzy, DŁUSKI Stanisław, DOBOSZ Andrzej, DURLIK Andrzej, DUŻYK Józef, DYBCIAK Krzysztof, DZIEWIĘCKA Małgorzata. — FELIKSIAK Jerzy S., FILIPOWICZ Mirosław, FLORCZAK Zbigniew (PELIKAN), FOLEJEWSKI Zbigniew, FRAJLICH Anna, FRAJLICH ZAJĄC Anna, FRONCZEK Zbigniew Wł. — GAJOWNICZEK Paweł, GARLIŃSKI Józef, GAWLIKOWSKI Krzysztof, G.H.-G., GIEŁŻYŃSKI Wojciech, GŁODZIŃSKI Adam, GOŁDA Aleksander, GOMULICKI Juliusz Wiktor, GOY Petro, GORSKI Mieczysław, GRABOWSKA Alina, GRABOWSKI Leon J., GRABOWSKI Zbigniew Ryszard, GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy, GRUSZCZYŃSKI Lesław. — o. HAERING Bernhard, HALIKOWSKA-SMITH Teresa, HERLING-GRUDZIŃSKI

Gustaw, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HOFFMAN Ewa. — ILSKI Zdzisław, IWANIUK Wacław, IWAN-SKA Alicja. — JACKIEWICZ Mieczysław, JARECKI Andrzej, JASTRUN Tomasz, JEŻEWSKI Krzysztof, JĘDRKIEWICZ Andrzej, JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga. — KACNELSON Dora, KANOWICZ Grigorij, KAPIŃSKI Jakub, KAPIŃSKI Wojciech, KARSOV Nina, KATZ HEWETSON Janina, KINDLEIN Lucjan, KOCÓJ Henryk, KOMENSKI Jan Amos, KOSSOWSKA Stefania, KOWALCZYK Andrzej, KOWALSKI Roch, KOZŁOWSKA Nina, KRANCE Joanna, KRUCZEK Adam, KRUSZEWSKA Mirosława, KRÓTKI Karol J., KUBOWSKI Jerzy, KUDELSKA Dorota, KUDEL-SKI Zdzisław, KULIK Adam W., KUPIANOWICZ Grzegorz, KUROWSKA-MŁYNARCZYK Joanna, KURSKI Jarosław, KÜNSTLER M.J. — LEM Stanisław, LEOPOLD Antoni, LEWANDOWSKI Roman, LIBERA Antoni, LISOWSKI Krzysztof. — MACHEJ Zbigniew, MANSFELD Bogusław, MAGALA Sławomir, MEIRA PENNA de Jose Osvaldo, MERKEL Jacek, MICEWSKI Andrzej, MICIŃSKI Tadeusz, MIŁOSZ Czesław, MOLSKI Paweł, MONDRY Janusz, MORAWSKI Dominik, MORAWSKI DZIERŻYKRAJ Kajetan, MORAWSKI Zdzisław, MOŻEJKO Edward. — NASIELSKI Adam, NIEMIEC Maciej, NIEMOJEWSKI Marcin. — ODOJEWSKI Włodzimierz, ORŁOŚ Kazimierz, OSADCZUK Bohdan, OSIECKA Agnieszka. — PACZKOWSKI Andrzej, PAŁASZCZUK Henryk, PASZKOWSKI Lech, (PELIKAN), PIASZCZYŃSKI Piotr, PIESZCZACHOWICZ Jan, PIETRKIEWICZ Jerzy, PIETRUSZKIEWICZ Eugeniusz, PIŁSUDSKI Józef, PODHORSKA Maria, POLACZEK Stanisław, POMIAN Krzysztof, POPLAWSKI Wojciech, POSPIESZALSKI Antoni, P.W. — RATAJCZAK Józef, REDAKCJA, REDAKCJA „KULTURY”, RIEDL Anna, ROBOWSKI Andrzej, ROMANOWICZ Kazimierz, ROMANOWICZOWA Zofia, ROMER Andrzej, o. RÓŻYCKI Julian O.P., RUDNICKI Janusz, RUDZKI Marek, RUSNOK Jan. — SCHERER Olga, SIEWIERSKI Henryk, SMECZ, SMOLEŃSKI Wiesław, SOCHON Jan, SONIK Bogusław, STACH Andrzej, STANKIEWICZ Zygmunt, STEPOWSKI Stanisław, STRUMIŁŁO-MIŁOSZ Grażyna, STRUMIŃSKI Bohdan, SUŁEK Barbara, SUPRUNIUK Mirosław Adam, SWORD Keith, SZARUGA Leszek, SZCZECINIANKA, SZCZEPIŃSKA TRAMER Joanna, SZŁOSAREK Artur. — ŚMIEJA Florian, ŚWIDERSKA Hanna, ŚWIDLICKI Andrzej. — TABORSKI Bolesław, TALCZEWSKI Krzysztof, TATAROWSKI Konrad W., TATARZYŃSKA Irena, TELEWIDZ, TEPER Adam Piotr, TEPER Zbigniew Jakub, THOMPSON Ewa M., TOMASZKIEWICZ Jan A., TORAŃSKA Tere-

sa, T.T., TUSZYŃSKA Agata. — UNGER Leopold, URBAN Wacław. — VINCENZ Andrzej, VIRION de Edward. — WĘGRZYŃSKI Rafał, WIERZBICKI Zbigniew T., WIERZBICKI Z.Z., WILNIANKA Z ZARZECZA, WINCZAKIEWICZ Jan, WINIAWSKI Leon, WOLICKI Krzysztof, W.S., WYCZAŃSKI Andrzej, WYRWA Tadeusz. — (Z), ZAGÓRSKI Zbigniew P., ZARZĄD GŁÓWNY STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH, Z.M., ZUBRZYCKI Jerzy. — ZABA Norbert.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

B.H.: *Kronika kanadyjska* (5/548, 7/550–8/551, 10/553, 12/555).
BOCHENSKI J.M.: *Co to znaczy być Polakiem?* (4/547).
BOLECKI Włodzimierz: „*Będziem Polakami...*” (10/553).
— *Dwadzieścia jeden starych i nowych przyczyn polskiego kryzysu* (3/546).
FILIPOWICZ Mirosław: *Konferencja w Lille* (11/554).
GAJOWNICZEK Paweł: *Kronika norweska* (3/546, 6/549, 12/555).
GARLIŃSKI Józef: *List z Londynu* (27) (4/547).
GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowozelandzka* (7/550–8/551).
HEYDENKORN Benedykt: *Zachwiana federacja* (1/544–2/545).
KACNELSON Dora: *Polscy naukowcy w Wilnie i Lwowie* (12/555).
KAPIŃSKI Jakub: *Idee połączone i rozłączone* (12/555).
KULIK Adam W.: *Widmo Perejaśławia* (9/552).
MONDRY Janusz: *Nowe oblicze Japonii* (9/552).
MOŻEJKO Edward: *Wizyta u Słoweńców* (9/552).
Notatki Redaktora (10/553, 11/554).
OSADCZUK Bohdan: *Władza nad przepaścią* (1/544–2/545).
RIEDL Anna: *Kronika szwedzka* (12/555).
TATAROWSKI Konrad W.: *Biedna Bośnia, czyli o samotności ginących* (6/549, 7/550–8/551).
TATARZYŃSKA Irena: *Azja Środkowa i Zakaukazie* (11/554).
T.T.: *Kronika szwedzka* (7/550–8/551, 12/555).
UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli i z Moskwy* (7/550–8/551).
— *Widziane z Brukseli i z Tallina* (4/547).
— *Widziane z Brukseli i z Warszawy* (11/554).
— *Widziane z Brukseli i z Wilna* (1/544–2/545).
DE VIRION Edward, DZIEWIĘCKA Małgorzata: *RPA — czas teraźniejszy — czas przyszły* (9/552).
Wydarzenia miesiąca (1/544–2/545, 3/546, 4/547, 5/548, 6/549, 7/550–8/551, 9/552, 10/553, 11/554, 12/555).

Archiwum polityczne

- DOBOSZ Andrzej: *Polscy dyplomaci* (7/550–8/551).
 MORAWSKI Dominik: *Solżenicyn u Jana Pawła II* (12/555).
 MORAWSKI DZIERŻYKRAJ Kajetan: *List* (7/550–8/551).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Tolerancja i fanatyzm* (1/544–2/545).
 GOMULICKI Juliusz Wiktor: *Trzy spotkania* (10/553).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (3/546, 6/549, 9/552), 11/554, 12/555).
 TUSZYŃSKA Agata: *Uczniowie Schulza* (4/547).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- FLORCZAK Zbigniew (PELIKAN): *Seans spirytystyczny z Catem* (5/548).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Gorący oddech pustyni* (7/550–8/551).
 — *Zeszyt Williama Mouldinga — emeryta* (1/544–2/545).
 JĘDRKIEWICZ Andrzej: *Zjazd* (1/544–2/545).
 KOMEŃSKI Jan Amos: *Panegiryk Karolowi Gustawowi zwycięzcy Sarmacji* (wprowadzenie P.W.) (11/554).
 KURSKI Jarosław: *Koszyłowce* (1/544–2/545).
 ODOJEWSKI Włodzimierz: *Swoi i obcy* (10/553).
 STEMPOWSKI Stanisław: *Śmierć Agawy* (10/553).

Utwory poetyckie

- BARAN Józef: *Majowe zakłęcie* (12/555).
 BĄKOWSKI Adam Tadeusz: *Kropla i kamień* (6/549).
 — *Papier* (10/553).
 CHABROWSKI Tadeusz: *Do księdza Jana poety* (3/546).
 — *Na wierzbie gruszki...* (10/553).
 DŁUSKI Stanisław: *Stary dom...* (10/553).
 FELIKSIAK Jerzy S.: *Palenie listów* (6/549).
 IWANIUK Waław; *Czapski* (4/547).
 — *Między przeszłością a teraźniejszością* (9/552).
 — *Pewność* (4/547).
 — *Światowe rozgrywki tenisowe w 1993 w Wimbledon, angielskiej Mekce sportu* (9/552).

- *Wiersz dla Pawła Mayewskiego* (3/546).
 — *Wieża śmierci w Toronto* (4/547).
 JACKIEWICZ Mieczysław: *Nieznany wiersz Jerzego Pietrkiewicza* (11/554).
 JARECKI Andrzej: *Koniec lata* (Ballada) (6/549).
 JASTRUN Tomasz: *Gracz* (12/555).
 — *Międzynarodowa* (12/555).
 — *Muszla* (12/555).
 JEŻEWSKI Krzysztof: *Nota o Tadeuszu Micińskim* (1/544–2/545).
 — *Oda do kota* (4/547).
 KRUSZEWSKA Mirosława: *Rozmowa z Piotrem* (6/549).
 KUROWSKA-MŁYNARCZYK Joanna: *Pomyłka* (11/554).
 LISOWSKI Krzysztof: *Gdzie jesteś człowieku?* (9/552).
 MICIŃSKI Tadeusz: *Pszenica i kłokol* (1/544–2/545).
 NIEMIEC Maciej: *Niedziela na Polach Marsowych* (10/553).
 PIASZCZYŃSKI Piotr: *Czytając Zygmunta Hertzta „Listy do Czesława Miłosza 1952–1979”* (9/552).
 SOCHON Jan ks.: *Krew* (10/553).
 — *Zrozum* (10/553).
 SZARUGA Leszek: *Et in Arcadia ego* (3/546).
 — *W zwolnionym tempie* (3/546).
 SZŁOSAREK Artur: *Chomik* (6/549).
 ŚMIEJA Florian: *Dwa mity* (10/553).

Sprawy krajowe

- BERBERYUSZ Ewa: *Kartka ze skażonej strefy* (10/553, 11/554).
 BONIECKI Jerzy: *Notatki ekonomiczne* (1/544–2/545).
 LEOPOLD Antoni: *Dziś i jutro polskiego rolnictwa* (12/555).
 MICEWSKI Andrzej: *Czy są drogi wyjścia?* (7/550–8/551).
 — *Koniec etosu, nie „Solidarność”* (9/552).
 PACZKOWSKI Andrzej: *Pierwsze reakcje po klęsce* (6/549).
 PIŁSUDSKI Józef: *Strzeżcie się agentów...* (5/548).
 POLACZEK Stanisław: *Jak zdynamizować polską gospodarkę?* (7/550–8/551).
 — *Polityka pieniężna państwa w latach 1989–1992* (5/548).
 — *Stosunki ze Wschodem i Zachodem po wyborach* (12/555).
 — *Szanse i ryzyka polskiej gospodarki u progu XXI wieku* (6/549).
 SMECZ: *Z ukosa* (1/544–2/545, 3/546, 4/547, 5/548, 6/549, 7/550–8/551, 9/552, 10/553, 11/554, 12/555).
 ŚWIDLICKI Andrzej: *Od komunizmu do coca-colizmu* (6/549).
 WINCZAKIEWICZ Jan: *Jeszcze o ustroju* (5/548).
 WINIAWSKI Leon: *Końcowy głos uczestnika konferencji aktyw MBP* (5/548).

WOLICKI Krzysztof: *Czy są drogi wyjścia?* (7/550–8/551).

- *Koniec etapu* (5/548).
- *Nie najlepiej, ale nieźle* (11/554).
- *Nowa Polska na ekranie* (10/553).
- *Pierwsze rozstawienie figur* (12/555).
- *Przed egzaminem dojrzałości* (3/546).
- *Przed sezonem myśliwskim* (6/549).
- *Przesuwania rządu ciąg dalszy* (1/544–2/545).
- *Temat na wyrost* (4/547).
- *Znów trzeba wybierać* (9/552).

W.S.: *80-te urodziny Jerzego Turowicza* (1/544–2/545).

Sąsiedzi

BAKUŁA Bogusław: *Z prasy ukraińskiej* (1/544–2/545, 3/546, 5/548, 9/552).

BERBERYUSZ Ewa: *Kartka ze skażonej strefy. — Wielkie Węgry* (7/550–8/551).

BERLINCZYK: *List z Berlina* (4/547).

CZECH Mirosław: *Polska i Ukraina — działanie i rozmowy* (4/547).

FOLEJEWSKI Zbigniew: *Polski Uniwersytet w Wilnie a rzeczywistość* (9/552).

GRUSZCZYŃSKI Lesław: *Białoruskie impresje* (11/554).

KOWALSKI Roch: *Sezon na Polaków* (4/547).

KRUCZEK Adam: *Notatki rosyjskie* (1/544–2/545, 3/546, 4/547, 5/548, 6/549, 7/550–8/551, 9/552, 10/553, 11/554, 12/555).

KULIK Adam W.: *Rozmowy z egzarchą Filaretem* (7/550–8/551). *Mniejszości narodowe i religijne w Europie Środkowo-Wschodniej* (1/544–2/545).

MORAWSKI Dominik: *Polsko-ukraińskie zgrzyty* (3/546).

OSADCZUK Bohdan: *Kłeska Ukrainy w Jalcie* (10/553).

— *Rosja, Polska, Ukraina w nowej sytuacji politycznej* (11/554).

— *Ukraina i sąsiedzi: latanie dziur* (3/546).

— *Ukraina — kociół na trzech nogach* (9/552).

— *Ukraina po Vancouverze* (5/548).

— *Ukraina sam na sam* (12/555).

— *Ukraińskie sny o raketach* (6/549).

— *Władza nad przepaścią* (1/544–2/545).

— *Z Wałęsą na Ukrainie* (7/550–8/551).

ROMER Andrzej: *Litwa: Rok 1993* (11/554).

RUSNOK Jan: *Zaolzie dziś* (6/549).

Sezon bałtycki w Paryżu (3/546).

STACH Andrzej: *Kronika niemiecka* (3/546, 5/548, 10/553).

— *Niemcy a Europa* (7/550–8/551).

SZARUGA Leszek: *Niebezpieczna faza* (11/554).

— *Niemieckie wydanie „Dekady literackiej”* 10/553).

WILNIANKA Z ZARZECZA: *Uniwersytet Polski w Wilnie* (5/548).

Wschodnia szkoła letnia Uniwersytetu Warszawskiego (komunikat) (4/547).

O religii bez namaszczenia

B.O.: *95-lecie patriarchy Mstysława* (5/548).

HAERING Bernhard: *Brak zaufania, który rani* (12/555).

MICEWSKI Andrzej: *Chrześcijaństwo cywilizowane* 5/548).

POSPIESZALSKI Antoni: *Casus Drevermanna z daleka* (5/548).

— *Moralność świecka* (1/544–2/545).

— *Nowy katechizm i co dalej?* (3/546).

— *Veritatis splendor* (12/555).

Wywiady „Kultury”

FRONCZEK Zbigniew Wł.: *Człowiek na wietrze — Rozmowa z Grigorijem Kanowiczem* (11/554).

GÓRSKI Mieczysław: *Bogaci i biedni — Rozmowa z prof. Jerzym Zubrzyckim* (3/546).

KOSSOWSKA Stefania: *Rozmowa z Andrzejem Ciechanowiczem* (12/555).

LEWANDOWSKI Roman: *Rozpad Jugosławii — Rozmowa z Krzysztofem Talczewskim* (3/546).

PODHORSKA Maria: *Wywiad z Keith Swordem* (10/553).

POPŁAWSKI Wojciech: *Rozmowa z Henrykiem Pałaszczukiem* (6/549).

SIEWIERSKI Henryk: *Rozmowa z ambasadorem José Osvaldo de Meira Penna* (1/544–2/545).

TORAŃSKA Teresa: *Rozmowa z Leszkiem Balcerowiczem* (1/544–2/545).

— *Rozmowa z Jackiem Merklem* (9/552).

Polemiki — wolna trybuna

CELIŃSKI Krzysztof: *List do Redakcji* (12/555).

CICHOCKI Marek: *Bez właściwości* (9/552).

DASZKIEWICZ Piotr: *O lustracji* (1/544–2/545).

DEREŃ Jerzy: *List do Redakcji* (12/555).

- Dyskusja o wydawaniu książek Józefa Mackiewicza w Polsce:*
Kozłowska Nina, Karsov Nina, Orłoś Kazimierz (7/550-8/551).
- FRAJLICH-ZAJĄC Anna: *List do Redakcji* (10/553).
- GARLIŃSKI Józef: *List do Redakcji* (9/552).
- GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Odpowiedź J. Künstlerowi* (7/550-8/551).
- GIEŁŻYŃSKI Wojciech: *Fundacje pożyteczne grzesznice* (1/544-2/545).
- GRABOWSKA Alina: *Jeszcze o Fundacji* (5/548).
- KOSSOWSKA Stefania: *Coraz więcej Mrożka* (6/549).
— *List do Redakcji* (9/552).
— *Oświadczenie* (12/555).
- KUBOWSKI Jerzy: *Rewizja Czarnobyła* (11/554).
- NASIELSKI Adam: *List do Redakcji* (12/555).
- ORŁOŚ Kazimierz: *Co nas dzieli?* (3/546).
- POSPIESZALSKI Antoni: *Odpowiedź o. Różyckiemu* (5/548).
- REDAKCJA „KULTURY”: *Mecenas kultury polskiej i „Kultury” paryskiej* (5/548).
- ROBOWSKI Andrzej: *O aborcji* (10/553).
— *Polityk i nie polityk* (10/553).
- o. RÓŻYCKI Julian: *Dyskusja o katechizmie* (5/548).
- STRUMIŃSKI Bohdan: *List do Redakcji* (12/555).
- ZAGÓRSKI Zbigniew P.: *Odpowiedź oponentom* (7/550-8/551).

Sprawy i troski

- DASZKIEWICZ Piotr: *Elity polityczne wobec zagrożenia* (6/549).
- DEREŃ Jerzy: *Sprawa KOLPAKU* (9/552).
- ILSKI Zdzisław: *Sprawa Demidowa* (3/546).
- KOWALCZYK Andrzej: *W sprawie KOLPAKU* (9/552).
- ODOJEWSKI Włodzimierz: *Cudzoziemcy — niewygodni goście?* (5/548).
- (Z): *Rozgłoszenia Polska RWE rozwiązana?* (11/554).
- STRUMIŁŁO-MIŁOSZ Grażyna: *Litwini w Polsce — Rozmowa z Eugeniuszem Pietruszkiewiczem* (3/546).
- ZAGÓRSKI Zbigniew P.: *Skutki dezinformacji naukowej* (1/544-2/545).

Ci, co odeszli

- BERBERYUSZ Ewa: *Mysząc o Andrzeju Kuśniewiczu* (7/550-8/551).
- CIOŁKOSZOWA Lidia: *Edward Raczyński* (9/552).
- DOBOSZ Andrzej: *O Zbigniewie Raszewskim* (1/544-2/545).

- DUŻYK Józef: *Strażnik złotego rogu* (10/553).
- GOŁDA Aleksander: *Jan Ekiert* (10/553).
- HERTZ Zofia: *Maria Wasung (1905-1993)* (5/548).
- KARPIŃSKI Wojciech: *Płomień* (3/546).
- KOZŁOWSKA Nina: *Krystyna Marek* (6/549).
- KRANCE Joanna: *Felicja Krance* (6/549).
- OSIECKA Agnieszka: *Andrzej Jarecki czyli liryka obywatelska* (6/549).
- REDAKCJA: *Józef Czapski* (3/546).
- RUDZKI Marek: *Małgorzata Targowska i Jacek Bierezin* (10/553).
- SZARUGA Leszek: *Jacek* (7/550-8/551).
- Ks. Z.M.: *Maria Winowska* (9/552).

Kronika kulturalna

- BIEREZIN Jacek: *Nowa fala powraca do morza* (5/548).
- CZAPSKI Józef: *List do Stanisława Mackiewicza* (5/548).
- CZAYKOWSKI Bogdan: *Komentarz do ankiety „Kultury” pisarzy niedocenieni — pisarze przecenieni* (wzięli udział: Chabrowski Tadeusz, Czerniawski Adam, Danilewicz Zielińska Maria, Darowski Jan, Jurkszus-Tomaszewska Jadwiga, Garliński Józef, Możejko Edward, Pietrkiewicz Jerzy, Romanowiczowa Zofia, Śmieja Florian, Świdorska Hanna, Thompson Ewa M., Vincenz Andrzej, Barańczak Stanisław, Miłosz Czesław, Taborski Bolesław, Lem Stanisław (Postscriptum) (7/550-8/551).
- DASZKIEWICZ Piotr: *Ogród kolonialny Jana Dybrowskiego* (12/555).
— *Refleksje o narodzinach fitosocjologii* (10/553).
- DELAPERRIERE Maria: *Pisarz emigracyjny?* (12/555).
- DUŻYK Jan: *Z nieznanych listów Józefa Czapskiego* (6/549).
- HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *Powrót do płynności czasu — Rozmowa z Ewą Hoffman* (4/547).
- KUDELSKA Dorota: *Malarstwo Myroslawa Jahody* (4/547).
- KUDELSKI Zdzisław: *Czapski z Matejką w tle* (12/555).
- MACHEJ Zbigniew: *Miłosz w Czechach* (9/552).
- MAGALA Sławomir: *Przeciw zbowidzeniu* (1/544-2/545).
- MOŻEJKO Edward: *Polacy, polonica i japońscy polonofile w Sapporo* (7/550-8/551).
- Nagrody* (10/553).
- Nagrody „Kultury” za rok 1992:* Karol MODZELEWSKI — nagroda im. Juliusza Mieroszewskiego; Stefania KOSSOWSKA — nagroda literacka im. Zygmunta Hertza; Wojciech SIKORA — nagroda przyjaźni i współpracy (1/544-2/545).

- ODOJEWSKI Włodzimierz: *Jerzy Stajuda, wszechstronna bujność* (3/546).
 ORŁOŚ Kazimierz: „Tydzień polonistów” w Lublinie (1/544–2/545).
 OSADCZUK Bohdan: „Oddychać razem” (4/547).
 POLACZEK Stanisław: *Szaleństwo władzy i pustynia informacyjna* (6/549).
Protest Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (9/552).
 RATAJCZAK Józef: *Ten wariat Wojciech Bąk* (1/544–2/545).
 SUPRUNIUK Mirosław Adam: *Trzy „podróże” Józefa Czapskiego do Polski* (4/547).
 SZARUGA Leszek: *O elitach* (6/549).
 — *Scalanie literatury kresowej* (10/553).
 SZCZEPIŃSKA TRAMER Joanna: *Sztuka Celnikiera* (3/546).
 TEPER Zbigniew Jakub i TEPER Adam Piotr: *Józef Czapski o Oldze Boznańskiej* (5/548).
 WYCZAŃSKI Andrzej: *Spory o Polską Akademię Nauk* (9/552).
Wyróżnienia POLCUL Foundation (lipiec 1993) (9/552).
Wyróżnienia POLCUL-u (3/546).
Wystawa obrazów Zofii Dembowskiej Romer w Warszawie (7/550–8/551).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BORKOWSKI Andrzej M.: *Czary reklamy* (9/552).
 BRONSKI M.: *Else Lasker-Schüler w przekładzie* (7/550–8/551).
 — *Europejczycy* (10/553).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Przekrój twórczości Wacława Berenta* (10/553).
 DŁUSKI Stanisław: *Kilka myśli o nowych wierszach Iwaniuka* (1/544–2/545).
 — *Myśli o współczesnej poezji ukraińskiej* (6/549).
 DOBOSZ Andrzej: *Droga Romana Zimanda* (5/548).
 — *Granice literatury* (11/554).
 — *Trudności czytania po polsku* (12/555).
 DUŻYK Józef: *Nowe pismo Krakowa* (1/544–2/545).
 FRAJLICH Anna: „Wietrzne” miasto pod znakiem manifestu (4/547).
 G.H.–G.: *Bartoszewski: pół wieku pisarstwa (1942–1992)* (3/546).
 IWĄŃSKA Alicja: *Mój ślub* (6/549).
 KATZ HEWETSON Janina: „Po słowach stąpa jak po zamianowanym polu” (6/549).
 KOCÓJ Henryk: *Trzy powstania narodowe* (1/544–2/545).
 LIBERA Antoni: *O czym pisze Jerzy Pilch* (7/550–8/551).
 MOLSKI Paweł: *Poeci Apokalipsy* (1/544–2/545).

- Nadane nowości wydawnicze* (1/544–2/545, 3/546, 4/547, 5/548, 6/549, 7/550–8/551, 9/552, 10/553, 11/554, 12/555).
 NIEMIEC Maciej: *Izraelskie „Kontury”* (4/547).
 NIEMOJEWSKI Marcin: *Tydzień książki litewskiej w Warszawie* (5/548).
 ODOJEWSKI Włodzimierz: *Obym się mylił!* (4/547).
 PASZKOWSKI Lech: *Dzieje Romerów na Litwie* (10/553).
 SIEWIERSKI Henryk: „Na początku nie było słowa” (12/555).
 SZARUGA Leszek: *Bez wiosel i steru* (3/546).
 — „*Papierowa rewolucja*” (3/546).
 — *Polacy w Niemczech* (12/555).
 — *Pożytki płynące ze szperania w gazetach* (4/547).
 ŚMIEJA Florian: *Trwanie* (12/555).
 VINCENZ Andrzej: *Huculszczyzna* (4/547).
 WĘGRZYŃSKI Rafał: *Niezłomny w zadziurnym teatrze* (9/552).
 — *Poznański przegląd teatralny* (4/547).
 WYRWA Tadeusz: *Rada Regencyjna (1917–1918)* (1/544–2/545).

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1993 (12/555).

Noty biograficzne

- Haering Bernhard* (12/555).
Jaboda Myrosław (4/547).

Listy do Redakcji

- BENDER Ryszard (5/548). BLACHNIEREK Bohdan (12/555). BOBOWICZ Zofia (3/546). BONIECKI Jerzy (12/555). CIOŁKOSZOWA Lidia (3/546). DAKOWSKI Mirosław (9/552). DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria (3/546). DASZKIEWICZ Piotr (3/546). DŁUSKI Stanisław (1/544–2/545). DOBOSZ Andrzej (1/544–2/545). DURLIK Andrzej (11/554). DYBCIAK Krzysztof (1/544–2/545). GŁODZIŃSKI Adam (1/544–2/545). GOY Petro (3/546). GRABOWSKI Leon J. (5/548). GRABOWSKI Zbigniew Ryszard (4/547). KARSOV Nina (5/548). KINDLEIN Lucjan (12/555). KRÓTKI Karol J. (12/555). KUPRIANOWICZ Grzegorz (1/544–2/545). KÜNSTLER M.J. (5/548). MANSFELD Bogusław (9/552). MORAWSKI Dominik (3/546). MORAWSKI Zdzisław (10/553). MOŻEJKO Edward (3/546).

ODOJEWSKI Włodzimierz (6/549). PASZKOWSKI Lech (7/550–8/551). PIESZCZACHOWICZ Jan (1/544–2/545). POMIAN Krzysztof (3/546). ROMANOWICZ Kazimierz (11/554). RUDNICKI Janusz (6/549). STANKIEWICZ Zygmunt (4/547). STRUMIŃSKI Bohdan (12/555). SUŁEK Barbara (1/544–2/545). SZCZECINIANKA (11/554). TABORSKI Bolesław (5/548). TOMASZKIEWICZ Jan A. (3/546, 9/552). URBAN Wacław (1/544–2/545). WIERZBICKI Zbigniew T. (5/548). WIERZBICKI Z.Z. (10/553). WYRWA Tadeusz (5/548).

Odpowiedzi Redakcji (1/544–2/545, 3/546, 4/547, 5/548, 6/549, 7/550–8/551, 9/552, 10/553, 11/554, 12/555).

Różne

Apel do polskich partii politycznych ze Sztokholmu (11/554).
 XII Uniwersytet Letni Współpracy Polsko-Francuskiej oraz Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu (9/552).
 Komunikat Fundacji Ekuumenicznej Tolerancja (6/549).
 Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim (3/546, 4/547, 9/552).
 Komunikat Komisji Fundacji Stypendialnej im. Stanisława Lama (7/550–8/551).
 Komunikat Komisji Funduszu Stypendialnego im. Jana i Suzanne Brzękowskich (11/554).
 Komunikat Stacji Naukowej PAN w Paryżu (6/549).
 Konkursy „Brulionu” (5/548).
 Od Redakcji „Kultury” (6/549).
 PIETRKIEWICZ J.: Sprostowanie (1/544–2/545).
 POLACZEK Stanisław: Sprostowanie (7/550–8/551).
 Powołanie Federacji Instytutów Europy Środkowo-Wschodniej (1/544–2/545).
 REDAKCJA „KULTURY”: Komunikat (5/548).
 — Sprostowanie (6/549, 7/550–8/551, 10/553).
 SONIK Bogusław: Oświadczenie (5/548).
 Sprostowanie (3/546).
 Wpłata na Fundację Archiwum Wschodniego na polskie podręczniki szkolne (11/554).
 Wpłata na Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim (9/552).
 Wpłata na Szpital Dziecięcy w Bytomiu (7/550–8/551).
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/544–2/545, 3/546, 4/547, 5/548, 6/549, 7/550–8/551, 9/552, 10/553, 11/554, 12/555).

Wpłaty na pomoc Polakom w Rosji (1/544–2/545, 3/546, 4/547, 5/548, 6/549, 7/550–8/551, 10/553, 12/555).
 Z ostatniej chwili (12/555).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury” w roku 1993

Tom 479 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 103). Str. 240.
 Tom 480 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 104). Str. 240.
 Tom 481 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 105). Str. 240.
 Tom 482 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 106). Str. 240.

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1993 roku.

Zeszyt 103-ci — Mirosław Czech: *Kwestia ukraińska w II Rzeczypospolitej*; Andrzej Friszke: *Memoriał polityczny Adama Bienia (kwiecień 1944)*; Z.S. Siemaszko: *Ujawnione dokumenty katyńskie*; Jerzy Timoszewicz: *Z dziejów Teatru Wileńskiego. Parę uwag o latach 1832–1864*; Maria Turlejska: *Uwagi o tzw. „Wspomnieniach Gomułki”*; Krzysztof Tarka: *Epigoni Wielkiego Księstwa Litewskiego — Krajowcy wileńscy 1939–1940*; Zbigniew Kończacki: *Lwowska młodzież Społeczno-Demokratyczna 1937–1939; Dezercje Żydów z Armii Polskiej na Wschodzie*; Dora Kacnelson: *Kustosz Władysław Abramowicz*; Nika Kłosowska: *Fragmenty wspomnień*; Walentyna Najdus-Smolarowa: *Lwów obecnie*; Bogusław Bakuła: *W oczach historyków*; Piotr Wandycz: *O dyplomacji II Rzeczypospolitej*; Wojciech Krzyżanowski: *Źródłowa praca o żołnierzach polskich w Rumunii*; Adam W. Kulik: *„Obrządek słowiański w dawnej Polsce” czyli krzyżowanie historii*; Andrzej Suchcitz: *W cieniu Kapitolu*; Tadeusz Wyrwa: *Słownik Biograficzny kobiet, które poległy w walce o niepodległość w okresie okupacji niemieckiej*; Andrzej Chwalba: *Wykłady historyczne Józefa Piłsudskiego*; Hanna Świdorska: *Przyczynki do „rozrachunków z sanacją”*; Andrzej Friszke: *Listy Macieja Rataja do Anieli i Stefana Urbanowiczów*; Józef Dużyk: *Historycy; Polskie służby specjalne a organizacje emigracyjne na Zachodzie; Konferencje w Karpaczu i Wrocławiu*; oraz LISTY DO REDAKCJI.

Zeszyt 104-ty — Józef Rybicki: *Rocznica powstania w getcie*; Kazimierz Zamorski: *Dezercje Żydów z Armii Polskiej*; Bp Szczepan Wesoly: *Czy duszpasterstwo emigracyjne było zależne od*

PRL; Kazimierz Braun: *Apogeum stalinizmu w teatrze 1949-55*; Bernadetta Nitschke: *Wysiedlenie Niemców z Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1950*; Tadeusz Wyrwa: *Wychodźstwo polskie we Francji po kapitulacji w 1940 r. a rząd polski w Londynie*; Rimantas Miknys: *Stosunki polsko-litewskie w wizji krajowców*; Anatol Mühlstein: *Sprawozdanie z pobytu na Litwie*; Komitet Obrony Państwa; Grzegorz Mazur: *Operacja „Sejm”*; Piotr Mitzner (opr.): *Dzień jawnych sądów*; Wojciech Wiśniewski: *Rozmowa z Józefem Rybickim*; Marian Marek Drozdowski: *Dramat Stanisława Augusta Poniatowskiego*; Andrzej Werblan: *W sprawie tzw. wspomnień Władysława Gomułki*; Andrzej Chwalba: *Józef Piłsudski a pamiętniki*; Alicja Iwańska: *Na trasach*; Zbigniew Małecki (opr.): *Notatki R.E. Urbańskiego*; Piotr Daszkiewicz (opr.): *Jean-Emanuel Gilibert. Pierwszy Ogród Botaniczny na Litwie*; Zbigniew Dobrzyński: *Polemika z recenzją jego książki „Obrządek słowiański w dawnej Polsce” A. Kulika (Zeszyty Historyczne nr 103)*; Kazimierz Karnkowski: *Kilka uwag o znaczeniu historycznym książki Zb. Dobrzyńskiego „Obrządek słowiański w dawnej Polsce”*. Obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Zeszyt 105-ty — Antoni Stefan Koper: *Prasa polska w Niemczech*; Mieczysław Biesiekierski: *Polska akcja opiekuńcza we Francji w okresie okupacji niemieckiej (czerwiec 1940 - wrzesień 1944)*; Józef Lewandowski: *Kwestia narodowa w Europie wschodniej na przelomie epok (moskiewskie sympozjum)*; Józef Lewandowski: *Historia i polityka (bratysławskie sympozjum)*; Michaił Rogaczow: *Transporty podążyły do Komi*; Zygmunt Chmielewski: *Sangorodok*; Kazimierz Groszyński: *Dwadzieścia dwa miesiące*; Krystyna Oppenauer-Sreńniowska: *Lwowskie Ossolineum w latach 1939-1941*; Tadeusz Wyrwa: *Powstanie Warszawskie w oczach Francuzów*.- LISTY DO REDAKCJI.

Zeszyt 106-ty — Zdzisław A. Siemaszko: *Wileński „Goniec Codzienny”*; Jan Skórzyński: *Odwilż 1987*; Grzegorz Mazur: *Wytyczne BIP-u w sprawie ukraińskiej plk. dypl. Jana Rzepckiego*; Hanna Świdorska: *Drobiazgi jaltańskie: — Z angielskiej działalności Stefana Litauera — O „sterowaniu” gen. Sikorskim przez Aliantów*; Gen. W. Anders: *Poufny rozkaz*; Marek Kielański: *Raport o zabijaniu*; Michał Romer: *Dwie teorie o Polakach litewskich*; Mirosław Supruniuk: *O prasie polskiej emigracji wojennej (na marginesie pracy Stanisławy Lewandowskiej)*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Józef Lewandowski: *Wakacyjne lektury*; Z.S. Siemaszko: *Elita, której już nie ma*; Halina Grudzińska-Za-

krzewska: *Niepodległość będzie twoją nagrodą*; Norbert Żaba: *Finowie i Polacy w 1944 r.*; Jacek Trznadel: *Kazimierz Więcek*; Hanna Świdorska: *O Retingerze w archiwum Foreign Office*; Grzegorz Mazur: *Przyczynek do dziejów BIP-u KG A.K.*; Janusz Rakowski: *Grobowiec rodziny Mościckich*. LISTY DO REDAKCJI.

Numery *Kultury* marcowy (3/546), wrześniowy (9/552) i grudniowy (12/555) miały po stron 176.

POLEMIKI

Krzysztof Celiński:	<i>List do Redakcji</i>	142
Jerzy Dereń:	<i>List do Redakcji</i>	144
Stefania Kossowska:	<i>Oświadczenie</i>	144
Adam Nasielski:	<i>List do Redakcji</i>	144
Bohdan Strumiński:	<i>List do Redakcji</i>	145

—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki kana- dyjska, norweska i szwedzka</i>	146
—	<i>Z ostatniej chwili</i>	156

B. Blachnierek, J. Boniecki, L. Kindlein, K.J. Krótki:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160
—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1993</i>	161



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^{me} trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 2162-1993

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1994			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 34 01 08, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06)77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95



TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Str. 312

Cena F. 120



TOM 482 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO SZÓSTY

zawiera opracowania: — Zdzisław A. Siemaszko: *Wileński „Goniec Codzienny”*; Jan Skórzyński: *Odwilż 1987*; Grzegorz Mazur: *Wytyczne BIP-u w sprawie ukraińskiej płk. dypl. Jana Rzepeckiego*; Hanna Świdarska: *Drobiazgi jaltańskie: — Z angielskiej działalności Stefana Litauera — O „sterowaniu” gen. Sikorskim przez Aliantów*; Gen. W. Anders: *Poufny rozkaz*; Marek Kielasiński: *Raport o zabijaniu*; Michał Romer: *Dwie teorie o Polakach litewskich*; Mirosław Supruniuk: *O prasie polskiej emigracji wojennej (na marginesie pracy Stanisławy Lewandowskiej)*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Józef Lewandowski: *Wakacyjne lektury*; Z.S. Siemaszko: *Elita, której już nie ma*; Halina Grudzińska-Zakrzewska: *Niepodległość będzie twoją nagrodą*; Norbert Żaba: *Finowie i Polacy w 1944 r.*; Jacek Trznadel: *Kazimierz Włódek*; Hanna Świdarska: *O Retingerze w archiwum Foreign Office*; Grzegorz Mazur: *Przyczynek do dziejów BIP-u KG A.K.*; Janusz Rakowski: *Grobowiec rodziny Mościckich*. LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 55 F